KALENDARZ ŚLĄSKI 1982



KALENDARZ
ŚLĄSKI
1982

KALENDARZ ŚLĄSKI 1982

Trzaskalik Henryk

ROCZNIK XXI
PROFIL
OSTRAVA



ROK 1982 JEST ROKIEM ZWYCZAJNYM I LICZY 365 DNI

Wiosna astronomiczna rozpoczyna się 20 marca, lato astronomiczne 21 czerwca, jesień astronomiczna 23 września, a zima astronomiczna 21 grudnia.

DNI ODPOCZYNKU OD PRACY

1 stycznia	—	**Nowy Rok**
12 kwietnia	—	**Poniedziałek Wielkanocny**
1 maja	—	**Święto Pracy**
9 maja	—	**Święto państwowe CSRS — Wyzwolenie naszej ojczyzny przez Armię Radziecką (1945)**
25 grudnia	—	**Pierwsze święto godowe**
26 grudnia	—	**Drugie święto godowe**

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

STYCZEŃ

Kalendarium				Tydz.	Notatki
1	**P**	**Nowy Rok**		1	
2	S	Makarego, Izydora			
3	**N**	**Genowefy, Danuty**	☽		
4	P	Anieli, Eugeniusza		2	
5	W	Szymona, Edwarda LEKARZ			
6	Ś	Trzech Króli, Andrzeja			
7	Cz	Juliana, Łucjana			
8	P	Seweryna, Bogdana			
9	S	Antoniego, Marceliny	○		
10	**N**	**Jana, Pawła**			
11	P	Honoraty, Feliksa		3	
12	W	Ernesta, Czesława			
13	Ś	Weroniki, Bogumiły			
14	Cz	Feliksa, Hilarego			
15	P	Alicji, Pawła			
16	S	Marcelego, Włodzimierza			
17	**N**	**Antoniego, Rościsława**	☾		
18	P	Piotra, Władysława		4	
19	W	Henryka, Erwina			
20	Ś	Ilony, Sebastiana			
21	Cz	Agnieszki, Jarosława			
22	P	Wincentego, Anastazego			
23	S	Marii, Janusza			
24	**N**	**Felicji, Mileny**			
25	P	Pawła, Miłosza	●	5	
26	W	Pauliny, Zory			
27	Ś	Jana, Przybysława			
28	Cz	Karola, Otylii			
29	P	Zdzisława, Franciszka			
30	S	Marty, Macieja			
31	**N**	**Marceli, Piotra**			

Na Trzech Króli słońce świeci,
Wiosna ku nam pędem leci.



Gdy w styczniu pszczoła z ula
wylatuje,
nie bardzo dobry rok nam
obiecuje.



Gdy w noc noworoczną słota,
będzie w styczniu dużo błota,
a jeśli pogodnie,
to w styczniu dogodnie.



Gdy styczeń burzliwy śniegami,
lato burzliwe z deszczami.



Po styczniu jasnym i białym
w lecie bywają upały.





FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 7,44, zachód 15,54
Dnia 15.: wschód 7,38, zachód 16,11

Rocznice:

6 stycznia 1882 — urodził się wybitny powieściopisarz, artysta narodowy, Ivan Olbracht (100. rocznica)
11 stycznia 1877 — zmarł Janko Matuška, poeta słowacki, autor hymnu Nad Tatrami błyska (105. rocznica)
16 stycznia 1892 — urodził się Josef Skupa, artysta narodowy, założyciel Teatru Spejbla i Hurvínka (90. rocznica)
21 stycznia 1862 — zmarła Božena Němcová, wybitna powieściopisarka czeska (120. rocznica)
24 stycznia 1852 — zmarł Jan Kollár, poeta słowacki i slawista (130. rocznica)
31 stycznia 1962 — zmarł Vlasta Burian, czeski aktor teatralny i filmowy (20. rocznica)

LUTY

Kalendarium				Tydz.	Notatki
1	P	Ignacego, Brygidy	☽	6	
2	W	Marii, Mirosława			
3	Ś	Błażeja, Hipolita			
4	Cz	Andrzeja, Jarmili			
5	P	Agaty, Adelajdy			
6	S	Doroty, Wandy			
7	**N**	**Weroniki, Ryszarda**			
8	P	Jana, Milady	○	7	
9	W	Apolinii, Nikifora			
10	Ś	Renaty, Mojmira			
11	Cz	Bożeny, Łucjusza			
12	P	Grzegorza, Modesta			
13	S	Katarzyny			
14	**N**	**Walentego, Zenona**			
15	P	Jerzyny, Jowity	☾	8	
16	W	Julianny, Danuty			
17	Ś	Konstancji, Zbigniewa			
18	Cz	Gizeli, Zuzanny			
19	P	Arnolda, Konrada			
20	S	Leona, Oldrzycha			
21	**N**	**Lenki, Feliksa**			
22	P	Romany, Seweryna	●	9	
23	W	Marty, Małgorzaty			
24	Ś	Macieja, Boguna			
25	Cz	**Zwycięstwo czechosł. ludu (1948)**			
26	P	Bogusława, Dory			
27	S	Aleksandra, Gabriela			
28	**N**	**Romana, Lubomira**			

**Gdy bez wiatrów luty chodzi,
w kwietniu wiater nie zawodzi.**



**Gdy Agata w błocie brodzi,
Człek w Wielkanoc po lodzie chodzi.**



**Luty, który wiatrów i mrozów nie daje,
prowadzi rok słotny i nieurodzaje.**



**Gdy luty zimny i suchy,
sierpień będzie gorący.**



**Kiedy luty pofolguje,
marzec zimę zreperuje.**



**Gdy mróz w lutym ostro trzyma,
wtedy jest niedługo zima.**



FOTOGRAFIA: BOGDAN KRZYWOŃ

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 7,20, zachód 16,38
Dnia 15.: wschód 6,57, zachód 17,03

Rocznice:

1 lutego 1882 — urodziła się Marie Majerová, wybitna powieściopisarka czeska, artystka narodowa (100. rocznica)
8 lutego 1812 — urodził się Charles Dickens, wybitny powieściopisarz angielski (170. rocznica)
19 lutego 1812 — urodził się Zygmunt Krasiński, polski poeta romantyczny (170. rocznica)
23 lutego 1942 — zmarł Stefan Zweig, austriacki powieściopisarz (40. rocznica)
25 lutego 1842 — urodził się Karol May, niemiecki powieściopisarz (140. rocznica)
27 lutego 1902 — urodził się John Steinbeck, amerykański powieściopisarz, laureat Nagrody Nobla (80. rocznica)

MARZEC

Kalendarium				Tydz.	Notatki
1	P	Albina, Antoniego		10	
2	W	Heleny, Agnieszki	☽		
3	Ś	Kamila, Kunegundy			
4	Cz	Kazimierza, Eugeniusza			
5	P	Fryderyka, Wacława			
6	S	Mirosława, Pawła			
7	N	**Tomasza, Felicji**			
8	P	Wincentego, Gabrieli		11	
9	W	Franciszki, Katarzyny	○		
10	Ś	Wiktorii, Cypriana			
11	Cz	Benedykta, Konstantego			
12	P	Bernarda, Grzegorza			
13	S	Róży, Ernesta			
14	N	**Matyldy, Bożeny**			
15	P	Klemensa, Idy		12	
16	W	Amosa, Izabeli			
17	Ś	Kornelii, Zbigniewa	☾		
18	Cz	Edwarda			
19	P	Józefa, Bogdana			
20	S	Eufemii, Klaudii			
21	N	**Benedykta, Lubomira**			
22	P	Katarzyny, Leona		13	
23	W	Pelagii, Zygmunta			
24	Ś	Gabriela, Marka			
25	Cz	Marii, Ireneusza	●		
26	P	Teodora, Emanuela			
27	S	Jana, Lidii			
28	N	**Anieli**			
29	P	Eustachego, Tatiany LEKARZ		14	
30	W	Arnolda			
31	Ś	Balbiny, Kwidy			

W który dzień w marcu mgła,
za trzy miesiące deszcz da.



A po marcu, co mgłą raczy,
tyleż lato się zapłacze.



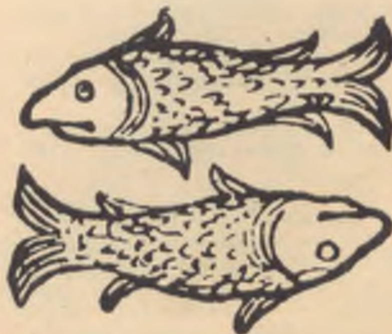
Gdy na Józka bociek siądzie,
zimy więcej już nie będzie.



Marzec, co z deszczem chadza,
mokry czerwiec sprowadza.



Suchy marzec, maj niechłodny,
kwiecień mokry, rok niegłodny.





FOTOGRAFIA: RADEK KRYGIEL

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 6,30, zachód 17,26
Dnia 15.: wschód 6,00, zachód 17,49

Rocznice:

4 marca 1852 — zmarł Nikołaj Wasyljewicz Gogol, rosyjski powieściopisarz (130. rocznica)
9 marca 1962 — zmarł Zdeněk Nejedlý, czeski polityk, historyk i filozof (20. rocznica)
10 marca 1947 — podpisanie Umowy o przyjaźni i wzajemnej współpracy między Polską i Czechosłowacją (35. rocznica)
15 marca 1897 — zmarł Edvard Jelínek, powieściopisarz i tłumacz, wybitny polonofil (85. rocznica)
22 marca 1832 — zmarł Johann Wolfgang Goethe, niemiecki poeta romantyczny (150. rocznica)
29 marca 1937 — zmarł Karol Szymanowski, kompozytor polski (45. rocznica)

KWIECIEŃ

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	Cz	Hugona, Grażyny		
2	P	Franciszki, Eryki		
3	S	Ryszarda, Pankracego		
4	N	**Izydora, Wacława**		
5	P	Ireny, Wincentego	15	
6	W	Mirosławy, Wilhelma		
7	Ś	Hermana, Apolonii		
8	Cz	Krystyny, Emy		
9	P	Marii, Duszana		
10	S	Radomiła, Małgorzaty		
11	N	**Niedziela Wielkanocna**		
12	**P**	**Poniedziałek Wielkanocny**	16	
13	W	Justyny, Alesza		
14	Ś	Wincentego, Waleriana		
15	Cz	Anastazji, Wacława		
16	P	Ireny, Julii		
17	S	Roberta, Rudolfa		
18	N	**Walerii, Bogusławy**		
19	P	Rościsława, Adolfa	17	
20	W	Marcela, Krzysztofa		
21	Ś	Szymona, Aleksandry		
22	Cz	Łukasza		
23	P	Jerzego, Wojciecha		
24	S	Aleksego, Grzegorza		
25	N	**Jarosława, Marka**		
26	P	Ottona, Marzeny	18	
27	W	Jarosława, Teofila		
28	Ś	Karola, Włastisława		
29	Cz	Piotra, Roberta		
30	P	Katarzyny, Mariana FRYZJER		

Grzmot w kwietniu — dobra nowina,
już szron liści nie pościna.



Gdy Jerzy pogodą częstuje,
wnet się takowa zepsuje.



Ciepłe deszcze w kwiecień
rokują pogodną jesień.



Ciepły kwiecień, mokry maj —
będzie żyto jako gaj.



Kiedy Marek ciepłem darzy,
mróz ogrody jeszcze zwarzy.



FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 5,23, zachód 18,16
Dnia 15.: wschód 4,53, zachód 18,38

Rocznice:

9 kwietnia 1757 — urodził się Wojciech Bogusławski, dramatopisarz polski (225. rocznica)
12 kwietnia 1842 — urodziła się Eliza Orzeszkowa, wybitna powieściopisarka polska (140. rocznica)
15 kwietnia 1452 — urodził się Leonardo da Vinci, włoski malarz, rzeźbiarz, architekt, inżynier i naukowiec (530. rocznica)
19 kwietnia 1882 — zmarł Charles Robert Darwin, angielski przyrodnik (100. rocznica)
24 kwietnia 1952 — zmarł Jaromír John (właściwe nazwisko Bohumil Markalous), czeski powieściopisarz (30. rocznica)

MAJ

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	**S**	**Święto Pracy**		
2	**N**	**Anatola, Zygmunta**		
3	P	Antoniny, Aleksego	19	
4	W	Moniki, Floriana		
5	Ś	Powstanie Majowe Ludu Czeskiego		
6	Cz	Jana, Juranda		
7	P	Benedykta, Stanisława		
8	S	Dominiki ☺		
9	**N**	**Święto państwowe CSRS**		
10	P	Antoniego, Izydora	20	
11	W	Wojciecha, Franciszka		
12	Ś	Pankracego, Dominika		
13	Cz	Serwacego, Roberta		
14	P	Bonifacego, Sobiesława		
15	S	Zofii		
16	**N**	**Andrzeja, Wieńcesława** ☾		
17	P	Weroniki, Brunona	21	
18	W	Feliksa, Nataszy		
19	Ś	Piotra		
20	Cz	Bazylego, Bernardyna		
21	P	Moniki, Heleny		
22	S	Emila, Wiesławy		
23	**N**	**Iwony, Dezyderego** ☻		
24	P	Joanny, Zuzanny	22	
25	W	Wioli, Urbana		
26	Ś	Pauliny, Filipa		
27	Cz	Waldemara		
28	P	Magdaleny, Wilhelma		
29	S	Teodozji ☽		
30	**N**	**Ferdynanda, Hilarego**		
31	P	Anieli, Petroneli	23	

Pankracy, Serwacy, Bonifacy,
gdy z przymrózkiem stają,
lato zimne dają.



Gdy przed Pankracym nocą
przymrozi,
lato bywa przepadziste,
a jesienią czasy dżdżyste.



Gdy się maj grzmotem odezwie
na wschodzie,
to sprzyja sianu i zbożu
w urodzie.



Na Magdaleny pogoda, to
dla wszystkich wygoda,
gdy zaś słota, to lichota.



FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 4,23, zachód 19,03
Dnia 15.: wschód 4,00, zachód 19,23

Rocznice:

7 maja 1867 — urodził się Władysław Stanisław Reymont, wybitny polski powieściopisarz, laureat Nagrody Nobla (115. rocznica)
13 maja 1907 — urodził się Paweł Kubisz, śląski poeta (75. rocznica)
19 maja 1912 — zmarł Bolesław Prus, wybitny powieściopisarz polski (70. rocznica)
23 maja 1842 — urodziła się Maria Konopnicka, wybitna poetka polska (140. rocznica)
25 maja 1892 — urodził się Josip Broz-Tito, jugosłowiański polityk, prezydent Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii (90. rocznica)
31 maja 1892 — w czasie pożaru na kopalni w Przibramiu zginęło 319 górników (90. rocznica)

CZERWIEC

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	W	Jakuba, Konrada		
2	Ś	Jarmili, Erazma		
3	Cz	Leszka, Klotyldy [illegible]		
4	P	Dalibora, Karola		
5	S	Dobrosława, Walerii		
6	**N**	**Norberta, Pauliny** 🌑		
7	P	Wiesława, Iwety	24	
8	W	Medarda, Wilhelma		
9	Ś	Felicjana		
10	Cz	Małgorzaty, Bogumiła		
11	P	Barbary, Feliksa		
12	S	Antonii, Onufrego		
13	**N**	**Antoniego, Łucjana**		
14	P	Wasyla, Elizy ☾	25	
15	W	Jolanty, Wita		
16	Ś	Justyny, Zenona		
17	Cz	Adolfa, Laury		
18	P	Marka, Milana		
19	S	Gerwazego, Protazego		
20	**N**	**Reginy, Florentyny**		
21	P	Alojzego, Marty 🌕	26	
22	W	Pauliny		
23	Ś	Wandy, Zenona		
24	Cz	Jana		
25	P	Wilhelma, Łucji		
26	S	Pawła		
27	**N**	**Władysława, Marii**		
28	P	Ireneusza, Lubomira ☽	27	
29	W	Piotra, Pawła		
30	Ś	Emilii, Lucyny		

Jak na Piotra posuszy,
lato i jesień przesuszy.

★

Jak się Jan obwieści,
takich będzie dni trzydzieści.

★

Gdy czerwiec mokry po zimnym maju,
chłopom w jesieni będzie jak w raju.

★

Każdy deszcz na Jana
długie deszcze wróży
i powodziom służy.

★

Gdy Piotr z Pawłem z deszczem bieży,
słońce za mgłą tydzień leży.



Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 3,41, zachód 19,44
Dnia 15.: wschód 3,35, zachód 19,55

Rocznice:

- **3 czerwca 1862 — urodził się Adolf Dygasiński, powieściopisarz polski (120. rocznica)**
- **4 czerwca 1872 — zmarł Stanisław Moniuszko, wybitny kompozytor polski, autor pierwszej polskiej opery narodowej (110. rocznica)**
- **2 czerwca 1882 — zmarł Giuseppe Garibaldi, włoski rewolucjonista (100. rocznica)**
- **17 czerwca 1882 — urodził się Igor Stravinskij, kompozytor rosyjski (100. rocznica)**
- **28 czerwca 1947 — zmarł Stanisław Kostka Neumann, poeta czeski, artysta narodowy (35. rocznica)**

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

LIPIEC

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	Cz	Haliny, Laury		
2	P	Marii, Urbana		
3	S	Anatola, Radomira		
4	N	**Prokopa, Karoliny**		
5	P	Cyryla i Metodego	28	
6	W	Stracenie Mistrza Jana Husa (1415)		
7	Ś	Estery, Lecha		
8	Cz	Elżbiety, Prokopa		
9	P	Weroniki, Drahosława		
10	S	Amalii, Libuszy		
11	**N**	**Olgi, Pelagii**		
12	P	Weroniki, Jana	29	
13	W	Małgorzaty, Ernesta		
14	Ś	Ziemowita, Karoliny ☾		
15	Cz	Henryka, Włodzimierza		
16	P	Marii, Lubosza		
17	S	Aleksego, Bogdana		
18	**N**	**Szymona, Kamila**		
19	P	Wincentego, Alfreda	30	
20	W	Czesława, Hieronima ●		
21	S	Daniela, Andrzeja		
22	Cz	Święto państwowe PRL		
23	P	Apolinarego, Libora		
24	S	Krystyny, Kingi		
25	N	**Jakuba, Krzysztofa**		
26	P	Anny, Grażyny	31	
27	W	Natalii, Marty ☽		
28	Ś	Wiktora, Inocentego		
29	Cz	Beatryczy, Marty		
30	P	Ludmiły		
31	S	Ignacego, Lubomira		

Jeśli po lipcu gorącym
sierpień się ochłodzi,
to później zima twarda
z wielkim śniegiem nadchodzi.



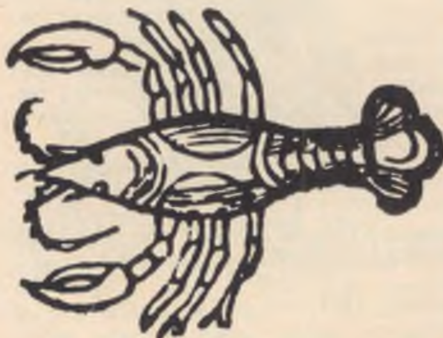
Lato ciepłe, ale dżdżyste —
znaki plonu oczywiste.



Po gorącym lipcu gdy sierpień
ochłodzi,
zima twarda zwyczajnie z wielkim
śniegiem chodzi.



Deszcz na lipca pierwszego,
drugiego
zapowiedzią deszczu
czterdziestodniowego.





FOTOGRAFIA: TADEUSZ WRATNY

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 3,39, zachód 19,58
Dnia 15.: wschód 3,51, zachód 19,49

Rocznice:

1 lipca 1952 — zmarł Fráňa Šrámek, poeta czeski, artysta narodowy (30. rocznica)
6 lipca 1962 — zmarł Wiliam Faulkner, amerykański powieściopisarz, laureat Nagrody Nobla (20. rocznica)
17 lipca 1942 — rozpoczęła się stalingradzka bitwa pozycjami obronnymi przed miastem (40. rocznica)
18 lipca 1872 — urodził się Juliusz Fučík, czeski kompozytor i kapelmistrz (110. rocznica)
24 lipca 1802 — urodził się Aleksander Dumas st., francuski dramatyk i powieściopisarz (180. rocznica)
28 lipca 1812 — urodził się Józef Ignacy Kraszewski, wybitny polski powieściopisarz (170. rocznica)

SIERPIEŃ

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	**N**	**Piotra, Wiery**		
2	P	Gustawa	32	
3	W	Lidii, Nikodema		
4	Ś	Dominika, Protazego		
5	Cz	Marii, Oswalda		
6	P	Jakuba		
7	S	Doroty, Konrada		
8	**N**	**Krystyny, Cypriana**		
9	P	Romualda, Rolanda	33	
10	W	Wawrzyńca, Borysa		
11	Ś	Zuzanny, Lidii		
12	Cz	Klary, Euzebiusza		
13	P	Aleny, Hipolita		
14	S	Sylwii, Alfreda		
15	**N**	**Marii, Stelli**		
16	P	Joachima	34	
17	W	Piotra, Julianny		
18	Ś	Heleny, Klary		
19	Cz	Emanuela, Ludwika		
20	P	Bernarda, Samuela		
21	S	Joanny, Franciszka		
22	**N**	**Cezarego, Tymoteusza**		
23	P	Filipa, Apolinarego	35	
24	W	Bartłomieja, Jerzego		
25	Ś	Lucylii, Ludwika		
26	Cz	Aleksandra, Marii		
27	P	Józefa, Róży		
28	S	Augustyna		
29	**N**	**Słow. Powstanie Narodowe (1944)**		
30	P	Feliksa, Szczęsnego	36	
31	W	Pauliny, Rajmunda		

Ostatni sierpnia zapowiada,
jaka pogoda na październik
wypada.



W pierwszym tygodniu sierpnia
spieka —
zima ciężka, śnieżna i długa nas
czeka.



Z sierpem w ręku witać
sierpień —
wiele uciech, wiele cierpień.



Gdy się Bartłomiej z grzmotem
głosi,
grady i rychłe śniegi przynosi.





FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 4,13, zachód 19,29
Dnia 15.: wschód 4,33, zachód 19,05

Rocznice:

1 sierpnia 1962 — zmarł Leon Kruczkowski, dramatopisarz i powieściopisarz polski (20. rocznica)
2 sierpnia 1897 — zmarł Adam Asnyk, poeta polski (85. rocznica)
5 sierpnia 1852 — zmarł František Ladislav Čelakovský, czeski poeta i slawista (130. rocznica)
8 sierpnia 1847 — zmarł Samuel Bogumił Linde, filolog polski, autor Słownika języka polskiego (135. rocznica)
20 sierpnia 1847 — urodził się Bolesław Prus, wybitny powieściopisarz polski (135. rocznica)
21 sierpnia 1967 — zmarł Ilja Erenburg, rosyjski powieściopisarz, publicysta i tłumacz (15. rocznica)

WRZESIEŃ

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	Ś	Bronisława		
2	Cz	Juliana, Stefana		
3	P	Izabeli, Szymona		
4	S	Rozalii		
5	**N**	**Doroty, Wawrzyńca**		
6	P	Beaty, Eugenii	37	
7	W	Reginy, Melchiora		
8	Ś	Marii, Nestora		
9	Cz	Piotra, Sergiusza		
10	P	Aldony, Łukasza		
11	S	Jacka, Piotra		
12	**N**	**Marii, Gwidona**		
13	P	Eugenii, Filipa	38	
14	W	Idy, Bernarda		
15	Ś	Albina, Nikodema		
16	Cz	Edyty, Kornela		
17	P	Justyny, Franciszka		
18	S	Ireny, Irmy		
19	**N**	**Konstancji**		
20	P	Eustachego	39	
21	W	Mateusza, Hipolita		
22	Ś	Tomasza, Maurycego		
23	Cz	Tekli, Bogusława		
24	P	Gerarda, Teodora		
25	S	Aurelii, Władysława		
26	**N**	**Justyny, Cypriana**		
27	P	Kosmy, Damiana	40	
28	W	Wacława, Marka		
29	Ś	Michała		
30	Cz	Zofii, Hieronima		

**Jesień w owoc bogata, a zaś lato w żniwa,
wiosna kwiaty wydaje, zima ognia chciwa.**



**Wiele ostu na wrzesień
wróży pogodną jesień.**



**Jeżeli wrzesień jest ciepły i suchy,
pewno październik nie oszczędzi pluchy.**



**Liść na drzewie mocno trzyma,
nie tak prędko przyjdzie zima.**



**We wrześniu gdy tłuste ptaki,
mróz w zimie nie ladajaki.**





FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 4,59, zachód 18,30
Dnia 15.: wschód 5,20, zachód 18,00

Rocznice:

9 września 1912 — zmarł Jaroslav Vrchlický, wybitny poeta czeski (70. rocznica)
9 września 1917 — urodził się Jan Pilař, czeski poeta i tłumacz (65. rocznica)
13 września 1872 — zmarł Ludwig Feuerbach, filozof niemiecki (110. rocznica)
21 września 1952 — zmarł Marian Szyjkowski, historyk literatury polskiej (30. rocznica)
23 września 1907 — urodził się František Filipovský, czeski aktor, zasłużony artysta (75. rocznica)
25 września 1897 — urodził się Wiliam Faulkner, amerykański powieściopisarz, laureat Nagrody Nobla (85. rocznica)

PAŹDZIERNIK

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	P	Danuty		
2	S	Teofila, Dionizego		
3	**N**	**Teresy, Gerarda** ☺		
4	P	Rozalii, Franciszka	41	
5	W	Igora, Apolinarego		
6	Ś	Artura, Brunona		
7	Cz	Justyny, Szczęsnego		
8	P	Brygidy, Wiery		
9	S	Bogdana, Arnolda		
10	**N**	**Franciszka, Pauliny** ☾		
11	P	Emila, Aldony	42	
12	W	Maksymiliana		[illegible]
13	Ś	Edwarda, Teofila		
14	Cz	Strajk Generalny (1918)		
15	P	Jadwigi, Teresy		
16	S	Florentyny, Ambrożego		
17	**N**	**Małgorzaty, Wiktora** ●		
18	P	Juliana, Łukasza	43	
19	W	Piotra, Ziemowita		
20	Ś	Ireny, Kleopatry		
21	Cz	Urszuli, Hilarego		
22	P	Filipa, Halki		
23	S	Rafała, Seweryna		
24	**N**	**Piotra, Salomei**		
25	P	Darii, Ingi ☽	44	
26	W	Emeryka, Lucjana		
27	Ś	Sabiny, Wincentego		
28	Cz	**Dzień Upaństwowienia (1945) — Ogłoszenie samodzielności państwa CSRS (1918) — Uchwała o czsł. federacji (1968)**		
29	P	Narcyza, Wioletty		
30	S	Deklaracja w Martinie (1918)		
31	**N**	**Urbana, Saturnina**		

Jaka pogoda w dzień Urszuli,
w takiej zima przyjdzie koszuli.



Kiedy klon wcześnie opada —
srogą zimę zapowiada.



Miesiąc październy —
marca obraz wierny.



Gdy październik ciepło trzyma,
zwykle mroźna bywa zima.



Kiepski rok zapowiada,
gdy na Szymona pada.





FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 5,47, zachód 17,25
Dnia 15.: wschód 6,08, zachód 16,55

Rocznice:

3 października 1897 — urodził się Louis Aragon, francuski powieściopisarz (85. rocznica)
6 października 1882 — urodził się Karol Szymanowski, kompozytor polski (100. rocznica)
7 października 1847 — urodził się Emil Holub, czeski lekarz i podróżnik (135. rocznica)
8 października 1922 — był wyprodukowany pierwszy radziecki samochód (60. rocznica)
9 października 1967 — zmarł André Maurois, francuski powieściopisarz (15. rocznica)

LISTOPAD

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	P	Feliksa	45	
2	W	Święto Zmarłych		
3	Ś	Huberta, Bogumiła		
4	Cz	Karola, Olgierda		
5	P	Elżbiety, Sławomira		
6	S	Leonarda		
7	N	**Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa (1917)**		
8	P	Seweryna, Klaudiusza	46	
9	W	Teodora, Ursyna		
10	Ś	Andrzeja		
11	Cz	Marcina, Bartłomieja		
12	P	Witolda, Renaty		
13	S	Stanisława		
14	N	**Wawrzyńca, Emila**		
15	P	Leopolda, Gertrudy	47	
16	W	Edmunda		
17	Ś	Salomei, Grzegorza		
18	Cz	Romana, Anieli		
19	P	Elżbiety, Seweryny		
20	S	Feliksa, Anatola		
21	N	**Konrada, Alberta**		
22	P	Cecylii, Marka	48	
23	W	Klemensa, Adeli		
24	Ś	Emilii, Flory		
25	Cz	Katarzyny, Erazma		
26	P	Konrada, Artura		
27	S	Waleriana, Wirgiliusza		
28	N	**Zdzisława, Grzegorza**		
29	P	Waltera, Błażeja	49	
30	W	Andrzeja, Maury		

W listopadzie grzmi —
rolnik wiosnę śni.



Orzech prędko gdy opada,
zima się trwała nie nada.



Gdy się czas zmieni,
na to, co w wiośnie pragniesz,
zapłaczesz w jesieni.



Pierwszy śnieżek w błoto pada,
słabą zimę zapowiada.



Deszcz z początkiem listopada
na koniec grudnia mrozy
zapowiada.





FOTOGRAFIA: BOGDAN KRZYWOŃ

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 6,34, zachód 16,23
Dnia 15.: wschód 6,57, zachód 16,02

Rocznice:

6 listopada 1937 — zmarł Bolesław Leśmian, wybitny poeta polski (45. rocznica)
7 listopada 1867 — urodziła się Maria Skłodowska-Curie, wybitna uczona polska (115. rocznica)
10 listopada 1887 — urodził się Arnold Zweig, niemiecki powieściopisarz (105. rocznica)
14 listopada 1847 — zmarł Josef Jungmann, czeski uczony (135. rocznica)
18 listopada 1862 — otwarty został w Pradze Teatr Tymczasowy (120. rocznica)
18 listopada 1847 — urodziła się Eliška Krásnohorska, czeska powieściopisarka, tłumaczka Pana Tadeusza (135. rocznica)

GRUDZIEŃ

Kalendarium			Tydz.	Notatki
1	Ś	Natalii		
2	Cz	Balbiny, Blanki		
3	P	Franciszka, Ksawerego		
4	S	Barbary, Piotra		
5	**N**	**Saby**		
6	P	Mikołaja	50	
7	W	Ambrożego, Marcina		
8	Ś	Marii		
9	Cz	Leokadii, Wiesława		
10	P	Judyty, Julii		
11	S	Damazego, Danuty		
12	**N**	**Aleksandra, Adelajdy**		
13	P	Łucji, Otylii	51	[illegible]
14	W	Alfreda, Izydora		
15	Ś	Waleriana, Celiny		
16	Cz	Euzebiusza, Albiny		
17	P	Łazarza, Olimpii		
18	S	Bogusława, Gracjana		
19	**N**	**Urbana, Dariusza**		
20	P	Dominika, Bogumiły	52	[illegible]
21	W	Tomasza		
22	Ś	Honoraty, Zenona		
23	Cz	Wiktorii, Sławomiry		
24	P	Adama i Ewy		
25	**S**	**Pierwsze święto godowe**		
26	**N**	**Drugie święto godowe**		
27	P	Jana, Cezarego	53	
28	W	Antoniego, Teofili		
29	Ś	Dominika, Judyty		
30	Cz	Dawida, Eugeniusza		
31	P	Melanii, Sylwestra		

**Gdy choinka stoi na lodzie,
to pewnikiem utonie w wodzie.**



**Suchy grudzień stoi za to,
że sucha wiosna i suche lato.**



**Gdy na Gody bardzo biało,
wiosną śniegu jest niemało.**



**Jeśli w grudniu często dmucha,
to w marcu i kwietniu plucha.**



**Po suchej zimie
wiosna bez deszczów minie.**



**Mroźny grudzień i wiele śniegu,
żyzny roczek będzie w biegu.**





FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1.: wschód 7,21, zachód 15,47
Dnia 15.: wschód 7,37, zachód 15,43

Rocznice:

3 grudnia 1902 — urodziła się Olga Scheinpflugová, czeska aktorka i powieściopisarka (80. rocznica)
4 grudnia 1922 — urodził się Gérard Philipe, aktor francuski (60. rocznica)
8 grudnia 1832 — urodził się Björnstjerne Björnson, norweski powieściopisarz (150. rocznica)
12 grudnia 1882 — urodził się Jiří Mahen (właściwe nazwisko Ant. Vančura), czeski powieściopisarz i dramatopisarz (100. rocznica)
17 grudnia 1897 — urodził się Władysław Broniewski, wybitny poeta polski (85. rocznica)
25 grudnia 1642 — urodził się Issac Newton, angielski fizyk i matematyk (340. rocznica)

PAMIĘTNE DNI I WYBRANE DATY NA ROK 1981

10 stycznia	Gustáv Husák (*1913)
15 stycznia	Dzień Czechosłowackich Wojsk Rakietowych i Artylerii
21 stycznia	Zgon W. I. Lenina (+1924)
23 lutego	Dzień Armii Radzieckiej oraz Radzieckiej Marynarki Wojennej
25 lutego	Zwycięstwo czechosłowackiego ludu pracującego (1948) — uroczysty dzień CSRS
1 marca	Rozpoczęcie Miesiąca Książki
2 marca	Lot pierwszego obywatela czechosłowackiego w Kosmos (Vlad. Remek — 1978)
8 marca	Międzynarodowy Dzień Kobiet
28 marca	Dzień Nauczyciela
	Jan Ámos Komenský (*1592)
4 kwietnia	Święto państwowe Węgierskiej Republiki Ludowej
5 kwietnia	Ogłoszenie Koszyckiego Programu Rządowego (1945)
11 kwietnia	Dzień Międzynarodowej Solidarności byłych Więźniów Politycznych i Bojowników Antyfaszystowskich
12 kwietnia	Pierwszy lot człowieka w Kosmos (J. A. Gagarin — 1961)
17 kwietnia	Dzień Milicji Obywatelskiej
22 kwietnia	W. I. Lenin (*1870)
1 maja	Święto Pracy
5 maja	Powstanie Majowe Ludu Czeskiego (1945)
6 maja	Podpisanie nowej umowy o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy CSRS i ZSRR (1970)
9 maja	Święto państwowe Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej
	Rocznica wyzwolenia naszej ojczyzny przez Armię Radziecką (1945)
14 — 16 maja	Założenie Komunistycznej Partii Czechosłowacji (1921)
1 czerwca	Międzynarodowy Dzień Dziecka
10 czerwca	Zagłada Lidic (1942 — 40. rocznica)
3 lipca	Międzynarodowy Dzień Spółdzielczy
5 lipca	Słowiańscy kaznodzieje Cyryl i Metody — pamiętny dzień CSRS
6 lipca	Stracenie Mistrza Jana Husa (1415) — pamiętny dzień CSRS
11 lipca	Święto państwowe Mongolskiej Republiki Ludowej
	Dzień Wojsk Ochrony Pogranicza
	Dzień Budowlanych
22 lipca	Święto państwowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
26 lipca	Święto państwowe Republiki Kuby
23 sierpnia	Święto państwowe Rumuńskiej Republiki Socjalistycznej
29 sierpnia	Słowackie Powstanie Narodowe (1944) — uroczysty dzień CSRS
2 września	Święto państwowe Wietnamskiej Republiki Socjalistycznej
9 września	Święto państwowe Bułgarskiej Republiki Ludowej
	Święto państwowe Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej
	Dzień Górnika
17 września	Dzień Czechosłowackiego Lotnictwa
21 września	Dzień Prasy, Radia i Telewizji
	Założenie „Rudého práva" (1920)
27 września	Dzień Kolejarzy Czechosłowackich
1 października	Święto państwowe Chińskiej Republiki Ludowej
6 października	Dzień Czechosłowackiej Armii Ludowej
7 października	Święto państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej
14 października	Strajk generalny ogłoszony przez Radę Socjalistyczną (1918)
28 października	Dzień upaństwowienia (1945)
	Ogłoszenie samodzielności państwa Czechów i Słowaków (1918)
	Uchwalenie ustawy o czsł. federacji (1968)
30 października	Deklaracja w Martinie (1918)
7 listopada	Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa (1917 — 65. rocznica) — uroczysty dzień CSRS — święto państwowe ZSRR
	Zagajenie Miesiąca Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej

10 listopada	Międzynarodowy Dzień Młodzieży
17 listopada	Międzynarodowy Dzień Studentów
23 listopada	Klement Gottwald (*1896)
25 listopada	Ludvík Svoboda (*1895)
28 listopada	Fryderyk Engels (*1820)
29 listopada	Święto państwowe Albańskiej Republiki Ludowej
	Święto państwowe Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii
19 grudnia	Antonín Zápotocký (*1884)

ROK 1983

	STYCZEŃ	LUTY	MARZEC
Poniedziałek	3 10 17 24 31	7 14 21 28	7 14 21 28
Wtorek	4 11 18 25	1 8 15 22	1 8 15 22 29
Środa	5 12 19 26	2 9 16 23	2 9 16 23 30
Czwartek	6 13 20 27	3 10 17 24	3 10 17 24 31
Piątek	7 14 21 28	4 11 18 25	4 11 18 25
Sobota	1 8 15 22 29	5 12 19 26	5 12 19 26
Niedziela	2 9 16 23 30	6 13 20 27	6 13 20 27

	KWIECIEŃ	MAJ	CZERWIEC
Poniedziałek	4 11 18 25	2 9 16 23 30	6 13 20 27
Wtorek	5 12 19 26	3 10 17 24 31	7 14 21 28
Środa	6 13 20 27	4 11 18 25	1 8 15 22 29
Czwartek	7 14 21 28	5 12 19 26	2 9 16 23 30
Piątek	1 8 15 22 29	6 13 20 27	3 10 17 24
Sobota	2 9 16 23 30	7 14 21 28	4 11 18 25
Niedziela	3 10 17 24	1 8 15 22 29	5 12 19 26

	LIPIEC	SIERPIEŃ	WRZESIEŃ
Poniedziałek	4 11 18 25	1 8 15 22 29	5 12 19 26
Wtorek	5 12 19 26	2 9 16 23 30	6 13 20 27
Środa	6 13 20 27	3 10 17 24 31	7 14 21 28
Czwartek	7 14 21 28	4 11 18 25	1 8 15 22 29
Piątek	1 8 15 22 29	5 12 19 26	2 9 16 23 30
Sobota	2 9 16 23 30	6 13 20 27	3 10 17 24
Niedziela	3 10 17 24 31	7 14 21 28	4 11 18 25

	PAŹDZIERNIK	LISTOPAD	GRUDZIEŃ
Poniedziałek	3 10 17 24 31	7 14 21 28	5 12 19 26
Wtorek	4 11 18 25	1 8 15 22 29	6 13 20 27
Środa	5 12 19 26	2 9 16 23 30	7 14 21 28
Czwartek	6 13 20 27	3 10 17 24	1 8 15 22 29
Piątek	7 14 21 28	4 11 18 25	2 9 16 23 30
Sobota	1 8 15 22 29	5 12 19 26	3 10 17 24 31
Niedziela	2 9 16 23 30	6 13 20 27	4 11 18 25

Święta ruchome

Niedziela Wielkanocna . . . . 3 kwietnia
Poniedziałek Wielkanocny . . . . 4 kwietnia



Henryka Bittmar
DOBRZE ALBO JESZCZE LEPIEJ . . .

(Z OKAZJI 35-LECIA PZKO)

Od dłuższego czasu we wszystkich kołach Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego toczą się dyskusje nad tym, w jaki sposób zaktywizować rzesze członków oraz jeszcze bardziej rozwinąć amatorski ruch artystyczny, nie tracąc zarazem z pola widzenia zagadnień poziomu i jakości przedsięwzięć kulturalno-społecznych. Dyskusje zataczają coraz to szersze kręgi, włączają się do nich przedstawiciele wszystkich pokoleń.

Nie zawsze i nie wszędzie rozważania dotyczące tych ważnych niewątpliwie spraw przynoszą oczekiwane owoce. Koła, gdzie wysiłki artystów skierowane są nie tylko na przetrwanie, na zrealizowanie najważniejszych zadań po linii najmniejszego oporu, ale gdzie głośno się mówi o potrzebie wdrażania nowych metod pracy, o potęgowaniu wychowawczego wpływu na członków, o roli społecznej związkowych inicjatyw — zasługują na uwagę, zaś ich doświadczenia — na upowszechnienie. O takich kołach mówi się w Związku: „Ambitne, świadome swoich obowiązków". Mówi się o nich na forum władz gminnych — partyjnych, administracyjnych, oświatowych: „Kształtują oblicze socjalistycznej kultury, wychowują młodzież, przodują w czynach społecznych". I jest to wszystko, aby zasłużyć sobie na te pochlebne opinie, są niezmordowani, znają doskonale nie tylko historię własnego koła, przyczyny wszystkich jego sukcesów i skutki popełnionych na przestrzeni lat błędów. Znają też na wylot kulturalno-oświatowe tradycje własnego środowiska, sięgające nieraz daleko w przeszłość, potrafią się na nich oprzeć i rozwinąć je — twórczo i mądrze.

Jest takich kół wiele. Są między innymi w Oldrzychowicach, Skrzeczoniu, Rychwałdzie. . .

TWORZYĆ RZECZY NOWE

Alojzy Maroszczyk, współzałożyciel Koła rychwałdzkiego, długoletni jego sekretarz, ponadto zasłużony kierownik miejscowej szkoły z polskim językiem nauczania, od lat z dużym zainteresowaniem śledzi wszystkie procesy zachodzące wewnątrz rychwałdzkiej organizacji pezetkaowskiej, organizacji skupiającej lidzi o podobnych ambicjach i aspiracjach, ale z różnym zasobem doświadczeń i sił. Fakt, że w tym niedużym przecież kole, bo liczącym zaledwie 150 członków, udało się przez tyle lat zachować wysoki stopień aktywności członków, przypisuje Alojzy Maroszczyk między innymi klimatowi społecznemu, warunkom sprzyjającym rozwijaniu życia kulturalno-oświatowego.

„Kiedy zakładaliśmy przed 35 laty Koło, była nas garstka, ale już wówczas zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że obranie kursu na przetrwa-

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

nie, hołdowanie stereotypom ukształtowanym w przeszłości ludzi do nas bynajmiej nie pociągnie. To prawda, że tradycje kulturalno społeczne przedwojennego Rychwaldu były niewątpliwie bogate i różnorodne — chóry, zespoły teatralne, grupy sportowe — niemniej w nowych warunkach nie mogliśmy sobie pozwolić na powielanie starych wzorców. Ludzie potrzebowali stale nowych motywacji, potrzebowali świadomości, że uczestniczą w tworzeniu czegoś nowego. Jeżeli udało nam się przed laty reaktywować chór mieszany, to również m. in. dlatego, że dla ludzi była to nie tylko forma raz sprawdzona, ale również — tworzenie czegoś od podstaw, od początku, z wykorzystaniem własnego doświadczenia i pomysłów".

Koło PZKO w Rychwaldzie liczy się w gminie. Nie tylko dlatego, że przoduje w czynach społecznych. Również dlatego, że wywiera duży wpływ na kształtowanie sposobu życia ludności, że uczy obywateli, jak pożytecznie i ciekawie zagospodarować wolny czas, jak ku społecznemu pożytkowi zrealizować własne ambicje i zainteresowania, jak szanować i upowszechniać zdobycze kulturalne.

PROPOZYCJE DLA 400 CZŁONKÓW

O sposobach aktywizacji szeregów członkowskich mieliby zapewne wiele ciekawego do powiedzenia działacze Koła PZKO w Oldrzychowicach, uroczej miejscowości, położonej u stóp Jaworowego. Na przestrzeni lat, które upłynęły od założenia organizacji, liczba członków Koła wzrosła niemal czterokrotnie. Podczas gdy w roku 1947 u kolebki MK PZKO stało zaledwie 98 osób, obecnie Koło liczy około 400 członków. To niezwykłe zjawisko — bez precedensu zresztą w historii całego Związku — stawia przed oldrzychowickimi działaczami niełatwe zadania. Jak stwierdził prezes MK PZKO, inż. Wilhelm Zmelty, czterystu członków szuka w Kole czterystu różnych sposobów na realizację własnych aspiracji, na rozwijanie zainteresowań, pogłębianie więzi z otoczeniem, walkę z samotnością. „Musimy nieustannie szukać takich form i takich metod pracy — powiedział — aby nie rozczarować ani doświadczonych społeczników, ani młodych stażem działaczy. Wybudowaliśmy dom PZKO, zerwaliśmy raz na zawsze z prowizorką. Wszystkim ludziom, którzy zgłaszają chęć do pracy w Kole, chcemy dać pewność, że ich decyzja o włączeniu się w poczet członków i aktywistów jest wyborem słusznym. Liczne zespoły działające w naszym Kole cieszą się u miejscowej ludności dużą popularnością. Na wsi ruch artystyczny, amatorski ruch artystyczny, zajmuje — tak jak przed laty — wysoką pozycję w hierarchii społecznych poznań. Przedstawienia, które wystawia nasz zespół teatralny, miewają większą widownię — choć niełatwo się do tego przyznać — aniżeli teatr zawodowy. Po prostu są wydarzeniem nie tylko kulturalnym, ale i towarzyskim i jako takie też zasługują na nasze pełne poparcie".

ZAUFAĆ MŁODZIEŻY

Kiedy przed kilkunastu laty w Skrzeczoniu funkcję prezesa obejmował Eryk Czerny, miejscowe Koło liczyło się już na mapie Związku — przodowało w pracy kulturalno-oświatowej i społecznej. Tradycje społeczne w Skrzeczoniu sięgają daleko w przeszłość. Wydawało się więc, że Koło (nieduże — ok. 200 członków) osiągnęło już szczyt swoich możliwości.

Wkrótce okazało się jednak, że i tu namnożyły się zadania i nagromadziły spore rezerwy. Przede wszystkim więc dyskusje o aktywizacji bazy członkowskiej coraz częściej zahaczały o konieczność zainteresowania pracą społeczną pokolenia młodzieży. Mądra decyzja starszych aktywistów o nawiązaniu dialogu z młodym pokoleniem wkrótce przyniosła owoce. Dzisiaj w Kole o wszystkim decydują zarówno doświadczeni, starsi, jak i młodzi działacze. Włączenie się młodzieży w nurt życia społecznego przyniosło też rozwiązanie drugiej kwestii, dotyczącej podnoszenia na wyższy poziom pracy kulturalno-oświatowej. Odmłodzenie szeregów zespołów amatorskich nie pozostało bez wpływu na formy i metody pracy, i w rezultacie na efekt artystyczny. Systematyczna praca z dziećmi doprowadziła do utworzenia nowych zespołów dziecięcych i młodzieżowych, które — aczkolwiek pod względem warsztatu nie zdążyły jeszcze wybić się ponad przeciętność, to jednak bez wątpienia wywierają na dzieci duży wpływ wychowawczy. Ujął to w kilku słowach prezes Koła, Eryk Czerny: „Zaufaliśmy przed laty młodzieży, zawierzyliśmy jej dobrym intencjom, jej śmiałości, jej świeżemu spojrzeniu na wiele starych i nowych problemów, uznaliśmy ją za pełnowartościowego partnera. Widzimy teraz, że był to krok słuszny i zrobimy w przyszłości wszystko, aby dobrą współpracę pomiędzy przedstawicielami wszystkich pokoleń utrzymać przynajmniej na obecnym poziomie".

HENRYKA BITTMAR

Jiří Damborský
BILANS CZECHOSŁOWACKO-POLSKIEJ WSPÓŁPRACY KULTURALNEJ

(W związku z 35 leciem umowy o przyjaźni)

W dniu 10 marca 1947 premierzy Klement Gottwald i Józef Cyrankiewicz podpisali w Belwederze pierwszą Umowę o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Republiką Czechosłowacką i Polską Rzecząpospolitą Ludową, której termin wygasł w roku 1967. Dlatego w dniu 1 marca 1967 podpisano w Warszawie akt nowej umowy o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy, który znakomicie poszerza w treściach i zakresie tzw. Umowę Belwederską. Rocznica 35 lat podpisania umowy jest znakomitym pretekstem do refleksji na temat naszej wymiany i współpracy kulturalnej.

By móc właściwie ocenić całokształt dziejów naszej „wzajemności" kulturalnej po roku 1945, w nowych warunkach ustrojowych i społeczno-politycznych, by móc analizować jej zasięg i jakość, należy spojrzeć na zagadnienie kompleksowo.

Przede wszystkim podkreślić należy, że nasze stosunki wzajemne, to znaczy stosunki między Czechosłowacją i Polską, wyzwolonymi przez Armię Radziecką, zaczęły po roku 1945 rozwijać się na bazie bratniej współpracy, sojuszu i ścisłego współdziałania w wielu dziedzinach życia. Stosunki te określały zasady internacjonalistycznej klasowej współpracy, wspólnoty celów i interesów — wybudowanie socjalizmu.

Wymiana kulturalna stała się ważną częścią składową globalnej polityki kulturalnej naszych ludowodemokrat. państw. Charakterystyczna dla niej jest celowość, ideowość, właściwa hierarchia wartości. Praktyczną konsekwencją tego jest instytucjonalne wsparcie w postaci kierowanej polityki wydawniczej, która uwzględnia pewne preferencje w stosunku do bratnich kultur socjalistycznych, przede wszystkim w stosunku do kultury Związku Radzieckiego.

Dla badania, oceny i popularyzacji polskiej kultury u nas i czechosłowackiej kultury w Polsce ważne jest mieć na uwadze właśnie podane ogólnopolityczne przesłanki. Pierwszym warunkiem badań jest dokumentacja bibliograficzno-statystyczna. Wykrywa ona nie tylko stosunki ilościowe, ale również jakościowe, ponieważ wskazuje na ukierunkowanie i charakter wzajemnej wymiany dóbr kulturalnych.

Nie chodzi bynajmniej o mechaniczne zestawianie wykazów statystycznych, tablic, przeglądów, bowiem to nie wystarcza, jeżeli usiłujemy objąć kompleksowo zagadnienie, jeżeli chcemy właściwie zinterpretować napełnianie programu ideowo-kulturalnej integracji państw socjalistycznych i określić podstawowe kulturotwórcze kategorie tej integracji.

Program ideowo-kulturalnej integracji jest procesem ciągłym, do którego sukcesywnie włączali się artyści, poszczególne instytucje i ogniwa szeroko rozumianego frontu kulturalnego (wliczając w to wzajemne wizyty, odwiedziny, pobyty).

RECEPCJA POLSKIEJ LITERATURY

Dynamikę i jakość stosunków, i wymiany kulturalnej można zilustrować na przykładzie recepcji polskiej literatury u nas. Ma to tę zaletę, że tradycja przekładania i wymiany książek jest dawna, sięgająca głęboko w przeszłość, do czasów Jana Amosa Komeńskiego (tłumaczył pieśni Jana Kochanowskiego), romantyzmu, narodowo-

wyzwoleńczych i rewolucyjnych walk w wieku XIX. Ponadto mamy nieomal matematycznie dokładne obliczenia tłumaczeń z piśmiennictwa polskiego w bibliograficznych zestawach K. Oliwy i J. Korzennego, obejmujących całe okresy od najstarszych tłumaczeń po lata siedemdziesiąte.

Język statystyki jest jasny: według Oliwy do roku 1950 przetłumaczono 1010 tytułów. Korzennego zestawy bibliograficzne, kontynuujące dokumentację Oliwy na razie do roku 1970, wykazują ponad 700 pozycji. Daje to roczną przeciętną około 40 tytułów (25 przekładów czeskich i 15 słowackich). Biorąc tych 10 tytułów za przeciętną również dla dziesięciolecia 1970 — 1980, otrzymujemy około 400 książek, co razem z odnotowanymi 700 pozycjami daje ponad 1100 przekładów tylko z literatury pięknej, nie wliczając w to coraz bogatszy dział tłumaczeń literatury naukowej, popularnonaukowej i publicystycznej. Jan Pilař szacuje łączną ilość przetłumaczonych na języki czeski i słowacki po wojnie książek na 1200. Liczby to bardzo wymowne, świadczące o tym, że w ciągu powojennego 35-lecia (pierwszy powojenny przekład z języka polskiego ukazał się w 1947 roku) przetłumaczono tyle, ile za cztery wieki pracy translatorskiej od czasów renesansu po pierwszą połowę XX wieku.

Chcąc uważniej przyjrzeć się temu, co ukrywa się za przytoczonymi liczbami, nie trudno byłoby nam odkryć, że około dwóch trzecich ogólnej produkcji tłumaczeniowej przypada na literaturę współczesną, jedna trzecia zaś na literaturę klasyczną, starszą i najstarszą. Akcent na współczesność jest z punktu widzenia określonej polityki kulturalnej, zainteresowań i potrzeb państwa socjalistycznego zjawiskiem nader pozytywnym. Polska powojenna literatura umożliwia nam głębsze wniknięcie w powojenne i współczesne życie bratniego kraju, w żywą problematykę dnia dzisiejszego we wszystkich dziedzinach życia.

Ograniczając się li tylko do wskaźników ilościowych, zawężylibyśmy znacznie rangę i znaczenie „wzajemności" literackiej. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że ocenialmy jakiegoś wybitnego współczesnego twórcę tylko na podstawie jednej przetłumaczonej książki lub może być i tak, że przekładu jeszcze wcale nie ma. Rynek księgarski, wliczając w to również propozycje w zakresie przekładów, spełniać musi kilka postulatów: zapoznawać z nowościami, przynosić klasyczną spuściznę, równomiernie uwzględniać literaturę dla „dorosłych" i dla młodzieży. A zatem ważne jest uzupełnienie spojrzenia od strony bibliograficzno-statystycznej przez również inne aspekty.

Po pierwsze, trzeba uwzględnić produkcję nieksiążkową, tzn. przekłady w czasopismach, dziennikach, radiu, telewizji, nie pomijać twórczości teatralnej (przekłady z dramaturgii polskiej wychodzą często tylko jako powielone teksty Dilii) oraz filmowej. Właśnie film i telewizja reprezentują nowoczesne środki przekazu literackich treści widzom.

Frekwencja polskiej tematyki, nasycenie pism i środków masowego przekazu polską literaturą i kulturą szczególnie przybierają na intensywności w okresie świąt podstawowych naszych narodów lub przy innych okazjach, jak partyjno-państwowe wizyty na wysokim szczeblu, rocznice podpisania umów, ważne rozmowy i spotkania, zjazdy itp.

Dzisiaj można już mówić o nieprzerwanym toku literackiej wymiany między naszymi krajami. Wybitny udział w tym mają środki masowego przekazu.

INNE FORMY WZAJEMNOŚCI

Znakomity wkład w dzieło lepszego poznania kultur i literatur naszych bratnich narodów wniosły ośrodki kultury i informacji, które mają swoje siedziby w stolicach naszych republik, obejmujące swoją działalnością praktycznie całe terytorium danego państwa. Organizują wiele kulturalno-oświatowych i literackich imprez, jak spotkania z autorami, tłumaczami, biesiady literackie bądź we własnym zakresie, bądź — co zdarza się coraz częściej — przy współpracy z odpowiednimi miejscowymi placówkami kulturalno-oświatowymi

i z fachowcami (polonistami lub bohemistami i slowakistami).

Niemal we wszystkich miastach wojewódzkich, ale również mniejszych (Ołomuniec, Karwina, Opawa, Trzyniec, Gottwaldow) w księgarniach literatur obcych można nabyć polskie książki w oryginale (sprzedają je również branżowe księgarnie Ośrodków Polskich w Pradze i Bratysławie oraz specjalistyczny punkt sprzedaży polskich książek w Czeskim Cieszynie). W sklepach muzycznych Supraphonu są do nabycia polskie płyty, nuty, książki o muzykach i muzyce.

Główne nasze biblioteki naukowe, zwłaszcza w miastach uniwersyteckich i centrach naukowych, posiadają bogate działy polskich książek, publikacji, pism. Służba międzybiblioteczna zapewnia osobie zainteresowanej wypożyczenie książki z polskich bibliotek w PRL, jeżeli nie znajduje się w zbiorach naszych. Biblioteki naukowe prowadzą własne działy bibliograficzne i dokumentacyjne, które na żądanie świadczą różne usługi, jak informacje o książkach, o bieżącej produkcji, przekładach itp.

Istnieje wreszcie własna produkcja polonistyczna, niekoniecznie ograniczona tylko do ośrodków uniwersyteckich i instytutów Czechosłowackiej Akademii Nauk, choć największa część publikacji właśnie stąd pochodzi. Dotyczy ona wielu dziedzin — historii literatury polskiej, sylwetek pisarzy, monografii o twórcach i wybranych zagadnieniach literackich, słowników pisarzy polskich, słów wstępnych lub posłowi do tłumaczeń, regularnej pracy recenzenckiej w pismach i dziennikach, prac o historii Polski, historii ruchu robotniczego, wspólnej walki przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy, szeregu reprezentatywnych informatorów, przewodników, opisów (nie ograniczających się tylko do informacji turystycznej, lecz właśnie kulturalno-politycznej).

Procesem międzynarodowej wymiany kulturalnej objęte są również dalsze niewymierne wielkości, których częstotliwość i zasięg każą przypuszczać, że jest to dziś wcale znaczący nurt wzajemnego poznawania również zdobyczy kulturalnych. Mam na myśli turystyczną wymianę, reprezentującą dzisiaj praktycznie wolny przepływ obywateli naszych państw w obu kierunkach. Bezpośrednie doświadczenie, zapoznanie się z wybitnymi zabytkami historii i kultury, sztuk plastycznych, architektury, z urbanistycznymi koncepcjami reflektującymi socjalistyczny styl życia są też pozytywnym wkładem w dzieło naszej wzajemności kulturalnej. Doniosłość tych właśnie kontaktów wzrasta z roku na rok, ogarniając coraz szersze kręgi obywateli, i co szczególnie cieszy, młodzieży. Poznanie wszystkich aspektów życia „sąsiada" uwierzytelnia „zadomowiony byt" bratniego narodu we własnym kontekście.

Trzeba jeszcze nadmienić o instytucjonalnej wymianie, to jest takiej, która organizowana jest czy to na podstawie umowy kulturalnej między CSRS i PRL lub na podstawie partnerskich i patronackich umów, jakie dzisiaj istnieją między wieloma instytucjami, placówkami oświatowymi i kulturalnymi.

Za wzór takiej wymiany odznaczającej się wysokim stopniem świadomości i treściami internacjonalistycznymi podaje się umowę, jaka zawiązana została między komitetami wojewódzkimi partii w Ostrawie i Katowicach, będącą niejako modelową umową zawierania podobnych porozumień dla innych miast, powiatów i jednostek administracyjnych.

W ramach ostrawsko-katowickiej partyjnej umowy partnerskiej realizuje się przede wszystkim intensywną wymianę partyjną, która stanowi podstawę wszelkiej innej wymiany czy to gospodarczej, społecznej, czy kulturalnej. Na bazie tej umowy duże zakłady pracy, instytucje, szkoły (Uniwersytet Śląski i Fakultet Pedagogiczny), wydawnictwa (Profil w Ostrawie i Śląsk w Katowicach) zawarły własne partnerskie umowy, obejmujące wiele stron działalności i życia, w tym również kulturalnego. Poczyniono pierwsze kroki, by umowami partnerskimi objąć organizacje twórcze — pisarzy, kompozytorów, plastyków, ludzi teatru. Są już widoczne rezultaty tej wymiany, np. od lat realizowana wymiana wystaw malarskich naszych

ostrawskich plastyków z katowickim ośrodkiem artystycznym.

W ramach partnerskiej umowy odbywają się w obu województwach Dni Polskiej Kultury u nas (w Karwinie, Trzyńcu, Ostrawie, Ołomuńcu) oraz Dni Czechosłowackiej Kultury w Polsce. Przynoszą wiele ważnych imprez, jak wymiany zespołów teatralnych, zespołów tanecznych i śpiewaczych, wystawy książek połączone ze sprzedażą, wystawy płyt, kiermasze dzieł artystycznych i rzemiosł ludowych.

PODSUMOWANIE

Powojenna wymiana kulturalna i literacka sięga swymi korzeniami okresu dwudziestolecia międzywojennego, a szczególnie okresu okupacji, kiedy to we wspólnej walce przeciwko faszystowskiemu najeźdźcy zaczęły się krystalizować tendencje, które po wojnie stanowić miały fundament, na którym wsparł się gmach naszej wymiany kulturalnej. Animujące działania związane są z pierwszą umową o przyjaźni i współpracy z roku 1947. Życzliwy stosunek władz w obu państwach przyczynił się do stopniowego rozwoju wymiany, która wzbogaciła nasze narody o wiele humanistycznych wartości, przyczyniła się do lepszego wzajemnego poznania i zbliżenia, zapisała chlubne karty w historii wzajemnych stosunków między naszymi sąsiadującymi z sobą państwami. Wyliczając wszystkie zjawiska i okoliczności, składające się na jedyną w swoim rodzaju atmosferę, jaka ukształtowała się między naszymi kulturami i literaturami po wojnie, pamiętać musimy, że rangę temu nadała gorąca sympatia, z jaką przyjmowano po obu stronach wszelkie poczynania i inicjatywy na polu krzewienia przyjaźni i braterstwa. Idea wzajemnego zbliżenia weszła na stałe w obieg społeczny, zasiliła skarbnicę narodowej myśli, wzbogaciła nasze kultury.

Kłamią niewolnicy, wolni prawdę mówią.

(SENEKA)

Zwykłą kością tylko zwykłego psa przekupisz.

(FAFIK)

Nacjonalizm jest jaskrawym przykładem gorącej wiary w wątpliwe rzeczy.

(BERTRAND RUSSEL)

Kto chce za wiele dowieść, nie dowodzi niczego.

(BALZAC)

Tragizm rodu ludzkiego: na ogół człowiek jest mądry jednostronnie, ale głupi wielostronnie.

(LUDWIK HIRSZFELD)

To, czego nie rozumiemy, nigdy się nam nie podoba.

(KAROL DE KNOT)

Intryga wyższa jest od talentu: z niczego robi coś.

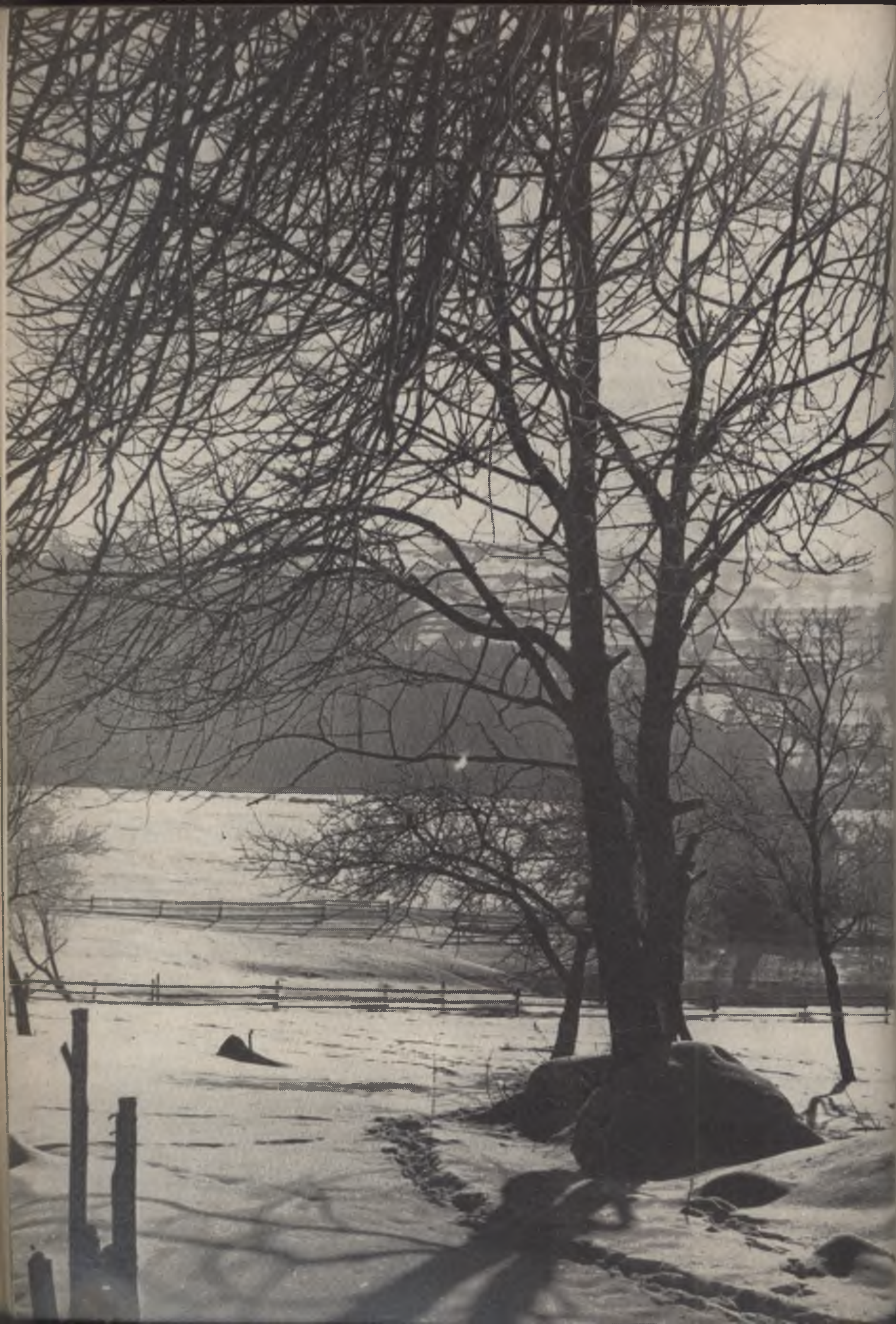
(BALZAC)

Pieniądze nie dają szczęścia, ale pozwalają nam znacznie wygodniej być nieszczęśliwymi.

(LORD GALLUX)

Nic łatwiejszego, niż zmienić kobietę przeciętną w wyjątkową. Wystarczy ją pokochać.

(M. G. SAUVAJON)



WILHELM PRZECZEK

U nas na Śląsku

U NAS NA ŚLĄSKU – robota plus plony,
strugi potu z dłoni.
U NAS NA ŚLĄSKU – pisał poeta – KRAJ JAK OGRÓD...

Moja ziemia zrosła się z poplonem,
na mojej ziemi ogień dziwny płonie.
Moja ziemia topi się w domysłach,
na mojej ziemi czas krzywdy zapisał.
Moja ziemia bierze wiatr w opiekę.
Na mojej ziemi człowiek jest człowiekiem.

Ludzie rosną z tej ziemi prosto.
Tylko wiatr pilnuje wygiętych konarów.
I jeśli się zaprzeczy smrek albo i buki,
trzeba dać przepust namiętnym poszumom.
Ludzie jak drzewa — różnią się naturą
słoi złożonych w lata dojrzewania.
Lipa może być tylko lipą,
a nikt nie zmieni charakteru wierzby.
Słowiańskie szumy pragną sie zrozumieć,
żeby żołądź dębu nie celował w serca.
Natura jest mądra w głębi objętej korzeniem
i skrzyżowanie zawsze jest pokracze.

Drzewa są dobre. I dobro je żywi,
zanim nienawiść nie zrobi z nich krzyża.

Szum

Zwierzam się z szumów najwierniej

Ziemia otwiera spowiedź grud
Po co te dymy wymowne na wyostrzony słuch

Zwierzam się słowem prostym
z połowu głosów
Szumi radośniej sposób
zdejmowania cudu ze skrzydeł

FOTOGRAFIA: BRONISŁAW BIELAN



ANNA FILIPEK

Kwiaty i słowa

Słowa są jak kwiaty,
tak różne kształtem,
zapachem,
kolorem.
Pierwsze są zwykłe, codzienne,
piękno w nich dostrzegalne tylko wzrokiem duszy,
jak polne kwiatki,
którymi rzucamy bezmyślnie,
bo nas nic nie kosztują.
Potem są słowa wielkie i dumne
jak tulipany w ogrodzie.
Pielęgnować je musimy,
chronić przed burzą
i płacić cenę —
choćby najwyższą.
Są również skromne fiołeczki,
tak cicho wymawiane,
niby nic,
jak lekki powiew wiosny,
jak przyjazny gest,
jak zrozumienie, co duszę raduje.
Ale są także osty i pokrzywy
wciśnięte zdradziecko
pod płotami naszych serc.
Kłują i bolą,
nikomu niepotrzebne.
Wyplewić je trzeba...
Mamy jeszcze w ogródku słów
śnieżyczki nieśmiałe.
Zawsze wystraszone, że może za wcześnie,
że w czyimś sercu jeszcze zima trwa...
A słowo miłość?
Miłość jest jak...
jak róża, królowa wszystkich słów.
Piękna, szlachetna
i też często rani.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BALON

ANIELA KUPIEC

Skibeczka chleba

Leży se na stole, na czystym, umytym,
płóciynnym serwetym czyściutko nakrytym,
z przitrzeszczaną skurką, rowniutko ukroto,
nie zmiyniyłabych ji za świycące złoto.

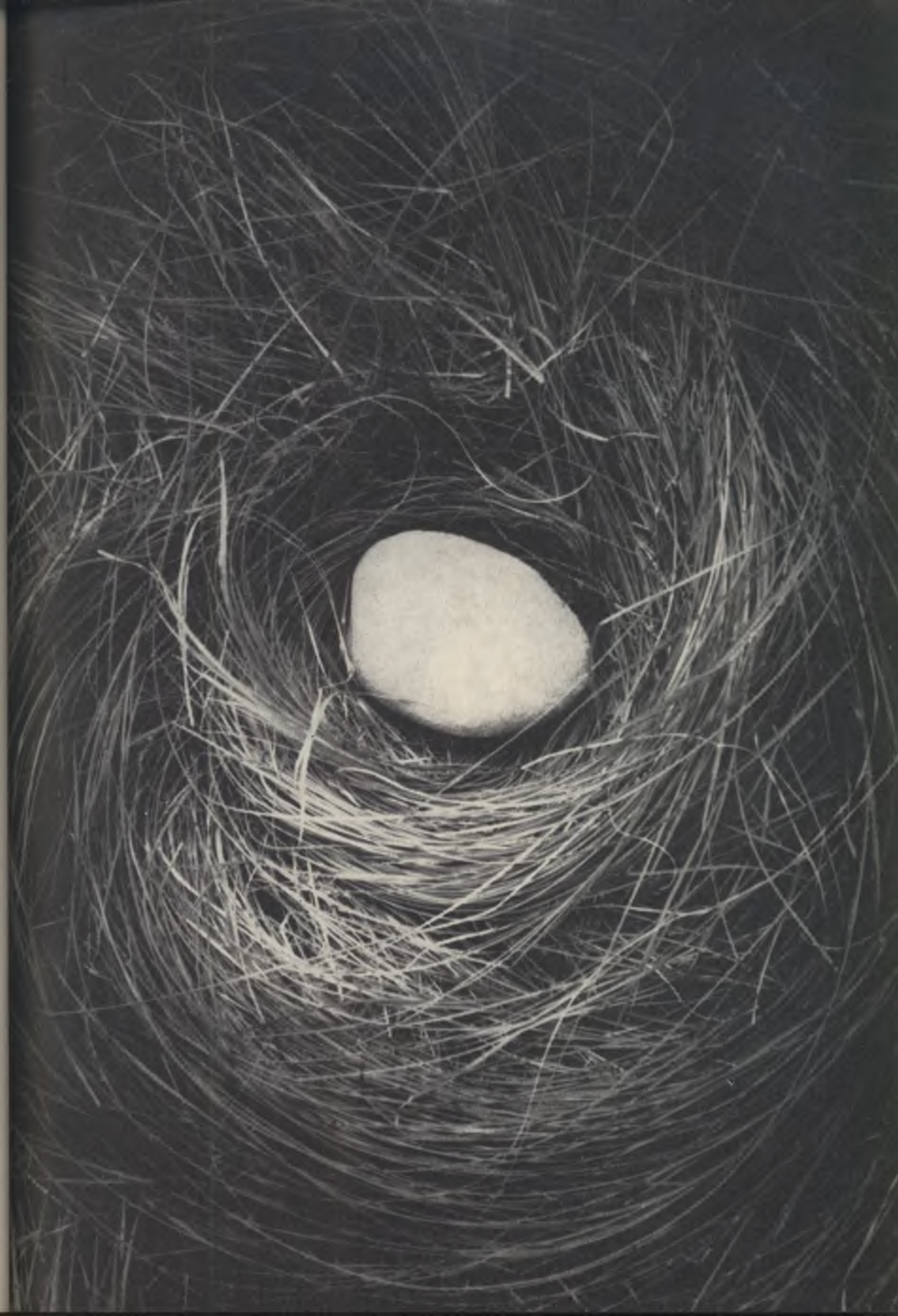
Bo w tej skibce chleba skowrónka śpiywani,
je kąszczyczek nieba i kóniczków grani,
są prómyczki słóńca, je ludzki starani,
je praca bez końca i miłość bez granic.

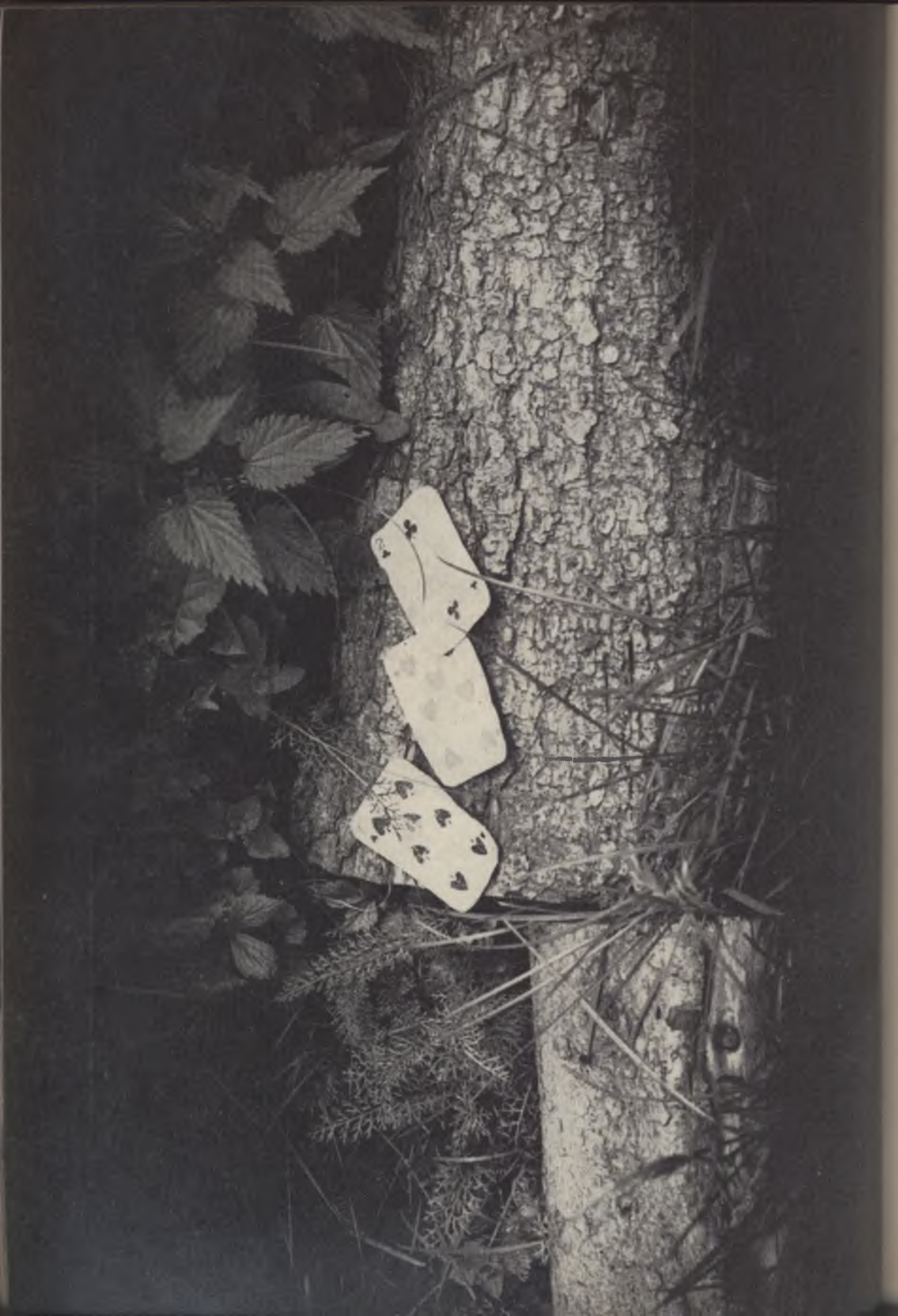
Weznę jo skibeczkę w ręke spracowaną,
siednę na laweczke tam hanej pod ścianą
i westchnę se cicho (głośno nie pasuje),
jakby mi upadla, to ją pocałuję.

Chlebiczku wóniący, powszedni nasz chlebie,
złe to były czasy, jak nie było ciebie.
Dzisio za to wszyscy do syta cie jymy,
ale cie za mało isto szanujymy.

Dyby tak pozbierać twoje okruszyny,
dyby dać na kupkę niedogryzki jyny. . .
Pojadłyby nieroz daleko we świecie
nie znające chleba, wiecznie głodne dzieci.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON





EWA MILERSKA

Mój skowrónku

Co ty widzisz, mój skowrónku,
kiej locesz wysoko
i oglądosz ziymie z wyrchu
daleko, szyroko.

Widzisz z góry nasze pole,
świyżo zaorane,
zawłóczóne, ugładzóne,
pszyniczką zasiane.

Widzisz z góry zielyń łąki,
upstrzóną kwioteczkym,
co barwiście sie rozwijo
pod ciepłym słóneczkym.

Widzisz z góry, jak potóczek
zielyń łąk przecino,
jak sie bujnie kole wody
olszyna rozwijo.

Widzisz z góry i jabłónie
w sadzie owocowym,
co calutki ustrojóne
kwioteczkym rużowym.

Widzisz, mały skowróneczku,
mój grzbiet pochylóny,
zapocóne moje czoło
nad dłógim zogónym.

Ale w twoje jasne nutki,
skowróneczku miły,
takech sie zaposłóchała,
że zogón skróciły.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BALON

KAZIMIERZ KASZPER



gdzie mam te dni
które zapisem mają być
moim

9,00 spotkanie w
13,00 obiad z
popołudniowa poczta
podwieczorna rozmowa
19,30 premiera
picie
24,00 dom dostaje zawrotów nieobecności
7,08 regularnie spóźniający się pociąg
do dnia

dokładnie je mam ponumerowane

coraz częściej szukam
w kalendarzu jednej szalonej wolnej
białej kartki



po prawicy mam
równo poukładane książki
żona starła kurze i wyrównała na biurku
nieścisłości w słojach codziennej makulatury
po lewicy kaloryfer
sumiennie ociepla wnętrze
nastawiam gramofon
czytam

„mieliśmy jednak za mało łopat
i
oskardów
a gruzy
mimo nałożonych rękawiczek
wciąż parzyły"

Stanisław Hadyna
CUD ZDARZA SIĘ TYLKO RAZ

Mieliśmy trochę czasu, więc postanowiłem się wybrać, aby pokazać dziecku tę Wioskę Jedyną na Świecie, Zaczarowany Dom i Rajski Ogród dokoła. Powiedziałem, że „mieliśmy trochę czasu", ale nieprawda. To ja miałem mało czasu, skrępowany terminami i koniecznością powrotu do Trzyńca, aby dyrygować koncertem „Śląska". Tylko ja sam miałem mało czasu, a dziecko miało go znacznie więcej, można by rzec: Było „bogate w czas" w sposób niemal niepojęty. Jest to rzecz zastanawiająca, że może być tyle różnych czasów w ramach tego jednego, odmierzanego statecznie przez dokładne zegary. Radość i zdrowie mają swój czas, tak jak ma go smutek i choroba. Czas zakochanych, jak powszechnie wiadomo, jest zupełnie szczególnej natury i zdaje się znikać skondensowany w jednej chwili szczęścia. Być może, że w jakimś sensie znajduje tu zastosowanie teoria Einsteina, choć brzmi to nieprawdopodobnie i wesoło: Wewnątrz kręgu zjednoczonej radości czas jakby stanął lub zwolnił swój bieg, podczas gdy na zewnątrz, w oddalającym się świecie, biegnie w tempie niejako przyśpieszonym. Ani się spostrzeżemy, że już tak późno, że tyle czasu na zewnątrz naszej radości minęło. Jakbyśmy się poruszali z szybkością światła w kosmosie. Ile wtedy upływa lat na ziemi, kiedy jesteśmy w niebie? Czy Miłość nie jest światłem człowieka?

Czas dziecka jest również szczególnej natury. Wydaje się, jakby go było bardzo dużo. Tak wiele ma go dziecko przed sobą. Dzień jest dłuższy od dnia dorosłego, choć odmierza go ten sam zegar. Słońce porusza się wolniej ze wschodu na zachód i wcale ruchem swoim nie przekonuje o heliocentrycznej teorii Kopernika. Tyle można spraw zmieścić w tym głupim dniu. Można bawić się klockami, misiem, lalkami, pociągiem, wózkiem. Można oglądać obrazki, karteczki, widokówki. Można rysować kredką na tablicy. Można iść w świat i szukać grzybów w lesie, przygód i kwiatu paproci bądź krasnoludków. Można zrywać kwiaty, łapać motyle do siatki i wypuszczać na wolność. Można się bawić piłeczką lub puszczać latawce albo strzałki zrobione z papieru. Można zasnąć i wędrować po zupełnie innych stronach bytu jak Alicja w krainie Czarów. Czas dziecka jest ogromny, a skoro Czas łączy się nierozerwalnie z Przestrzenią, można powiedzieć, że Przestrzeń dziecka i wszystko, co się w niej mieści, jest równie ogromna jak jego Czas. Izba dla dziecka jest wielokrotnie większa niż dla dorosłego. Przejść z jednego końca na drugi — to była jeszcze do niedawna cała wyprawa przez pustynię pełną wszelkich niebezpieczeństw i zachwiań. Ale potem, po opanowaniu nieuchwytnej równowagi i różnych udanych wypraw do innych pokoi, przyszła kolej na ogród. Ogromny Rajski Ogród, ciągnący się bez końca, pełen niezliczonych cudów, jabłoni, grusz, śliw, czereśni, krzaków agrestu, porzeczek i malin. Ile czasu wymagało, aby przejść tak ogromną przestrzeń, i ile radości, i piękna mieściło się w tym czasie, i na tej przestrzeni: w słodkości i czerwoności malin, cierpkości zielonego agrestu, aromatu kwiatów, puszystości trawy i mchu, możliwości spotkań z duszkami przyrody. Na Wielkanoc pamiętne były poszukiwania pod każdym krzaczkiem ukrytego koszyczka pełnego malowanek, cukierków i czekoladek, i innych wspaniałości, kurczaków żółtych i malutkich, które życzliwy zajączek ukrył dla dziecka, aby mogło szukać i znaleźć, i mieć wiele radości. To też było w tym ogrodzie wielkim, wspaniałym, tajemniczym.

Zagubiony świat

Ani się spostrzegłem, jak biegnąc myślą za dzieckiem zacząłem się oddalać od mojego dojrzałego czasu i zbliżać do tamtego czasu wiosny — gdy na stacji w Bystrzycy, w poczekalni, stał duży stary zegar i tykał miarowo, ruszając złotym wahadłem. Wysnuwał z siebie swój Czas, który był moim czasem dziecka i dokładnie pamiętam jego głos. Co pół godziny bił dźwięcznie raz, a każdą pełną godzinę wydzwaniał jej odmierzoną ilość, chociaż

nic z tego nie wynikało pośpiesznego, przynaglającego czy denerwującego. Było tylko przyjemne tykanie i dźwięk brzęczący, przyjazny. Wszystko było przyjazne. I ławy pod ścianami poczekalni, zapraszające, by usiąść. I okienko kasjera zapraszające po bilet. I zawiadowca w czerwonej czapce z latarnią naftową na piersiach, z gwizdkiem i drewnianym lizakiem sygnału. Kwiaty w drewnianych donicach na peronie, zwisające spod okapu. Napis na wielkiej tablicy na pochyłym daszku: Bystrzyca nad Olzą, dwujęzyczny. Po czesku i po polsku. I dwujęzyczne przyjazne wołanie sprzedawcy, idącego wzdłuż osobowych wagonów: „Rohliki, precliki a cukrowinki"! Nie każdy pociąg się tutaj zatrzymał. Niektóre pośpieszne, „rychliki", mijały małą stacyjkę ze starym zegarem i gnały przed siebie z szybkością niesłychaną. Nawet ludzi w oknach nie można było dojrzeć ani połączeń między wagonami. Jedna pędząca linia rozmazanego pędu. Ten pociąg pędził z daleka w dal. Z Koszyc i z Budapesztu przez Żylinę, Jabłonków, Cieszyn, Bogumin, Ostrawę do Brna i Pragi. Tylko trzy nazwy mi coś mówiły i coś wyobrażały: Jabłonków i Cieszyn oraz Bystrzyca. Reszta mieściła się za horyzontem i poza wyobrażeniem. Były to nazwy miast z fantazji, na równi z Wiedniem, Salzburgiem, Krakowem i zupełnie niewyobrażalną Warszawą. Zapewne była tak samo odległa od małej stacyjki jak Wiedeń czy Budapeszt i tak samo trudna do osiągnięcia, bo za granicą, za horyzontem...

Jedzie pociąg z daleka,
Ani chwili nie czeka,
Konduktorze łaskawy,
Zawieź nas do Warszawy.

Akcent, rzecz charakterystyczna, padał zawsze na ostatnią zgłoskę. Tak to wymawiałem, śpiewając, i specjalnie nie zastanawiałem się nad tym, jak można wsiąść do pociągu, który „ani chwili nie czeka", a Kraków i Warszawę wyobrażałem sobie jako wschodnią linię Beskidów. Gdzieś po tamtej stronie Czantorii. Wiedeń i Salzburg po zachodniej stronie, gdzieś za szczytami Jaworowego, Ostrego i Kozubowej. Na łagodnych zaś zboczach Kozińców, okolona łąkami, lasami i oddzielona rzeką, kryła się Wioska Jedyna na Świecie: Karpętna. Nie mogłem dociec, co ta nazwa oznacza, podobnie jak Czantoria. Jedni mówili, że jest pochodzenia rumuńskiego, inni że łacińskiego, a oznaczać miała wioskę stolarzy jak Nazareth albo Kalwaria. Nie była wszakże miasteczkiem i żadnego stolarza nie mogę sobie przypomnieć, poza Jednym, którego fresco namalował mój wuj na wewnętrznej ścianie korytarza białego domu, jak zdążał kiedyś do Emaus. Jakby jednak nie było, była to nazwa przyjazna i jej brzmienie kojarzyło mi się zawsze ze wszystkim, co najmilsze na świecie. W tamtych czasach Niebo graniczyło tam z Ziemią. Po Nie-W-Czasie dopiero zorientowałem się, że tak było, kiedy już nie było.

A więc Zegar stojący tyka uprzejmie i przyjaźnie. Sądzę, że mnie w ten sposób wita. Dzień dobry, kochany Zegarze! Znów tu jestem. Mam 7 lat. Wracam z Trzyńca, gdzie Ojciec mi kupił śliczny prezent: drabiniasty wózek, do którego mogłem wleźć i jechać, jeśli ktoś ciągnął za dyszel lub popychał z tyłu, lub jeśli droga szła z górki, wtedy mogłem jechać bez pomocy innych. Wolałem, żeby mnie popychano od tyłu, bo wykombinowałem sobie przemyślne kierowanie, mocując sznurki u zakończenia osi kółek. Gdy ciągnąłem za prawy, kółko posłusznie skręcało na prawo, gdy pociągnąłem za lewy, oczywiście mogłem jechać na lewo. Ten sposób trochę przypominał lejce, a przednie kółka wózka zachowanie konia. Było to bardzo przyjemne, a mój wózek drabiniasty był zdecydowanie Przyjaznym. Pomiędzy gospodą Kotasa i białym domkiem biegła prostopadle alejka małych drzewek. Było ich siedem, tyle co przystanków kolejowych od Cieszyna do Jabłonkowa. Znałem wszystkie na pamięć i umiałem je wymienić tam i nazad: Ropica, Końska przy Trzyńcu, Trzyniec, Wędrynia, Bystrzyca, Gródek i Jabłonków (Nawsie).

Drzewka te służyły nam za przystanki kolejowe do zabawy w pociąg. Pociągiem był mój drabiniasty wózek. Ja byłem pasażerem, konduktorem na przemian z Palkiem Kaletą, sąsiadem. Naśladowaliśmy w ten sposób podróż pociągiem, który zatrzymywał się przy każdym drzewku — — przystanku. Każdy wagon miał wiele drzwi na zewnątrz każdego przedziału, prawdziwy konduktor zaś chodził zewnętrzną stroną wagonu po drewnianym stopniu wzdłuż pociągu, aby sprawdzić bilety. Odległość między miejscowościami wydawała mi się dość długa, a czas jazdy wystarczający, aby w pełni zażywać radości. Z Bystrzycy, ze stacji, do mojej wioski biegła daleka i ciekawa droga pełna zakrętów, zasadzek, wspinaczek, zjazdów, brodów przez rzekę, przez potok, przez drewnianą ławę na Olzie, przez wysoki las i po puszystym mchu, aż wreszcie dotarła na wesołą łąkę, przez którą skrajem lasu wił się miły chodniczek aż gdzieś do furtki w płocie, okalającym Wielki Ogród, wśród którego migały bielą ściany domku, który był bardzo przyjazny i zawsze czekał z ochotą na gości. W tym domu przyszedłem na świat, ale ilekroć wracam myślą do tej chwili, nie mogę sobie przypomnieć samego faktu, ale jakby

moment poprzedzający lądowanie i skok w ciemność. Widok, jaki przedstawia się wędrowcowi zstępującemu z gór w doliny lub spadochroniarzowi, skaczącemu w noc na orientacyjny punkt światełka.

— Tam. To tu... To oświetlone okienko. Ten domek biały we wsi pod górami, na skraju lasu, w wielkim ogrodzie. Ledwo majaczy. Moment ustalony precyzyjnie w aspektach gwiezdnych Wagi z ascendentem Wenus, która zapowiada świt. Skok w nową przestrzeń i jej czas, który zacznie się liczyć od momentu zapomnienia i ocknięcia się po tej stronie... Może jest to tykanie zegara. Może odliczanie wstecz do zera i startu w przestrzeń. Skoku w inność. Uwaga! Patrz! To tu. To światełko w oknie. Twój przyszły dom rodzinny. Tam czeka na ciebie ciało w ciele pięknej kobiety. To będzie twoja matka, a tam wokoło twoja wioska wśród gór i twój nowy czas zapisany w gwiazdach. To wszystko zawarte w tym jednym Teraz i Tu. Potem utrata pamięci. Amnezja i wessanie w świat. Jak woda w gąbkę. Deszcz w rolę. Ten docelowy domek w Karpętnej wyglądał zupełnie inaczej niż dziś, i choć ma te same obiektywne wymiary, subiektywnie różni się zasadniczo, a może i w pewnym sensie obiektywnie również... Po prostu był to domek nie z tego świata. Parterowy, ale na strychu miał mansardę, która zalotnie wyglądała z dachu na pole. Kryty był dachówkami i cały murowany, biały, z zielonymi ramami dużych, jak mi się wydawało, okien. Otaczał go drewniany płot, a w okalającym ogródku rosło wiele kwiatów, zwłaszcza wysokie, różowoczerwone floksy i piękne dalie. Pod schody domu podchodził wielky sad, pełen jabłoni, grusz, śliw i czereśni. Jak te czereśnie pięknie zakwitały. To był naprawdę Rajski Ogród. Pomiędzy drzewami stała drewniana, ładna altanka, w której zwykle pracował mój ojciec. Na drewnianym stole porozkładane były nuty, a na drewnianych ławach instrumenty. Najbardziej lubiłem narożny pokoik pełen światła, do którego co rano wchodziło słońce i mówiło: „Dzień dobry!" padając mi na zamknięte powieki. Otwierałem je wolno i wzrok zatrzymywałem na rozkosznym kurantowym, złoconym zegarze, wiszącym nad komodą, który za pociągnięciem sznurka wygrywał walce wiedeńskie. Był to niezwykły zegar, którego funkcja w tym okresie nie polegała na wskazywaniu czasu, ale na przetapianiu czasu w dzwoneczkową muzykę. Nad moim łóżkiem, jak już niegdyś wspominałem, wisiał fascynujący obraz patriotyczny. Był to duży oleodruk „Bitwy pod Grunwaldem" Jana Matejki. Szczęk broni. Krzyki, wycia, rozkazy, rżenie koni, furkot proporców, jęki rannych, zgrzyty mieczów o zbroje rozlegały się czasem z taką wyrazistością, że zatykałem uszy, patrząc jak urzeczony w dziejącą się rzecz. Nie wiedziałem tylko, o co oni się biją, dlaczego, kto jest kto i kiedy to było. Obraz miał swój własny czas, który się budził tylko w momencie wrzawy bitewnej i potem zamierał razem z nieruchomymi postaciami. Sprawa tamtych czasów historycznych była tak samo nierealna jak historie bieżące. Było to wszystko poza zasięgiem świadomości, w której odbijały się tylko cieple oczy matki, pełne kwiatów, gałęzie drzew owocowych, świergolenie ptaków, granie kurantów, głos skrzypiec z altanki. Przyjazny, dobry świat. Pachnący. Świeży. Pełen poszumów. Pokoju.

POWRÓT

Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo było to rzeczą naturalną, że w tej Wiosce Jedynej na Świecie ziemia stykała się z niebem. Wielokrotnie przekraczałem tę granicę, nic o tym zgoła nie wiedząc. Ale potem, gdy sobie to wreszcie po latach uświadomiłem — postanowiłem tam wrócić i przekroczyć tę granicę jeszcze raz. Spojrzałem na zegarek. Miałem zaledwie 3 godziny czasu, aby tam zajść i wrócić. Punktualnie o godz. 18 powinienem być z powrotem w Trzyńcu. Dlaczego punktualnie? Dlaczego za 3 godziny? Dlaczego jakieś terminy krępują moją wolność? Kiedyś nie pytałem o to, nie zaglądałem na zegarek, nigdzie nie musiałem się spieszyć. Czas był moim przyjacielem, a nie dozorcą i dompterem. Przyśpieszamy wszystko. Usiłujemy w tym samym odcinku czasu zmieścić więcej niż dawniej, niż dzieci, niż nasi przodkowie, niż ludzie natury. Pośpiech i przyspieszenie generalnie dominują w świecie współczesnym. Betonowe wąwozy ulic tętnią ruchem pośpiechu. Coraz szybsze środki lokomocji na ziemi, na wodzie, w powietrzu, na orbicie. Coraz szybsze taśmy montażowe w fabrykach, coraz szybsza produkcja, coraz szybsze środki przenoszenia bomb, coraz szybsza informacja i dezinformacja. Coraz szybszy przyrost zaludnienia i coraz szybszy zanik natury. Przyspieszenie w czasie redukuje przestrzeń. Zaciera rzeczywistość. Rozluźnia kontakt z przyrodą. Odwraca uwagę od cichej i spokojnej „wieczności" duchowej człowieka w stronę coraz szybciej zmieniających się miraży, złudzeń, nerwowo drgających deseni, coraz większego zamętu. Może dlatego nie mogę odnaleźć mojej dawnej ścieżki i dawnych dróg spoczywających wśród spokoju własnego czasu i własnych przestrzeni.

Oto znów jestem tu i zarazem nie tu. Z pozoru niby ta sama poczekalnia stacji w Bystrzycy i ten sam stary, głośno tykający zegar, stojący na zachodniej ścianie z tarczą o starymi rzymskimi cyframi

i cyzelowanymi kunsztownie wskazówkami. Ale jego czas jest jakby inny. Opływa mnie blado i nie dotyczy — jak obecne spojrzenie starca zajętego wiecznością. Dawne bajeczne szlaki zaginęły gdzieś pośród dróg dzisiejszych. Zarosły zielskami chodniczki. Jakieś betonowe parkany przecięły dawne łąki zmienione na place. Nie można było tędy przejść jak dawniej. Polna droga pełna słońca i aromatu traw zniknęła pod martwym asfaltem. Jadę tą asfaltową szosą włoskim samochodem, który, być może, kiedyś wprawiłby mnie w zachwyt samym widokiem, ale dziś jestem smutny, trochę tępy i nieswój. Dawna ława na Olzie zastąpiona została betonowym mostem o żelaznych poręczach. Wszystko jest bardziej cywilizowane i mniej szczęśliwe. Gdzie jest mój wózek drewniany, który na polnej drodze wśród przyjaznych drzew i zalotnych kwiatów świergotał wesoło pełen radości. Gdzie jest mój wózek drabiniasty, którym można było dojechać do miejsca, gdzie niebo z ziemią graniczy? Zjechałem na bok i postawiłem auto na parkingu. Niech sobie stoi. A potem na przełaj, z szosy w pola, ku lasowi. Skradałem się, nadsłuchiwałem czujnie i wypatrywałem śladów jak Indianin na prerii. Gdzieś tam wśród dróg i bezdroży dzisiejszych musiały się ukryć głęboko drzwi przyjazne, ówczesne. Zostały wprawdzie pokryte bezdrożami obcych planowań, przecięte drutami ogrodzeń, pokłute tablicami, zalane asfaltem, ale na pewno gdzieś były... Są. Trzeba je tylko wypatrzeć. Uskoczyłem w bok. Przez rów na drugą stronę. Chodź, przeniosę cię. A teraz po zboczu w górę. Strawersujemy zbocze i hajda w las. Tam, pośród konarów i korzeni powinna być ta ścieżka. Podaj rączkę. Pniemy się dziko pod górę, wolni od drogi i zwojów serpentyn, i kamiennej kostki. Po kamieniach, przez potok, z jednego kamienia na drugi, a potem znowu w las i w górę. Już widać przeświecający pomiędzy pniami błękit nieba. Tam gdzieś powinniśmy wyskoczyć, gdzieś w pobliżu ogrodu. Właśnie tego ogrodu. Powinien tu gdzieś być. Gdzie jest? Nie ma. Jakieś ciemne moce zredukowały jego przestrzeń do niewielkiego poletka, które w ciągu kilku minut można przejść z jednego końca na drugi, nie znajdując nic ciekawego. Gdzie podział się ten wspaniały ogromny czas wspaniałej przestrzeni? Gdzie podziały się niezliczone drzewa o niezliczonych kolorach i możliwościach? Niezliczone kwiaty wśród traw, niezliczone wiosenne białe kwiaty na drzewach i owoce czerwone na jesień? Gdzie znikły krzaki agrestu, porzeczek, gdzie podziały się masy malin? Kto powycinał większość drzew? Kto zniszczył drewniany, prawdziwy i uroczy płot, i zastąpił go piekielnymi słupami betonowymi, jak w obozie, na które rozpięto czarną, żelazną, rdzewiejącą siatkę? Gdzie zniknął Rajski Ogród mojego dzieciństwa, skoro był przecież w tym samym miejscu? Kto mnie z niego wygnał? Czas? Swiadomość Dobrego i Złego? Niepotrzebna wiedza o tym, co przemija? Co się stało z moim pięknym białym domem o spadzistym dachu i dużych oknach? Kto odrapał go z piękności, zredukował i skurczył, przemienił? Tuż pod szerokie schody, okolone balustradą pełną kwiatów, podchodził ogród, który zniknął razem ze schodami, choć niby coś zostało, ale co? Nie to. Nie to. Nie ma więc tych schodów. Kwiatów. Płotu, Domu. Ogrodu. Ale rzecz dziwna. Gdy jasnogłówka wbiegła z dziecinną radością do ogrodu, sprawiała wrażenie, jakby to był dla niej ten sam mój dawny Rajski Ogród z Ogromną Przestrzenią, pełną tajemnic i niespodzianek, i radości, ze swoim Wielkim Czasem, który jakoś nieuchwytnie był z Nią spleciony. Czyżby wewnątrz tego zredukowanego w czasie i przestrzeni, wytępionego ogrodu dorosłego człowieka z szarego miasta był inny, ten Wielki, Pachnący, Radosny Ogród Rajski: Gan Eden? Przez jaką furtkę należało tam wejść?

Jest to chyba jakaś ledwo uchwytna różnica nastawienia zwierciadła naszej świadomości. To samo lusterko nastawione w stronę nieba przestaje odbijać szare ulice, a zaczyna błyszczeć słońcem jakby jego odprysk. Lekkie przekręcenie kondensatora w radiu o ułamek podziałki i już inna fala, inna muzyka, inne słowa i nastrój, inna rozgłośnia. Jest w tym coś z japońskiej, lśniącej kolorami, trójwymiarowej kartki. Wystarczy ją pochylić, spojrzeć pod innym kątem, aby z wnętrza wyłonił się inny obraz, a poprzedni znikł. Dziecko z lubością zawsze bawi się takimi kartkami i odkrywa w ich poruszeniach nowe światy, ale mnie się wydaje, że teraz ja wpadłem na trop innego świata, który ukrywa się wewnątrz tego otaczającego. Wystarczy znaleźć ten odpowiedni kąt nastawienia, aby ten stary zniknął, a wyłonił się Nowy. „Spójrzcie, JA wszystko Nowym Czynię!“ Wydaje mi się, że Ewangelia, mówiąc o Dzieciach, „których JEST Królestwo“, mówi zarazem o tym wewnętrznym świecie, który jest pełniejszy, weselszy, spokojniejszy i szczęśliwszy, ale zarazem większy i trwalszy. Rzecz w tym, że nie mieści się ponad gwiazdami, poza morzem, za siedmiu górami, za horyzontem, po drugiej stronie tęczy, ale gdzieś niezwykle blisko. Zapewne w Nas i z nas wszędzie dokoła, z własną swoją przestrzenią i własnym czasem. Rzecz w tym, aby go odkryć, znaleźć. „Szukajcie i znajdziecie“. Znaleźć ten najwłaściwszy i subtelnie precyzyjny kąt nastawienia, wyłania-

jący nowy świat i „przestawić“ się niejako, przemienić, co można nazwać po grecku „mmetanoein“ Przetłumaczono to bez sensu słowem „pokutujcie“. Co mają biczownicy wspólnego z poszukiwaczami najlepszego wyrazu? Z alpinistami? Ze zdobywcami niezdobytych szczytów? Biją się w cudze piersi i wołają modły do boga swoich myśli, a Wielki Nieznany czeka za drzwiami i puka. Trzeba je otworzyć. Ten kąt otwarcia... Szpara, przez którą można wejść na świeże powietrze i światło. Przez które można wyjść z zamknięcia. Jest to jakaś szpara w czasie i przestrzeni, przejście przez zieloną granicę w inny wymiar, choć wewnątrz tego starego. Mój Rajski Ogród jest na pewno tutaj ze swoim czasem i swoją własną przestrzenią pełną tajemnic i cudowności, ale nieludzki czas, w który się wmotałem niebacznie, i jego nieludzkie przestrzenie przesłaniają go zupełnie. A jednak czuję, że JEST. Trudno go dostrzec wśród zamętu. Świat nasz jest coraz mniej realny, coraz bardziej zamazany ruchem jak te twarze w oknie przelatującego ekspresu przez małą stacyjkę szczęśliwości. Huczący pęd obcości do nikąd. Pośpiech wszechogarniający. Pogoń za złudzeniem. Dziecko się nigdzie nie śpieszy. Nasze terminy są mu obojętne. Nie usiłuje zmieścić w swoim „przedziale“ czasu więcej, aniżeli jest mu to potrzebne do spokojnego, pełnego życia biologicznego, przejawiania się w działaniu, przeżywania radości bytu. Czasem nawet redukuje ten czas nieomal do zera i stojąc niejako ponad nim, błękitnym spojrzeniem pogody spogląda w głąb istnienia z czujną uwagą i uśmiechem jak młody jog w pustyni himalajskiej. Pytamy wtedy nierozsądnie, co ono tam widzi, czego nadsłuchuje, dlaczego się uśmiecha, do czego świecą się jego oczy? Nie możemy tego w pośpiechu pojąć ani dostrzec.

— Na co tak patrzysz, kochanie? Dlaczego stoisz w miejscu? —

Kochanie wtedy wyciąga rączkę z uśmiechem, jakby chciało pokazać zadowolone: — Oto moje włości, mój piękny świat, moje radości. Stanąłem również uderzony znajomym widokiem jak mocnym pchnięciem wiatru po wyjściu na pokład statku.

— Wszystko JEST! — stwierdziło kochanie. I wtedy to, co było w tym miejscu nierealne i martwe, stało się nagle rzeczywiste i żywe, wszechobecne. Niewidoczna furtka pchnięta małą rączką otwarła się cicho do Wielkiego Ogrodu Pełni Czasu. Jeden wspaniały moment. Nie można opisać. Słowa zbędne. Przybliżone, zastępcze. Raczej przeszkadzają jak bryłowate głazy plączące się pod nogami. Żadna rzecz nie wymaga nazwania i opisu, bo po prostu była taka jaka była, i wiedzieliśmy oboje, że taka jest, jaka jest, i jacy my jesteśmy z nią, bo była naszą częścią w naszym czasie i naszym świecie. Siano pachniało niezmiesko w kopkach, które sobie zwyczajnie stały w słońcu i na tle błękitnym, na zboczu zielonym i nie można było nic innego o nich powiedzieć, jak to, że są. Po prostu są. Stoją sobie jak brzuchate baby, pachnące wonnościami życia i żywiołem słońca. Baby wysokie jak orstwie, w szachownice poustawiane na polu, rozgadane w długim czekaniu na wóz drabiniasty, który zaprzężony w krowy pojawi się na łące, i jedna po drugiej będą wsiadać pomiędzy jego sztachety, aż się napełni po sam wierzch ograniczony przyponą, spiętą linami u końców, aby nie pospadały w czasie jazdy. Potem ja gramolę się na wierzch kopiastego wozu pełnego siana i jadę sobie, hej, przez jasne łany do wesołej stodoły otwartej na oścież w oczekiwaniu na wóz. A kiedy słyszę potem czteroćwiartkową rytmiczną młóckę na klepisku, uśmiecham się zadowolony i spokojny, bo miarowy stukot cepów przypomina stary zegar, który sobie głośno tyka, nie spiesząc się nigdzie. Wszystko dzieje się t e r a z. Czy jest możliwe trwanie niezmienne wśród otaczających nas zmian? Tak. Jeżeli staniemy w punkcie środkowym oka wirującego cyklonu, na osi toczącego się wokół kręgu. Pokój i zarazem świadomość powszechnego ruchu przez pryzmat własnej statyki. Ten moment, który z braku innych nazw nazywamy paradoksalnie chwilą wieczności: NUNC AETERNUM. Wieczny JEST. Odchylona furtka do ogrodu. Szpara między jawą a snem. Spojrzenie dziecka i zapatrzenie w istnienie dziejące się trwale. Przeżywanie tego, co jest, tak intensywne, aż dźwięczy w uszach i błyszczy w oczach. Brzmi od końca palców aż po czubek głowy jak pudło rezonansowe skrzypiec. Ten moment pełnego przeżywania tego, co jest. Pełnia i całość, którą znają tylko dzieci, mędrcy pogrążeni w swojej medytacji, twórcy i wielcy artyści, mistyci i święci, może jeszcze prawdziwie zakochani... A więc ci wszyscy, dla których nagle w momencie skupienia i zapomnienia o swojej osobowości stanął czas, bo znaleźli się świadomością poza nim, a więc stali się zarazem przestrzenią, w której jest wszystko i oni we wszystkim.

Dziecko spoziera uśmiechnięte i powtarza radośnie: WSZYSTKO JEST! Podałem mu rękę. Pociągnęło mnie za sobą w głąb swego rzeczywistego świata, który nagle stał się moim własnym, jak kiedyś, gdy sam byłem dzieckiem. Coś się rozwarło — jakby wewnątrz tego świata był inny jeszcze świat, niby ten sam, ale taki w stosunku do zewnętrznego i spłowiałego jak trójwymiarowy kolorowy oryginał do czarno-białej, płaskiej, źle wywołanej fotogra-

fii. Jak pełna stereofonia czy kwadrofonia do płaskiej, źle nagranej monofonii. Poszerzenie i pogłębienie apercepcji. Tajemnica dziecka, do którego należy K r ó l e s t w o.

INKLUZ

Wśród tego, CO JEST, jest również ta ścieżka biegnąca skrajem lasu od wschodu ku zachodowi, ku furtce w drewnianym płocie cudownego ogrodu, w którym się bieli zaczarowany dom dzieciństwa. Ścieżka była też zaczarowana. W zimie podążał nią Mikołaj z workiem prezentów na plecach. Latem jacyś dziwni przybysze: Cygóni i dróciorze. Zwłaszcza ci ostatni byli godni uwagi. Nosili bowiem na plecach cały swój warsztat lub kramik, jeśli to byli wędrowni handlarze ze Słowacji albo jeszcze skądś „z dalsza". Czego tam nie mieli w tych swoich zaczarowanych nosidłach! Były tam jakieś kolorowe lusterka, odpryski słońca, pajacyki o ucieszenych gębach, wańki-wstańki, których nigdy nie można było obalić, bo zawsze potrafiły się podnieść i stanąć prosto, choć nieco chwiejnie, jakby pozycja pionowa była im z dawien dawna przeznaczona, tylko przemoc nacisku mogła je utrzymać w nienaturalnej, kornej pozycji zakłamanego przechyłu, z której wyrywały się natychmiast jak puszczone z procy, gdy tylko przemoc ostała i ręka nacisku znikła. Rodziło się wtedy niejasne podejrzenie, czy aby nie ma w tym jakiejś ukrytej alegorii ludzkiego losu, wyrażonej przemyślnością mądrego stolarza. Były tam również w tych zapasach wędrownych kupców różne instrumenty do grania, jakieś piszczałki, okaryny, fleciki blokowe, harmonijki ustne, pinkadełka zrobione z dźwięcznych posrebrzanych blaszek. Były też pistoleciki, proce, karty do gry z dziwnymi obrazkami. Kalejdoskopy. Jakieś koguciki z piórkami i gwizdkiem, wstążeczki kolorowe, odklejane obrazki, „abcybildry", jak je nazywali, i Bóg wie, co jeszcze. Jak te wszystkie cuda mogły się zmieścić w jednym sklepiku noszonym w przemyślnych nosidłach na plecach dróciorza, pozostawało tajemnicą. Niektórzy z nich, prawdziwie godni swej nazwy, drutowali jeszcze garnki lub ostrzyli, czyli b r u s i l i noże, nożyczki i kosy.

Ojciec pisał wtedy muzykę do „Powsinogów beskidzkich" Emila Zegadłowicza i z altanki Wielkiego Ogrodu dolatywały dźwięki skrzypiec, podśpiewywania, splatające się nierozerwalnie z postacią wędrownych czarodziejów:

Przyseł haw
ze Spiza z Oraw,
wędrujący za grosiwem,
za żywiołem, przyodziewem,
syćkim społem, jak ta trafi
po gromadzie i parafii,
d r u c i o r z e.

— Gorki dróóótowaaaaać!
— Plechowe naprawiaaaać!

Zobaczyłem go z daleka na zaczarowanej ścieżce, jak szedł w naszą stronę ku białemu domkowi ze swoim synkiem. Miał nosidła na plecach jak trzeba, więc podniecony niezwykle zawołałem: „Mamuśko! Stareczko! Dróciorz idzie, hanej, od lasa!" Biegałem jak szalony po domu i wreszcie wystrzeliłem na pole, aby przypadkiem nas nie ominął i nie poszedł dalej.

Kiedyś na tej dróżce znalazłem dziwny pieniądz. Stary. Duży. A kiedy go oczyściłem z ziemi, wyjrzała z pieniądza twarz jakiejś tęgiej kobiety, a wokół był napis w cudzym języku i nazwisko z imieniem Maria Terezja. Za pieniądze ludzie zwykle coś kupowali. Ten znaleziony był większy od innych i na pewno bardziej wartościowy. Może nawet zaczarowany, bo skąd by się wziął na zaczarowanej ścieżce przedziwnych gości? Gdy go w tajemnicy pokazałem znawcom zaczarowanych rzeczy, stwierdzili jednoznacznie, że jest to pieniądz zaczarowany, czyli INKLUZ. Snułem najrozmaitsze marzenia na ten temat. Co można by kupić za taki Inkluz? Chyba jakąś inną zaczarowaną rzecz. I oto nadarzyła się okazja! Od lasu podążał dróciorz! Na plecach miał sklepik pełen zaczarowanych rzeczy! Gdy więc stanął wreszcie na podwórzu, pod gruszą, a potem usiadł na ławie i stękając nieco zdjął nosidła z pleców, w czym mu gorliwie pomagałem wraz z jego synkiem, zaczęły się najpierw, jak zwykle, opowieści „z cesty", a potem, wobec domowników, demonstrowanie przeróżnych skarbów: innych dla dziewcząt, innych dla chłopców, a jeszcze innych dla dzieci. Ze wszystkich cudów upodobałem sobie najbardziej małe organki, które miały bardzo przyjemny głos. Spróbowałem zagrać na nich „helokanie" i wcale dobrze mi to wyszło. A kiedy stary dróciorz objaśnił, że są to organki zaczarowane, zdolne do przywoływania duszy piosenek zagranych i wcielania jej w powabne kształty, niczego bardziej nie pragnąłem jak właśnie takich organek. Miałem nawet czym zapłacić! Za zaczarowane organki — zaczarowanym pieniądzem z zaczarowanej ścieżki! — „Dróciorzu złociutki! Przedejcie mi ty jarganki!"

— A mosz piniądze?

— No toć, że móm. Jeszcze jaki! Zaczarowany!

— Pokoż!

Okrągły talar austriacki był nieomal tak wielki jak moja mała dłoń. Dróciorz wziął

go do ręki, zważył, podrzucił, przeczytał napis i powiedział po chwili:

— Wiysz, synek, to możne sto lat tymu było cosi wert, ale teraz nic za to nie dostaniesz. Ani gwoździa!

Synek dróciorza był jednak odmiennego zdania.

— Tato! Pokożcie mi to!

Zważył pieniądz w ręce. Podrzucił zgrabnie do góry i złapał. Obejrzał z obu stron. Przeczytał uważnie napis. A gdy mu wyjaśniłem, że jest to niewątpliwie pieniądz zaczarowany, czyli Inkluz, chłopak powiedział do ojca:

— Tato! Jo chcę mieć tyn piniądz!

— Nale synek, przeca to ni ma nic wert!

— Ale jo go chcę mieć, bo to je piniądz zaczarowany!

Dróciorz podrapał się za uchem. A że był dobrego serca i synkowi przyjemność chciał sprawić, zapytał, zwracając się do mnie:

— A co byś chcioł za tyn piniądz?

— Jarganki! — zawołałem zdecydowanie.

— A jo chcę tyn piniądz! — upierał się mały synek dróciorza. — To je isto piniądz zaczarowany i łon prziniesie mi szczęści!

— Ty ni mosz wszystkich dóma, synek!

— Ale jo w to wierzę!

Dróciorz machnął zrezygnowany ręką i mruknął: „W niebie mi to będzie porachowane" — co miało wyrażać ostateczne przyzwolenie. I tak wielki talar, Inkluz, znalazł się w rękach wędrownego chłopaczka skądś z Oraw czy ze Spisza, a zaczarowane organki w moich.

— Zawieszę se go na karku — powiedział chłopak. — Dziurke se tu zrobię małą, sznórke przewlekę i zawieszę. Bedzie se fajnie bambyloł.

Dotąd mówili „po naszymu". Dopiero jak byli za płotem i dalej w nieznane szli, mały druciarek, podrzucając pieniądz i zgrabnie go łapiąc, na cały głos zaśpiewał swoim chłopackim głosikiem:

Pred nami cesta welmi daleka,
A swet je weliky, swet je daleky,
Swet je nasz!
Moj otec je dobry,
Ja musim byť zbojnik,
Hej hore, haj dolu,
Haj, hajom chodnik, haj!

CUD ZDARZA SIĘ TYLKO RAZ

Minęło wiele lat. Cudowny Ogród przy białym domu gdzieś zniknął w innym wymiarze, zostawiając swoje blade echo. Nowi właściciele zamalowali „Drogę do Emaus" na wewnętrznej ścianie korytarza białego domku. Ojciec odszedł spośród dźwięków i prześwitów ogrodowej altanki w inną przestrzeń i czas. Chodniczki zarosły. Zostało tylko wspomnienie. Zostały też dziecięce marzenia o zaczarowanym Inkluzie i zaczarowanych organkach.

Jest to rzecz doprawdy nie do wiary, ale ileż takich dziwnych rzeczy mija nas w życiu, a my nie zwracamy na nie uwagi. Ta jednak historia wręcz nachalnie stanęła na mojej drodze na jakiejś słowackiej hali. Było to pod koniec słowackiego powstania narodowego w roku 1944. Włóczyłem się w tym czasie górami pomiędzy Babią, Pilskiem a Fatrą. Bywałem na „krywańskiej stronie". — „Swet je weliky, swet je nasz". Gdy dosłyszałem nagle to śpiewanie, wzbudziło niespodziewanym błyskiem dawne wspomnienia dzieciństwa: tego chłopca druciarskiego, który mi wycyganił od swego ojca organki, a sam wziął w zamian jakiś stary mój pieniążek. Zaklęty? Może... Wszedłem do bacówki, z której dolatywało ciche śpiewanie. Zerwał się z miejsca partyzant. Chwycił za broń. Machnąłem ręką: „Nie trzeba". Zanuciłem cicho, jakby odzew na znajome hasło:

— Swet je weliky, swet je daleky, swet je nasz!

— Wy jste Słowak, kamarad?

— Polak — odpowiedziałem.

— Pre Boha swateho, co tu dielate?

— Wędruję.

Roześmiał się, a potem zmarszczył czoło.

— Tu se jedna o żiwot, człowecze!

— Przeżyjemy — powiedziałem — Czy można usiąść?

— Ano, prosim peknie.

Usiadłem na pniu koło ogniska. On, uspokojony, usiadł też, ale karabin trzymał na kolanach. Dowiedziałem się, że na południe droga zamknięta. Partyzanci wycofali się na północ. On sam ledwo wyszedł z okrążenia. Ocalał cudem. Kula odbiła się od medalionu. Solidnej był roboty. Zagięła wprawdzie. Ale medalion nie puścił. Wyciągnął go spoza koszuli. Wisiał na cienkim rzemiennym sznurku. Właściwie nie był to medalion, ale pieniądz. Stary wielki talar z czasów Marii Teresy. Drgnąłem poruszony.

— Skąd go masz, kolego?

Starał się mówić po śląsku, abym lepiej zrozumiał, ale klął po słowacku:

— Hrom a pekło. Ja, to je hrozne. Jakech był mały, wiysz, toch z łocym chodził po dziedzinach. Dróciorzym był. „Gorki drótować". He, he. Zaszli my roz pod Jaworowy za Olze...

— Do Karpętnej?

— Ano, skąd wiysz?

— Boch tam był!

Opowiedziałem mu całe zdarzenie o tym handlu zamiennym: za zaczarowany pieniądz. Inkluz, zaczarowane organki. Oka-

zało się, że to był TEN chłopczyk słowacki. Byliśmy obaj bardzo wzruszeni, ale nikt tego po sobie nie dał poznać. Roześmialiśmy się tylko wesoło.

— A to ci heca — powiedziałem.

— Ja, to je nadherne — pokiwał głową.

— Ježisz Maria, to je hrozne!

Dorzucił patyków do ognia. Karabin postawił w kącie.

— Mosz ty jarganki jeszcze? — zapytał po chwili.

— Móm.

— A cud już był? No, bo u mnie, jak widzisz, był.

Nie wiem, czy przypisać siłom czarodziejskim zarówno to jedno, jak i drugie. Słowacki chłopak miał już swój cud, w który uwierzył. Ja wciąż na cud organkowy czekałem. Pierwszą melodię, jaką na tej ustnej harmonijce zagrałem, była naszą pasterska piosenka z Beskidów, HELOKANIE. Marzyłem kiedyś o tym, aby głosy śpiewających pomnożyć do stu, oświetlić stu ogniami i żeby grzmiało jak sto hrómów. A stary dróciorz powiedział, że to się snadnie spełnić może, bo organki są zaczarowane. Nic mi nie przeszkadza wyobrazić sobie, że właśnie tymi organkami wyczarowałem spełnienie marzeń, żeby zabrzmiały jak wielkie organy, jak potężny chór.

To było napisane potem w wielu gazetach w kraju i za granicą. Gazeta „Van Antverpen" np. pisała w dniu 18. 10. 1956:

„Chór śpiewał tak harmonijnie i z takimi niuansami, że odnosiło się wrażenie czegoś czarodziejskiego. Brzmiał jak zaczarowane organy. Nigdy czegoś podobnego nie udało się nam usłyszeć". Recenzent z „Pittsburgh Press" w USA, James Ball, też dosłyszał coś zaczarowanego: „The chorus made a tremendous impression with its a capella singing of the Beskid Mountain Song: Helo Helo". Londyński „TIMES" pisał: „Są momenty jakiegoś serdecznego klimatu i zaraźliwej radości. Pieśni życia wiejskiego i gór są rozkoszne. Pieśń echa pasterzy śląskiego Beskidu „Helo . . ." zdaje się rozsiewać niewinne i czyste powietrze gór w całym londyńskim teatrze. Wszystko to brzmi niesłychanie, jak ZACZAROWANE ORGANY. A po występach w operze w Algierze żona prezydenta Ben Belli, Zohra Sellami, przekazując wrażenie publiczności i swego męża, pisała w gazecie rządowej „Revolution Africaine" (28. 10. 1964): „Było oczarowanie, sen, który po zapaleniu świateł na sali trwał dalej gdzieś w Polsce. Koncert, z którego wynosi się olśniewające wrażenie piękna, czystych kolorów, śmiechu, radości i lekkości".

A wielki kompozytor radziecki, Wano Muradelli, pisał w gazecie „Wieczerniaja Moskwa":

„Trudno jest oprzeć się uczuciu zachwytu na widok pięknego i barwnego widowiska, jakim jest występ zespołu „Śląsk" pod mistrzowską dyrekcją Stanisława Hadyny. Śpiew chóru nacechowany jest wielką starannością i pietyzmem dla czystości dźwięku. Miękki i czysty ton jest wolny od wszelkiej sztuczności. Brzmi po prostu jak najszlachetniejsze organy. Uuczucie świeżości i radości życia towarzyszy widzom w czasie całego koncertu".

Gdy o tym wszystkim wspominam, ogarnia mnie ciche wzruszenie i pełen zdziwienia wracam myślą do tych kolorowych dni pachnącej wiosny, kiedy na zaczarowanej ścieżce znalazłem Inkluz i kiedy potem na niej pojawił się dróciorz ze synkiem u boku. Kiedy za bezwartościowy pieniądz wyhandlowałem bezwartościowe organki, którymi przywołałem spełnienie marzeń o wielkich żywych organach, pełnych radości i słońca. Pytacie, co się stało z tym czarodziejskim instrumentem? Nie wiem. Zdaje się, że mi go skradziono i stracił swą moc. Albo może sam go niebacznie zgubiłem, zajęty innymi sprawami. Bóg wie, jak i gdzie... Ktoś mi niedawno powiedział, abym się nie martwił, wręczając mi wiele pięknych herbacianych róż. Nie takie rzeczy zgubiono i znowu znaleziono. Być może. Być może . . . Ale ja wiem jedno: że CUD zdarza się tylko raz.







GUSTAW SAJDOK

* * *

Kiedy byłem chłopcem
bałem się gęsi
uciekałem
a one rozpostarły skrzydła
goniły mnie

To był strach

Teraz
noszę ten uraz
od dzieciństwa
w sobie
Obawiam się
że nie sprostam
że nie ostoję
jakbym zalękniony bał się
najeść do syta
Nie sposób
te niepokoje
nasycić
zamknąć

Boję się
że na białych skrzydłach gęsi
znów ktoś
będzie mnie ścigał
Szum niepokoju
zabiera mi
spokój tworzenia

Weekend

Od pełnych
ciężkich oddechów dni
uciekamy ku słońcu

Świat kopalń
hut i elektrowni
jest naszym zmierzchem
Czekamy na niedzielę
by opuścić dom
i wywieźć z sobą
tysiące papierosów
i tyle samo nadziei
na czyste powietrze

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Anna M. Rusnok
ŻWIRKOWISKO

W Cierlicku, na Kościelcu, w pobliżu miejsca, gdzie przed wiekami ziemia pochłonęła niegodziwą Czarną Księżnę, znajduje się Żwirkowisko. Jest to miejsce katastrofy samolotu RWD 6 z 11. 9. 1932, w której zginęli sławni polscy lotnicy, Żwirko i Wigura. Ich nazwiska są zakodowane w naszej świadomości społecznej. Było to bowiem wydarzenie tak przejmujące, że już potem nikdy nie można było o nim zapomnieć.

Jest w tragicznej śmierci tych bohaterów przestworzy właśnie na naszej Ziemi Cieszyńskiej, właśnie w drodze do przyjaciół w Pradze w dwa tygodnie po olśniewającym zwycięstwie w Challenge'u 1932 coś niezmiernie symbolicznego. Odczuwamy dumę ze znakomitych osiągnięć polskich pilotów i konstruktorów, którzy przed 50 laty, w czasie, kiedy sport lotniczy był czymś nowym, tajemniczym i wspaniałym, przysparzali tyle sukcesów Polsce i Polakom. Odczuwamy też smutek i żal, że właśnie ci najwspanialsi z nich ponieśli śmierć niejako na naszych oczach. Odczuwamy wreszcie pewnego rodzaju satysfakcję, że ich tragedia przyczyniła się do wzrostu przyjaźni polsko-czeskiej i polsko-czechosłowackiej.

Cała prasa czechosłowacka pisała wówczas o bohaterskich lotnikach polskich, o ich wspaniałym zwycięstwie i o tragedii, która głęboką żałobą okryła narody Polski i Czechosłowacji.

Przewiezienie ciał lotników z Cierlicka do granicy w Cieszynie, organizowane w dużym stopniu przez armię czechosłowacką na czele z dowódcą garnizonu misteckiego, generałem Melicharem, który z odpowiednimi honorami i gorącym przemówieniem przekazał na moście granicznym ciała lotników dowódcy dywizji strzelców podhalańskich, generałowi Przeździeckiemu, było na naszej ziemi manifestacją czesko-polskiej wzajemności. Zaś coroczne obchody rocznicy 11 września były okazją do przypomnienia tysiącletniej tradycji owej wzajemności i okazją do aktywizacji tych sił, które w trudnej atmosferze międzywojennych swarów i animozji podejmowały nutę pojednania, życzliwości i zrozumienia.

Pięćdziesięciolecie kościeleckiej tragedii jest okazją, by jeszcze raz przypomnieć jej okoliczności i bohaterów. Najpierw o samych lotnikach.

Franciszek Żwirko, w chwili śmierci porucznik wojska polskiego (awansowany pośmiertnie na kapitana), urodził się 14. 9. 1895 w Święcianach na Wileńszczyźnie. Szkołę pilotów ukończył w roku 1923 w Bydgoszczy. W rok później absolwował Wyższą Szkołę Pilotażu w Grudziądzu. Potem, jako oficer lotnictwa, pełnił różne funkcje przy szkoleniu przyszłych lotników. W roku 1932 był już kierownikiem szkolenia pilotażu w najsławniejszej polskiej uczelni lotniczej — w Centrum Szkolenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie, noszącej dumny przydomek Szkoły Orląt.

W wyścigach samolotowych uczestniczył od roku 1923, najczęściej właśnie ze St. Wigurą i prawie zawsze zwyciężał. Przez pewien czas posiadał „wysokościowy" rekord świata samolotów turystycznych II kategorii, wynoszący 4400 m. Był jedną z najpopularniejszych postaci w lotnictwie sportowym Polski międzywojennej. Niski, krępy, z wygoloną do goła głową, łatwo wyróżniał się wśród na ogół roślejszych

i bardziej owłosionych kolegów. Był żonaty. Osierocił syna Henryka, który jest obecnie działaczem Aeroklubu PRL w Warszawie.

Inżynier Stanisław Wigura urodził się 9. 4. 1901 w Warszawie. Był zatem od Żwirki o 6 lat młodszy i miał zaledwie 31 lat, kiedy w swoim ostatnim locie spadł na kościeleckie świerki. Politechnikę Warszawską ukończył wprawdzie dopiero w roku 1929, ale już podczas długoletnich w niej studiów, na Wydziale Mechanicznym, od roku 1921, pracował nad konstrukcją samolotów. W roku 1925 skonstruował wraz ze Stanisławem Rogalskim pierwszy samolot, nazwany według pierwszych liter ich nazwisk RW. Potem do nich dołączył Jerzy Drzewiecki i powstała „firma" konstruująca od roku 1927 samoloty RWD. Były to bardzo udane maszyny. Niektóre ich prekursorskie rozwiązania techniczne stanowiły wzorzec budowy samolotów sportowych i turystycznych na następne kilkadziesiąt lat. Samolotów RWD było aż 17 kolejnych konstrukcji. Najlepsze to zwycięski i tragiczny równocześnie RWD 6, oraz RWD 9, na którym polscy lotnicy, Bajan — Pokrzywka i Płonczyński — Ziętek, zajęli dwa pierwsze miejsca w kolejnym Challenge'u 1934. W roku 1929 uzyskał dyplom pilota sportowego. Był wykładowcą w Państwowej Szkole Lotniczo-Samochodowej w Warszawie i asystentem Katedry Budowy Płatowców Politechniki Warszawskiej.

Teraz o samym Challenge'u, czyli o Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych. Gospodarzami tej imprezy w roku 1932 byli Niemcy. Wśród organizatorów na berlińskim lotnisku Staaken, na którym odbywały się próby sprawnościowe, kręcili się już ludzie ze swastykami na rękawach.

Polacy zwyciężyli indywidualnie (Żwirko i Wigura) i drużynowo. Polska ekipa składała się z 5 samolotów. Ich dwuosobowe załogi tworzyli: kpt. Jerzy Bajan z sierżantem Pokrzywką, kpt. Giedgowd z sierżantem Kłosińskim i kpt. Bolesław Orliński z Balcerzakiem na PZL-ach oraz Karpiński z mechanikiem Ziętkiem i Żwirko z Wigurą na RWD 6.

Liderem drużyny był Jerzy Bajan, po śmierci Żwirki najsławniejszy polski lotnik okresu międzywojennego. Zwycięzca Challenge'u 1934 oraz wielu innych wyścigów samolotowych. Jeden z dowódców, w randze pułkownika, polskiego lotnictwa myśliwskiego w Anglii podczas II wojny światowej. Jego brat, Władysław, zginął w sierpniu 1944 na naszej ziemi, w Łomnej, jako dowódca jednego z desantów radzieckich, z których powstała potem grupa zwiadowcza Grubego Miszy, vel. Majora Nadiożnego (prawdziwe nazwisko Griniewski), rezydująca u Jeżowicza na Łabajce w Koszarzyskach.

Challenge rozpoczął się od wielodniowych prób sprawnościowych. RWD 6 zdobyły najwięcej punktów już w pierwszej próbie: ogólnej ocenie maszyn. Zyskały punkty za składanie skrzydeł, za podwójne sterowanie, za przyrządy przeciwpożarowe, za luksus, za widzialność, za podwójne (obok siebie, nie za sobą) ustawienie foteli... Następnie Żwirko i Wigura zwyciężyli w wielu próbach technicznych, ustanawiając przy tym rekord świata, nie do pobicia, w najmniejszej szybkości lotu.

Na trasę samego rajdu wyruszyli Żwirko i Wigura już na 1. miejscu z pewnym zapasem punktów. Trasa prowadziła z Berlina do Warszawy, Krakowa, Pragi, Brna, Wiednia, Zagrzebia, Vicenzy, Rimini, Rzymu, Florencji, Bellinzony, Turynu, Cannes, Lyonu, St. Gallen, Stuttgartu, Bonn, Paryża, Deauville, Rotterdamu, Dortmundu, Hamburga, Jabehavn, Goeteborga, znów do Hamburga i Berlina. Łącznie 7500 kilometrów. Głównymi miastami etapowymi były Rzym i Paryż.

Na zwycięstwo Żwirki i Wigury złożyła się bardzo wysoka ocena ich maszyny, zwycięstwo w próbach sprawnościowych i odpowiednio szybkie i prawidłowe pokonanie poszczególnych odcinków trasy. O ich mistrzostwie świadczyło między innymi oszczędzanie maszyny w początkowej fazie wyścigu i przyśpiesznie w drugiej jego części, kiedy motor był już dotarty, a inne załogi, które forsowały maszyny na początku, miały potem trudności. Wielka w tym zasługa inżyniera Wigury, znakomitego fachowca — mechanika.

Oto jak sam Żwirko relacjonował przebieg ostatniego etapu tej wielkiej imprezy:

„Mamy startować pierwsi. Punktualnie o godzinie 5.15 starter daje sygnał. Gaz i jesteśmy w powietrzu. Wigura naciska dwa stopery, które trzyma w ręku. Naprzód! Naprzód! Ze wszystkich sił naprzód! Mijamy Tempelhof i gnamy wprost do Frankfurtu. Za nami przecież lecą Niemcy, aby nam wydrzeć zwycięstwo, za nami gna Pos i Marzik, i Hirth, i Szwajcar Fretz, którzy na pewno nie żałują motorów. Oto już Frankfurt. Ster na prawą burtę... wiraż... woreczek z meldunkiem i już Frankfurt zostaje za nami. Przed sobą mamy teraz Berlin. — O Boże! Prędzej, prędzej... niecierpliwi się Wigura ze wzrokiem utkwionym w stopery. Wreszcie morze dachów — to Berlin i lotnisko Tempelhof — meta wyścigu. Nie przegna nas nikt. RWD przybywa pierwszy. Przelatuję nad komisją sędziowską i ląduję. Wyścig skończony! Nie!... Trwa jeszcze. Przecież Niemcy wylecieli po nas, więc mogą być nieco później i mimo to mieć większą szybkość. Zdenerwowani wychodzimy z maszyny. Czuję, jak ręce mi się trzęsą. Po takim wysiłku, po tygodniowym napięciu nerwów musi przyjść odprężenie. — Franku, wygrałeś, bezapelacyjnie wygrałeś — mówi do mnie, ściskając mi dłoń, major Wojtyga, szef naszej drużyny. Nie chce mi się w to wierzyć. Nie, to niemal niemożliwe! Więc zdobyłem dla Polski puchar międzynarodowy, więc RWD jednak okazał się najlepszą maszyną turystyczną w Europie. Ależ tak! Major Wojtyga ma rację. Po trzech kwadransach kierownik zawodów, von Hoeppner, bez jednego drgnienia twarzy ogłasza zwycięstwo polskiej załogi i polskiego płatowca. Orkiestra gra „Jeszcze Polska"... Tu w Berlinie!... Na maszt wciągają biało-czerwony sztandar..."

Challenge był najpoważniejszym wyścigiem samolotowym na świecie i zwycięstwo w nim nobilitowało polskich lotników i konstruktorów, wprowadzając ich do ścisłej czołówki światowej, którą stanowili wówczas Niemcy i Włosi.

Katastrofa w Cierlicku nastąpiła w niedzielne przedpołudnie, podczas lotu z Warszawy do Brna, skąd mieli lecieć do Pragi na święto lotnicze. Dzień był słoneczny. Samolot minął granicę w Cieszynie, przeleciał nad Cierlickiem w kierunku Ostrawy. Wtedy niespodziewana wichura, tak zwana trąba powietrzna (jak stwierdziła komisja dokonująca później analizy przyczyn katastrofy) uszkodiła samolot i niosła bezwładny z powrotem na wschód, zrzucając go na nieduży zagajnik na Kościelcu, ale już na terytorium Cierlicka Dolnego.



FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Jednym ze świadków katastrofy był nauczyciel Józef Stebel, mieszkający obok miejsca tragedii. Pasł krowę i widział samolot najpierw jeszcze cały, lecący w kierunku Ostrawy, a potem ze złamanym skrzydłem niesiony przez wichurę ponad jego domostwem na sąsiedni las. Od tego momentu został Józef najwierniejszym, najofiarniejszym i najlepszym opiekunem miejsca katastrofy.

Szczególnie to miejsce, zwane potocznie Żwirkowiskiem, stało się z biegiem lat symbolem zarówno naszej patriotycznej więzi z narodem polskim, jak i symbolem polsko-czeskiej przyjaźni i wzajemności.

Prawie natychmiast po katastrofie powstał Komitet Budowy Pomnika Żwirki i Wigury, w którym bardzo aktywnie działali przedstawiciele armii czechosłowackiej oraz aeroklubu brneńskiego. Dzięki ofiarnej pomocy żołnierzy na czele z dowódcą batalionu czeskocieszyńskiego, majorem Stirbą, zostało miejsce katastrofy uporządkowane. Wzniesiono na nim pierwszy pomnik — duży głaz piaskowcowy, wykonany przez mistrza kamieniarza Śmiłowskiego z Gnojnika, napis zaś projektował Paweł Zabystrzan. W sąsiedztwie wybudowano skromne mauzoleum według projektu architekta Dawida z Czeskiego Cieszyna. Równocześnie, głównie dzięki staraniom aeroklubu brneńskiego, czyniono przygotowania do wzniesienia na Kościelcu okazałego pomnika, którego autorem był rzeźbiarz Alojzy Pelikán z Ołomuńca. Starania te opóźniało pogarszanie się stosunków czesko-polskich w drugiej połowie lat trzydziestych, a ostatecznie przerwała je wojna.

W czasie wojny hitlerowcy zniszczyli na Żwirkowisku wszystko, co wznieśli wspólnym wysiłkiem ofiarni ludzie obu narodów słowiańskich. Tylko z potężnym głazem mistrza Śmiłowskiego nie mogli sobie dokonujący dewastacji robotnicy poradzić i zakopali go. Po wojnie odkopała go młodzież ze Stonawy, żeby znów na jakiś czas był jedynym pomnikiem lotników.

O tym, co było dalej, pisze (w Zwrocie — wrzesień 1967) Józef Stebel: „... Potem nadszedł moment wzruszający. Składaliśmy kwiaty na miejscu katastrofy. Była jesień 1947 roku. Z lasu wychodzi trzech panów z ogromnym wieńcem. Byli to przedstawiciele Aeroklubu z Brna, którzy dowiedzieli się z prasy o spotkaniu na Kościelcu. Donieśli nam, że rzeźba Pelikána przetrwała szczęśliwie wojnę. Gorzej było z autorem. Artysta staruszek wrócił z Oświęcimia sam, bez żony, którą uwięziono tam razem z nim... Nie było się co zastanawiać. Planowany przed wojną pomnik przyjaźni musi stanąć w lesie na miejscu kaplicy (mauzoleum — A. R.). Przy budowie pomagali bardzo przewodniczący PRN z Czeskiego Cieszyna, tow. Franciszek Němec, starosta powiatowy z Cieszyna, ob. Grzeganek; robotnicy fabryki goleszowskiej darowali wagon cementu, a studenci gimnazjum czeskocieszyńskiego wybetonowali fundamenty pod pomnik. Nowy cokół zaplanował budowniczy, Surma z Trzyńca, sporządzili go zaś kamieniarze, Boszczyk i Kłósko z Ligotki Kameralnej. Godła państwowe są misternym dziełem kamieniarza Kłóski. Emeryt górniczy, Franciszek Halama z Cierlicka, zbudował cokół. Potem przywieziono rzeźbę. Przyjechał i mistrz Pelikán z Ołomuńca. O podniesienie figury na siedmiometrowy cokół postarali się ofiarni robotnicy huty trzynieckiej ..."

Należy przypomnieć, że umieszczona na wysokim cokole rzeźba mistrza Pelikána przedstawia lotnika opartego o śmigło. Działo się to w roku 1950. Od tego czasu miejsce katastrofy znajdowało się pod nieustającą opieką Józefa Stebla; po jego śmierci w roku 1974 opiekuje się Żwirkowiskiem jego żona, Helena.



JANUSZ GAUDYN

Róże

Spójrz
Są róże w wazonach
i w oczach zakochanych

Czerwone
i długie na odległość uśmiechu

Krótkie jak sny
dostojne jak matrony
samotne
wesołe

Są w nas
w oczach naszych matek
zawsze o krok przed nami
o ten maleńki krok
do szczęścia

Miłej

Pragnąłem cię tak
jak pragniemy poznawać
Nie dotykałem a czułem
jak czujemy miłość

I wtedy coś
rozwarło się przede mną
coś stanęło za moimi plecami
a nade mną i pode mną
było pożądanie

Trwałem nie zdecydowany
pomiędzy Tobą
a pragnieniem nieba

FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER

Jan Szymik
OSTATNI LOT

Wolno stąpając, szły w zaprzęgu czarne woły. Trzy pary w jarzmach, ciągnąc po wybojach chłopski wóz. Na wozie spoczywała prosta, czarna trumna. Nie było woźnicy. Za tym dziwnym konduktem pogrzebowym nie szedł orszak ludzi. Nie było nikogo. Trzy pary czarnych wołów, prosty, chłopski wóz, a na nim czarna trumna. Tylko to, nic więcej. Tajemniczy ten kondukt ciągnął od Cieszyna na zachód, od Olzy w stronę Stonawki. W ciszy i osamotnieniu wolno oddalał się od grodu, nad którym dominuje warowna, mocna, kamienna wieża zamku piastowskiego.

Nikt nie pyta, co to takiego?

Wszyscy wiedzą!

A dzwony cieszyńskich kościołów biją: Bim, bam, bum...

Wiedzą wszyscy, że w tej czarnej trumnie spoczywają snem wiecznym zwłoki kobiety ubranej w prostą czarną suknię. Dlatego nikt o nic nie pyta, bo taka była wola zmarłej.

Tylko dzwony biją: Bim, bam, bum...

I wszystkim wiadomo, że to ostatnia droga Elżbiety-Lukrecji. To inter viam Czarnej Księżny, pani na Cieszynie i na Głogowie do voti damnatus.

Gdzie zostanie Czarna Księżna pogrzebana, nikt nie pyta, bo wszyscy wiedzą. W swej ostatniej woli księżna pani napisała krótko: Tam, gdzie dowiozą mnie na chłopskim wozie czarne woły.

Jeno dzwony niech biją bim, bam, bum...

Stało się.

Na wzgórzu w Cierlicku, skąd daleki, szeroki widok na cały kraj nad Olzą, ziemia nagle rozstąpiła się i naraz pochłonęła zwłoki Czarnej Księżny razem z zaprzęgiem. Dzwony umilkły, a lud w tym miejscu postawił mały, drewniany kościółek.

Czarnej Księżnie na pamiątkę.

Od tego czasu, a jest temu bardzo, ale to bardzo dawno, to miejsce na wzgórzu w Cierlicku zwie się „Kościelcem". Z czasem wybudowano tutaj okazały kościół murowany.

Od północnego wschodu zbocze wzgórza kościeleckiego pokryte jest sosnowym lasem. W jego poszumie trwa legenda o Czarnej Księżnie, lecz trzeba dobrze ucha nastawić, by ją usłyszeć, choć sosny tak szumią, jak szumiały...

W gwar rozmów prowadzonych w Aeroklubie R. P. wpada tubalny głos majora Kwiecińskiego:

— Franek! Polecisz do Pragi? Czesi zapraszają na mityng lotniczy. Jutro start!

Krótka narada ze Stasiem i rozmowa z attaché Czechosłowacji, pui-

kownikiem Sylwestrem. A potem... Nagle przyszła tęsknota za spokojnym dniem w domu z żoną i synkiem, Heńkiem. I decyzja: Polecę o dzień później.

Wieczorem przy kolacji u kapitanostwa Komarów wzrok porucznika zatrzymał się na wieńcu laurowym, przywiezionym z Berlina. Jego wieńcu.

— Nie podoba mi się ten wieniec — powiedział. — Nie wezmę go do Dęblina...

Rano, ubrawszy się, usiadł w pokoju żony, by popatrzeć na śpiącą. Siedząc na krawędzi łóżka, lekko końcami palców gładził jej rękę. Ocknęła się.

— Nie chce ci się do Pragi, Ryżeńki? — spytała.

Potrząsnął głową.

— Więc zostań!

— Wstań, Aśka, daj mi śniadanie. Polecę.

Wyszedł. Stał tuż pod domem i patrzał w okno żony. Potem szedł wolno pustą jeszcze o tej porze ulicą pod górę. Warszawa spała jeszcze. Na zakręcie przystanął i jakby się zawahał, lecz po chwili ruszył dalej na Okęcie. Ze Stasiem, który wieczorem grał w brydża i też był jakoś dziwnie przygnębiony, spotkał się na lotnisku.

— Czołem! Śniadanie zjadłeś?

— Tak, razem z siostrą.

— No, to lecimy...

— Pogoda na przelot dobra, słoneczna, powietrze spokojne, ale jakoś nie mam zbyt ochoty — odpowiedział inżynier-konstruktor, po czym doglądnął pracy mechaników.

— Wszystko w najlepszym porządku!

— Dobra...

Puścili w ruch śmigło. Żwirko siadł za sterem, Wigura zatrzasnął drzwiczki kabiny doskonałego, jak na tamte czasy, srebrnego ptaka, chluby polskiego lotnictwa.

Start.

Jest godzina 6.30 rano w niedzielę, dnia 11 września 1932 r.

Pod podwoziem RWD-6 mkną w tył w szalonym tempie polśniewające źdźbła, zdaje się, że stalowej murawy. Ziemia opada w dół i oddala się, zwalniając swój bieg w tył. Głęboki skręt wyżłobiony w lekko napierającym pędzie wiatru i krótkie spojrzenie w dół. Popielatą mgłą dymów i wiślanych oparów zasnuta jest Warszawa, a w niej pola mokotowskie, zostające gdzieś pod słońcem, z tyłu. Wzrok pilota przenosi się na podziałki w bliźniaczych kulach busoli, gdzie obracają sie czarne pierścienie. Jeszcze trochę skręć w lewo i... jest: Kurs 203 stopnie, kierunek — Brno!

Mijają kwadranse lotu...

Tamte lata, lata trzydzieste, zwie się dziś często złotą erą samolotów śmigłowych. Wtedy to już nie były latające, odrutowane dwu- i trzypłatowe etażerki, ale solidne i wszechstronnie przemyślane konstrukcje. To już nie były nieopierzone żółtodzióby z początków naszego wieku. Także ongiś słynna w Polsce „wytwórnia latających trumien" — firma Plage i Leśkiewicz, należała do przeszłości, a polskie konstrukcje samolotów z tego czasu nie tylko nie były gorsze, lecz często nawet lepsze, bardziej udane od zagranicznych, choćby tylko przypomnieć polskie samoloty typu od P-1 do P-24g lub słynny PZL P-1 do PZL P-7, których konstruktorem był inż. Zygmunt Puławski, i najsłynniejsze polskie samoloty RWD, seria

(do RWD-9), która rozsławiła polskie konstrukcje samolotowe na całym świecie. Samoloty te konstruowała trójka znakomitych fachowców: inż. Stanisław Rogalski, inż. Stanisław Wigura, a po jego tragicznej śmierci inż. Wędrychowski, oraz prof. inż. Stefan Drzewiecki.

Samolot RWD-6 z silnikiem o mocy 140 koni mechanicznych, za którego sterem siedzi porucznik—pilot Franciszek Żwirko, a na którego pokładzie jest mechanik, jeden z konstruktorów tego samolotu, inżynier—pilot Stanisław Wigura, mknie teraz w przestworzach nad Śląskiem Cieszyńskim z niebagatelną, jak na samolot turystyczny, prędkością ponad 200 kilometrów na godzinę, zdążając do Brna na zaproszenie przyjaciół.

Było to po godzinie ósmej rano.

Skądś z południa przez Przełęcz Jabłonkowską naraz wdarła się na jasny błękit nieba groźna, stalowosina pręga. Zza grzbietów Beskidów wyskoczył nagle brudnozielony, ciężki tuman chmur. Ostry wiatr śmignął po burcie maszynę, jakby ją potwornie uderzono batem.

Nad Cieszynem, już za Olzą, RWD-6 wszedł nad trakt ostatniej ziemskiej wędrówki Czarnej Księżny.

Tędy, o czym odważni lotnicy wiedzieć nie mogli, daleko w dole pod nimi, dawno temu ciągnął tym szlakiem czarny, niezwykły kondukt pogrzebowy ze zwłokami księżny, pani na Cieszynie i Głogowie, ostatniej władczyni Ziemi Nadolziańskiej z rodu królewskiego Piastów.

A teraz złowroga pręga i groźne chmury opuściły się niżej, napęczniały ołowianą potęgą żywiołu i wzdęły się gnane huraganem. W kabinie pilota zapanowało przenikliwe zimno. Pociemniało.

Mijały sekundy.

Spazmatyczny, nierówny oddech huraganu podwiał samolot, zahuśtał płatami skrzydeł, podniósł go w górę i znienacka zrzucił w otchłań otwierającej się naraz próżni. Srebrny ptak z mechanicznymi końmi w szalonym tempie opadał w dół, ale podchwycony w górze przez inną falę wichru wybił się na grzywę szatańskiego nurtu jak korek wypchnięty z głębi wody.

— Wyhuśta nas — powiedział pilot do mechanika.

Mechanik nie odpowiedział, tylko wzrok miał wlepiony w deskę pokładową, na której zwariowanie migało kilkanaście wskazówek przyrządów nawigacyjnych i chyba pomyślał: „wyhuśta“ — tak, jak myśli każdy pilot i mechanik pokładowy, poczuwszy pierwsze mocne już uderzenie nawałnicy.

Grzmot zadudnił milionem toczących się beczek. Żółtofioletowy blask błyskawic raz po raz oświetlał wnętrze kabiny i pękał gdzieś z boku piorun. Po poszyciu chlasnął gęsty deszcz. Samolot stanął dęba i zatrzepotał sterami jak skowronek.

Uciekać!

Lecz spokojna dłoń wytrawnego pilota, mistrza latania, sparowała uderzenie i... naprzód! Tylko naprzód, bo w tej sytuacji lądowanie to pewna śmierć. Naprzód więc, bowiem im gwałtowniejszy, nagle przychodzący atak burzy i huraganu, tym krótszy.

Naprzód!

Na próżno. Potęga złowrogiego żywiołu rośnie z każdą sekundą. Wyżej, jeszcze wyżej też nie można, bo huragan uwiesił się na krawędziach zastrzałów i stateczników, ciągnąc samolot w tył. Chce go zepchnąć z kursu i wyje jak tysiąc Meluzyn w lukach maski silnika, starając się oskalpować łeb maszyny.

Naprzód! Trzymać kurs i naprzód, to jedyne wyjście...

Huragan, doprowadzony wreszcie do szału upartą wolą załogi RWD-6, kładzie las pokotem, wyrywając drzewa z korzeniami i zrywając dachy stodół. Zwielokrotnioną siłą swej mocarnej łapy miażdży wszystko, co stoi mu w drodze, a potem z wściekłą furią ponawia atak na siedzącego w nim, cuchnącego spalinami benzyny małego srebrnego ptaka.

Dźwiga go za jedno skrzydło i jak taranem wali opancerzoną piersią w bok, by natychmiast zdradziecko wyśliznąć się spod niego i jak z zasadzki wskoczyć z góry na bezwładne w próżni stery. Szarpie poszycie kadłuba, potęgą wirów wywraca gondole i jak płastuga rozpłaszcza się przed nią, by w tym gwałtownym podmuchu zwinąć rozkrzyżowane płaty i cisnąć nimi z okrzykiem zwycięstwa o ziemię.

Lecz RWD-6 trzyma się!

Niemal stoi w miejscu, niemal się cofa pod naporem oszalałego żywiołu, ale trzyma się. Z dziobem na kursie, skąd przychodzą watahy nawałnicy.

RWD-6 trwa między niebem a ziemią.

Nagle na maszynę, oddaloną już od Cierlicka, zwala się straszliwe uderzenie z góry, które ją spycha o setki metrów w dół. Wygrzebuje się jednak raz jeszcze z odmętu i... zawraca.

Zawraca, ponieważ nie ma szans na przebicie się przez huraganową burzę. I znów zaczyna się teraz walka od nowa. I zaczyna się znowu pogoń za powietrznymi falami. Za tymi falami, w których można utrzymać jaki taki poziom względnie bezpiecznego lotu. Musi to być zarazem ucieczka. Ucieczka z długich i głębokich, powstających za tymi falami, próżni. A także ucieczka przed najgroźniejszym centrum huraganu.

Posłuszny, sprawny silnik to ryczy na pełnym gazie, osiągając aż dwa tysiące pięćset obrotów na minutę, by podeprzeć pozbawione oporu skrzydła; to cichnie, by nie wpędzić samolotu w kłębowisko gęstych jak maź chmur na niskim stropie nieba.

Od burty do burty i od tablicy zegarów aż po pierś pilota skacze z wyczuciem i precyzją drążek sterowy w niezawodnej dłoni człowieka — szefa pilotażu słynnej już Szkoły Orląt.

I nagle chmury rozstąpiły się, a pilot i mechanik widzą wzgórze, na wzgórzu widzą kościół, a za nim niewielki lasek. Z tej wysokości wygląda to wszystko takie malusieńkie jak dziecięce zabawki, które ojciec — pilot przywoził swojemu synkowi, Heniowi...

Lecz co to?

Szatan dopędza ich!

Silnik zawył swymi 2500 obrotami, ale jakoś nie starcza jego mocy i ciągu sterem. Samolot wali się w przepaść, na dnie której jest Kościelec — grób Czarnej Księżny.

Próżnia.

Brak powietrza — i samolot spada w dół jak kamień w studnię. Na nic 140-konna moc silnika. Kościół Na Kościelcu rośnie, potężnieje. Nadzieja jest tylko w tym, że już teraz, natychmiast, w tym okamgnieniu podpłynie zbawcza fala powietrza...

Nic.

Trzask!!!

Wieść o katastrofie lotniczej w lasku Na Kościelcu w Cierlicku Dolnym rozeszła się po Zaolziu lotem błyskawicy. Lud od Kopytowa po Mosty-Szańce struchlał, zanim jeszcze tego dnia w godzinach przedpołudniowych

rozgłośnie w Katowicach i Morawskiej Ostrawie oznajmiły na falach eteru światu tę tragedię. Chorągwie obu państw spuszczono do pół żerdzi. Masy, niezliczone masy ludzi z kwiatami z całego Śląska Cieszyńskiego przychodziły do sosnowego lasku Na Kościelcu. Przyjeżdżały samochody cywilne, wojskowe i ze znakiem korpusu dyplomatycznego...

Co to za bohaterowie polegli w walce z wrażym żywiołem? Co to za ludzie zginęli, których opłakują dwa bratnie, słowiańskie narody? Czyż niemało to lotników poniosło śmierć w podobny sposób? Ale tak wielkiego, serce rwącego żalu i smutku w dwu narodach równocześnie, jednocześnie w dwóch państwach dotąd nigdy nie było! Co to za lotnicy? Co za maszyna?

Niezwykli lotnicy i nadzwyczajna maszyna!

11 września 1932 roku w katastrofie lotniczej Na Kościelcu zginęli: porucznik—pilot Franciszek Żwirko, który w 1929 roku ustalił światowy rekord wysokości, oraz inżynier—pilot Stanisław Wigura, jeden z konstruktorów słynnych samolotów RWD.

Latali razem na samolotach RWD. Żwirko pilotował, a Wigura latał jako mechanik pokładowy. Zgrana dwójka. W 1929 roku razem dokonali przelotu dookoła Europy, w 1929 i 1930 roku zdobyli pierwsze miejsce w Lotach Południowo-Zachodniej Polski, w 1930 i 1931 roku zdobyli pierwsze miejsce w Krajowym Konkursie Samolotów Turystycznych, a najważniejsze, że w 1932 roku bezapelacyjnie zwyciężają na międzynarodowych zawodach lotniczych, w tak zwanym Challenge'u.

Challenge... Gdzie tam Niemcom, Włochom, Francuzom, Czechosłowakom, Anglikom, Rumunom, Szwajcarom i innym, gdy startują Polacy na RWD. Na maszynach, którym nie mogą dorównać Heinkle, Klemmy, Bredy, Pragi, Formanny, Potezy. Gdzie tam takim asom lotniczym, jak: Poss, Seidemann, Hirth, Morzik, Colombo, Mareš i Anderle, gdy pilotuje Żwirko...

Żwirko i Wigura. Lotnisko Tempelhof w Berlinie, gdzie jest meta Challenge'u 1932, i... tłumy berlińczyków, oczekujących zwycięstwa Possa. Teraz, chcąc nie chcąc, stają na baczność, pruscy oficerowie salutują, bo Berlinem niesie się melodia mazurka „Jeszcze Polska nie zginęła". Pierwsi zwycięstwa gratulują Mareš i Anderle, przyjaciele Żwirki i Wigury zza miedzy.

Minęło zaledwie czternaście dni, gdy ich ciała legły do snu wiecznego na mchu w lasku kościeleckim. Nie dolecieli na mityng lotniczy do Pragi na zaproszenie kolegów i przyjaciół...

A potem, potem za lat zaledwie siedem przyszli tu ci, którzy nie umieli uznać oczywistej klęski na oczach całego świata. Przyszli nieproszeni i myśleli, że burząc Mauzoleum Żwirki i Wigury Na Kościelcu, wyrywając sosnowy las z korzeniami jak huragan oraz buldozerami wyrównując teren, iż lud tubylczy, a nawet świat zapomni o „Żwirkowisku" — miejscu katastrofy lotniczej Żwirki i Wigury. Czas jednak się dokonał, a lud wzniósł tu pomnik i zasadził las nowy. I przyjeżdżają na Żwirkowisko autokary turystów ze znakami rejestracyjnymi niemalże całej Europy. Pamiętają. A jest to już 50 lat od tej tragicznej chwili.

Przede wszystkim pamięta lud znad Olzy.

Z Żwirkowiska idę, jak zwykle piechotą, miedzą koło starej drewnianej chałupiny na Bubikówce. Pozdrawiam starą Lasowską, którą zwą tutaj Robą, choć na imię jej Anna. Siedzi na progu chaty i uważnie mi się przygląda. Kiedy minąłem ją o dwa, trzy kroki, woła do mnie:

Śpiycho sie wóm?
Odwracam się i odpowiadam, że aniż nie, bo na autobus mam jeszcze sporo czasu. Stara Lasowska tylko na to czekała. Podparła się ręką o futrynę i wstając pyta:
— A wiecie, co sie stało na Kościelcu?
— Uraczy mnie znów legendą o Czarnej Księżnie — pomyślałem, ale z zaciekawieniem w głosie odrzekłem:
— Na, ni! A cóż takigo?
— Nie cygóń! A tóż jak nie wiysz, to ci to opowiym.
Usiadłem na progu chaty obok starej Roby, czyli Lasowskiej, a ona mówiła tak:
„Jechało po niebie to diobelstwo, wiysz, tyn kuropłoch, bo jak to leci, wszycki kury uciekają. A burzka była stomilióńsko. A co dali? Zaszkopyrtało tym kuropłochym w lufcie i bęc! Capli na las i basta. A tyn poganiocz, co to poganioł, to sie tak moc nie strzaskoł, ale tyn kowol, co to kuł, tyn był na cimper-camper. Pozbiyrali jich, wiysz, dali do tróweł jak sie patrzi, i zaniyśli do kościoła, na Kościelec. Za trzi dni przijechoł se po nich Piłsudski i wzión se jich ze sobą. Aji z trówłami. Wiysz?“
Stara Lasowska skończyła, ja pokiwałem głową i westchnąłem:
— Ja, ja...
A idąc do autobusu myślałem o tym, co lud nad Olzą będzie o Żwirce i Wigurze opowiadał za kilka set lat, gdy Żwirkowsko obrośnie legendą podobnie jak Kościelec, gdzie ponoć zapadła się trumna z Czarną Księżną.

ANTONI SZPYRC
Zmierzch w Jabłonkowie

Tak cicho, jak u nas być może,
gaśnie dzień pod Beskidami,
a smutny krzyż z ramionami
jeszcze zatrzymać chce zorze.

I tylko jeszcze głos dzwonu w oddali milknie
tak, jak zamilkło życie,
gdzieś ponad polami Białej zastygnie
jak Kozubowa w mrocznej poświacie.

Smętnie dokoła rynku stoją domy,
majaczy kościół sponad dachów,
znikła uliczka z Wyższej Brony,
już zasnął cicho stary Jabłonków.



FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BALON

Anna Filipek
URLOP TROCHĘ INACZEJ

— Żeby tylko nie było za dużo znajomych.
Żeby się nikt nie czepiał.
Mam ludzi dość. Chcę być sama.
Sama.
Chłodny jesienny deszcz nieprzyjemnie ziębił. Marta chwilę przystanęła. W torbie miała przecież parasolkę. Po krótkim namyśle szła jednak dalej.

— A, niech tam, wszystko mi jedno, chłód, zimno. Takie jest życie. Parasolka mnie przed nim nie obroni.

Pozwoliła, by lodowate krople spływały dokuczliwie po włosach za kołnierz. Jakiś autobus już czekał na przystanku. Szofer drzemał za kierownicą.

— Chyba to ten — pomyślała — Szofer zwykłego, kursującego autobusu nie ma czasu drzemać za kierownicą.

— Dobre rano, przepraszam, czy to pan odwozi brygadników do Bruntalu?

Szofer zaraz się ożywił.

— Z powodu takiej ślicznej panienki jestem gotów jechać nawet do Bruntalu. Panienka pozwoli, torby dam zaraz do bagażnika, by panience było wygodniej — powiedział z zalotnym uśmiechem.

Marta niechętnie podała torby i twarz zmusiła do jakiegoś grymasu, który trudno było nazwać uśmiechem. Szybko weszła do autobusu i skuliła się na tylnym siedzeniu. Wilgotne ubranie nie bardzo grzało. Była pierwsza. Jakoś jej było pilno uciec od wszystkiego, zostawić zadymione lokale restauracji, stosy talerzy, filiżanek, które musiała codziennie nosić na swoich rękach, a głównie ten straszny gwar, ten okrutny chaos słów tak niezrozumiałych, jak ostatnio jej myśli, jej uczucia. Zostawić nawet jego. Po co się męczyć. On — to dla niej twierdza na wierzchołku góry, niedostępny. Poczuła niemal fizyczny ból serca. Zawsze myślała, że ten zwrot „serce boli“, to ozdóbka poetycka, dobra dla romantyków, tych cichych błaznów, wariatów... Dotąd nie wiedziała, że serce może boleć naprawdę. Dwa tygodnie go nie zobaczy — oszaleć można z tęsknoty. Na chwilę przymknęła oczy. Zobaczyła go, jak idzie pomiędzy stolikami z tacą pełną pachnącej kawy, przystojny, elegancki, z niezwykłą inteligencją w twarzy. Nie idzie, płynie, unosi się, kochany, kochany, kochany...

Do obłąkania powtarzała to słowo. Potem ukradkiem jak złodziej napisała na zaprószonej szybie MARIAN i wpatrywała się w każdą literkę z ubóstwieniem, ze słodyczą niezmierną.

— Dlaczego panienka siedzi tak daleko, niech panienka przyjdzie tu bliżej, porozmawiamy. Tu panience będzie wygodniej, w tyle za bardzo rzuca — wołał szofer wesołym głosem.

— Tu mi dobrze — odpowiedziała niechętnie. Po co on się stale czepia — pomyślała ze złością — Nie potzebuję, by mnie ktoś rozpieszczał. Mnie nigdzie nie może być już dobrze, gdzie nie ma Mariana. Mogłam spokojnie nawet cały czas trzymać te ciężkie torby na kolanach, mnie wszystko jedno.

Siedzenia w autobusie powoli się zapełniały. Przychodziły ciotki, sąsiadki. Marta wszystkie znała. Z jednej wioski trudno się nie znać. To nic. Zbyt wielka rożnica wieku gwarantowała jej upragnioną samotność.

— O Boże — westchnęła — Matka Leona. Jeszcze jej tu brakowało! Nigdzie człowiek nie ma chwili spokoju. Będę musiała z nią rozmawiać o pogodzie, o gaspodarstwie. Nudne, nic nie znaczące zdania. Tylko nie teraz, nie teraz.

Marta skuliła się jeszcze bardziej na siedzeniu, by nie była zauważona, i ze smutkiem ścierała z okna drogie, kochane imię. Odetchnęła z ulgą, gdy pani Kluzowa usiadła zaraz na przedzie. W myślach znowu poleciała tam, skąd zdrowy rozsądek kazał uciekać. Już teraz chwilami żałowała, że zdecydowała się na ten wyjazd. Już teraz za nim tęskniła.

Musiała jednak wyjechać, nie mogła znieść dłużej tej maski na twarzy, śmiać się, gdy pod powiekami paliły łzy, udawać obojętność, gdy całym ciałem błagała „przytul mnie", zmyślać głupie dowcipy, gdy była zazdrosna o każdy jego uśmiech, o każdy gest, gdzie indziej wysłany.

Do autobusu weszły koleżanki, Nina, Krystyna i Wiera, głośne, wesołe. Urwały się z łańcuchów i szkoda im każdej minuty, trzeba poszaleć, by potem znowu spokojnie dać się przywiązać do garnków, pieluch, znosić cierpliwie kaprysy swych mężów, tyranię rozpieszczonych dzieci.

— Dziewczyny, fajnie, czwórka jest! — wołała Nina na cały autobus.

— Patrzcie, kto z nami jedzie. Marta! — zauważyła zaraz Wiera — Marta, chodź do nas, będzie wesoło. Jest akurat jedno miejsce dla ciebie. Wiem, że umiesz opowiadać dowcipy.

— To miejsce sobie zostawcie dla jakiegoś chłopaka, który was będzie bawił lepiej ode mnie — próbowała ich wyzbyć żartem.

— Kiedy na brygadę jeżdżą sami dziadkowie — powiedziała Krystyna przyciszonym głosem z odpowiednim gestem — Będzie nuda, kociaki, potworna nuda, jeżeli same nie postaramy się o zabawę.

— Jeszcze nie wyjechałam, a już znowu coś muszę— pomyślała Marta — Muszę się przysiąść do nich, bo powiedzą, że się zgrywam, że udaję wielką damę. Niech to. . .

Tak sobie przysięgała, że cały czas nie przemówi z nikim ani słowa, nie będzie się śmiała, nie będzie wesoła już nigdy, nigdy. Nawet nie chciała leczyć się z tej choroby, umyślnie rozdzierała stare rany nowymi wspomnieniami. Z dziką brutalnością znęcała się nad sobą, wyśmiewała cynicznie własne uczucia.

— Jestem stara, głupia gęś. Dawno wiem, że nie kocha mnie tak, jak ja jego, a pomimo to ciągle mu się narzucam, czatuję na niego na pustym korytarzu, w drodze do szatni, do magazynu, zmuszam do pocałunku. . . Do pocałunku? Bez troszeczki wzruszenia daje mi go jak jałmużnę, bo jest zbyt inteligentny, by mi powiedział: „Odczep się".

Marta czuła się okropnie upokorzona. Była wściekła sama na siebie. Ona! W stosunku do innych niedostępna i harda, a przed nim tak się poniża, przed nim nie może inaczej.

— Na nic innego nie zasługuję! — pomyślała jeszcze i powoli, bez entuzjazmu usiadła na czwórce, obok koleżanek.

— Ty, Wierka, byłaś w zeszłym roku. Czy jest tam jakaś gospoda, gdzie można potańczyć? — pytała Krystyna.

— W pobliżu jest knajpa, zadymiona i brudna. Porządne lokale są dopiero w mieście. Trzeba jechać autobusem, a ostatni wraca do tej dziury koło dziewiątej. To z dancingu za wcześnie. Przydałby się samochód. Nina mogła zabrać.

— Ja chętnie. Mogłaś przyjść i wytłumaczyć mojemu mężowi, że do przebierania ziemniaków koniecznie potrzebny mi jest samochód.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem z wyjątkiem Marty. Ona była myślami wciąż jeszcze nieobecna.

— Nie bójcie się, dziewczyny — śmiała się Nina — Marta, jako jedyna stanu wolnego, ogłupi jakiegoś szofera i podwiezie nas.

— Ogłupcie sobie same, ja tam nie myślę nigdzie chodzić.

Autobus już ruszył i nie czas było wracać. Marta z obojętnością śledziła krajobraz zapłakany, pusty. Na deszczu marniały ostatnie kwiaty, mieszało się z błotem pyszne złoto jesieni.

— Coś ty taka, Marta? Pożartować nie można? — zagadnęła Krystyna.

— Zbyt poważna jesteś na swój wiek. Powinnaś czym prędzej wyjść za mąż. Czekaj, znajdziemy ci na brygadzie faceta. Jeszcze nas na wesele zaprosisz — dokuczała jej Wiera.

Dziękuję, nie trzeba — odezwała się Marta wyraźnie oburzona — Jeżeli ci mój humor przeszkadza, to mogę sobie pójść na swoje miejsce.

— Zwariowane baby! — rozzłościła się Nina — Dopiero co wyjechały, a już się kłócą! Kto z wami wytrzyma dwa tygodnie?! Chyba nie ja! Lepiej mówcie dowcipy, by nam droga szybciej mijała. Kto zaczyna? No ty, Wierka, powiedz coś wesołego.

Posypały się żarty i dowcipy przeplatane głośnym śmiechem. Do Marty docierały tylko strzępy pojedynczych słów. Nic nie rozumiała. Ona wcale nie chciała, by ta droga szybko minęła. Po co? Dla niej mogła sobie trwać do końca życia, jej wszystko jedno. Nagle obudziła ją Nina.

— Słuchaj, Marta, po co ty właściwie jedziesz na tę brygadę. Nie rozumiem cię.

— Po to, po co ty. Mama mówiła, że przydałoby się trochę ziarna dla kur, ziemniaków dla prosiaka, więc jadę.

— Patrzcie, jaka grzeczna córka — kpiła z niej Nina — Pozazdrościć mamusi można! Ja, to co innego. Potrzebowałam się na chwilę wyrwać z domu, od tego wiecznego zmywania naczyń, prania pieluch. Człowiek by z tego zgłupiał doszczętnie i żyłby jako koń w kieracie, ale ty, wolna jak Europa, ofiarujesz cały swój urlop na brygadę? Chybaś oszalała! Toś już nie umiała wymyślić czegoś sensowniejszego?

Marta nic nie odpowiedziała. Umiałaby wymyślić piękniejszy urlop. Jeszcze jak by umiała — z nim. Z nim nie może, on ma już swoją rodzinę, trudno. Chyba żeby wszyscy pojechali, cały kolektyw z pracy z rodzinami. Zamknęliby budę i wyjechali gdzieś daleko, na dużym statku, na ocean. Potem by przyszła okropna burza, statek by się rozleciał na strzępy, wszystkich by uratowała załoga innego statku, tylko ich dwoje by fale wyrzuciły na wyspę bezludną. Cały tydzień by ich szukali. Boże, dziesięć lat życia by dała za jeden tydzień tylko z nim! Za tydzień by ich znaleźli, żona by mu nie mogła robić wyrzutów, bo to ślepy los tak zrządził, i wróciliby, każdy do swego domu. Tak by się skończyła najpiękniejsza bajka na świecie, trochę prozaicznie, ale nie tragicznie.

— Ale czy on by się ze mną nie nudził? Czy kocha mnie choć trochę? Naprawdę jestem wariatka!

Marta niemal głośno się roześmiała.

— No, nareszcie widzę cię po staremu! Czemu się śmiejesz? — pytała Krystyna.

— Ale, przypomniał mi się jeden taki fajny dowcip.

— No to opowiedz.

Marta z trudem na szybko wyszukała go w pamięci.

Powoli zbliżali się do celu.

Marta kładła się do łóżka zmęczona. Już trzecią noc śpi poza domem, a właściwie to nie noc, tylko dzień. Została przydzielona do grupy, która pracowała na nocną zmianę. Dwanaście godzin siedzieć bez ruchu w takim chłodzie, huku maszyn i kurzu, to nic przyjemnego. W dodatku jeszcze ten jednostajny ruch, bez przerwy obracające się ziemniaki. Można z tego dostać bzika. Nareszcie śniło jej się coś innego niż Marian. Ziemniaki, ziemniaki, ziemniaki. Cała rzeka obracających się ziemniaków. Dziewczyny miały jeszcze inne problemy: jak zdobyć lepsze łóżko, kiedy śpi dziesięć kobiet w jednym niedużym pokoju, jak się do niego dostać, by nie wejść komuś z butami do walizki, jak zdobyć pierwsze miejsce w kolejce do łazienki, by nie musieć się kąpać w lodowatej wodzie, co będzie na obiad...

Marta jednak nie czuła się najgorzej. Te problemy wydawały się jej mało ważne. Kiedy sobie człowiek wsugeruje, że mu wszystko jedno, to można wytrzymać. Lepsze to niż tęsknota.

Cichutko usiadła na łóżku i szukała w torbie czegoś do pisania. W pokoju rozlegało się chrapanie którejś z kobiet.

— Napiszę do niego list — pomyślała — On przecież nie wie, jak bardzo go kocham.

— Nie chce wiedzieć — odpowiedział jej z wewnątrz znajomy, złośliwy głos — Nie jest znowu tak tępy, żeby tyle nie zrozumiał. Nie chce zrozumieć!

— Nie wie — broniła go Marta sama przed sobą — Na pewno to za flircik uważa, bo wszystkie kelnerki lubią z nim pożartować. Nie wie, że ja kocham go naprawdę, mocno, głęboko.

Zaczęła pisać list, długi, serdeczny. Przez łzy nie widziała liter.

Było już koło południa, kiedy ocknęła się z marzenia.

— Muszę zdążyć na pocztę, nim obudzą się na obiad — pomyślała i zaczęła się szybko ubierać.

Wyszła na dwór. Słońce oślepiło jej zmęczone oczy. Był to jeden z tych cudnych dni, jakie tylko jesienią być umieją. Świat tonął w złocie.

— A może lepiej nie wysyłać?

Znowu kłóciły się w niej zawzięcie te dwa głosy — za i przeciw.

— Jak zareaguje? Skrzyczy mnie albo...

Tej możliwości, której tak bardzo pragnęła, nie miała odwagi wymówić nawet sama przed sobą.

— Głupia jestem, może po prostu będzie udawał, że nie otrzymał w ogóle żadnego listu.

Marta szła zamyślona. Właśnie mijała wielki łan młodej koniczyny.

— Jeżeli znajdę czterolistną koniczynkę, to wyślę, jeżeli nie, wyrzucę list i dam mu spokój.

Udawała, że wcale nie chce znaleźć, że wcale jej nie zależy, a jednak znalazła. Uznała to za dobry znak. Włożyła koniczynkę do koperty, zakleiła i poleciała szczęśliwa szukać poczty.

— Już znowu odeszły — złościła się Nina — Chyba im powiem, co o nich myślę. Już mam tej brygady w sam raz, już mi działają na nerwy nawet one.

— Tych parę minut mogły wytrzymać — przytaknęła Marta — Psuje to krew. Według nich oceniają całą naszą czwórkę. Jak to wygląda, gdy stare babcie włażą pod maszyny, wymiatają, a one sobie idą. Zawsze ostatnie do pracy, pierwsze z pracy. Trzeba im coś powiedzieć.

— My przecież zostajemy. Krystyna by też została. To Wiera ją psuje, rozpieszczona lala, jedynaczka! Ja też głupstwo zrobiłam, że wyjechałam na tę brygadę, ale kiedy już jestem, muszę pracować przynajmniej tak, bym nie musiała się wstydzić iść po wypłatę. Taka jestem dziś wściekła, że mam ochotę z kimś się pokłócić.

— Co ci jest? — zapytała Marta — Chyba nie te porządki tak cie rozzłościły?

— Wyobraź sobie, ten idiota, Jarek, chciał mnie wywabić z hali. Co on sobie pozwala! — wściekała się Nina.

— Który Jarek?

— No ten, co tutaj naprawia maszyny. Przyszedł w nocy do mnie, pożartował. W porządku. Przynajmniej godziny prędko lecą. Potem chciał, bym wyszła z nim na dwór. Uznałam to za dobry żart i roześmiałam się na cały głos. Wiesz, jak był obrażony! Powiedział, że wszystkie kobiety od nas i tak tylko po to tu przyjeżdżają. Myślałam, że go tymi ziemniakami zabiję. Taka byłam oburzona.

— Zbytecznie się denerwujesz. To nie jego wina, że tak myśli. Pewnie któreś nasze sąsiadki postarały się o taką opinię.

— Potem do rana grał ważniaka. Ciągle chodził, poprawiał za mną, mierzył ziemniaki. W pracy miałam nie takie sprawy na głowie, a nikt mnie nie kontrolował. Wszyscy mi ufali. Gdyby przynajmniej umiał mierzyć! Takie okienka mu do tego dali, bo w ogóle nie ma pojęcia, co to centymetr. Obdartus jeden!

— My też nie chodzimy do hali w długich toaletach — śmiała się Marta.

Popatrzyły jedna na drugą i wybuchnęły śmiechem. Wyglądały jak grubę, niegramotne misie. Powkładały na siebie całą zawartość walizki. Na zaprószonej twarzy błyszczały tylko oczy i białe zęby.

— A woda będzie jak lód. Idziemy ostatnie — zauważyła Marta.

— Jeżeli jeszcze jutro przyjdzie ten osioł mierzyć mi ziemniaki, to wysypię mu pełny worek na głowę i pójdę sobie. Naprawdę pójdę sobie do domu, chociażby piechotą.

— Dziewczyny, pośpieszcie się — nagliła Wiera — Chcecie iść na tę zabawę czy nie?

— Jasne — przytaknęła Krystyna — To dzisiaj jedyna szansa. Podczas nocnych zmian nie udało nam się nigdy chodzić. Ku zdziwieniu wszystkich miały dzisiaj wyjątkową ochotę do sprzątania. Z gorączkowym pośpiechem pracowała i Marta, chociaż wiedziała, że żadnym cudem nie uda im się ją wyciągnąć na tę imprezę. Co by tam robiła? Marian o niej zapomniał. Nie przysłał listu. Cały tydzień czekała cierpliwie. Żadnej odpowiedzi. On jest zadowolony, że jej nie widzi, że ma przynajmniej dwa

tygodnie spokoju. Nie, to niemożliwe. Marian na pewno jej odpisał, to ten listonosz tutaj jest do niczego. Na przerwie obiadowej nie było przecież żądnej poczty. Nie zdążył przynieść, bęcwał jeden. Zdrzemnął się gdzieś. Teraz na pewno będzie, musi być list od Mariana. Jutro już sobota, poczta nie przychodzi, pojutrze odjazd do domu. To dzisiaj ostatnia nadzieja.

Marta przyspieszyła kroku. Z trudem udało jej się opanować wzruszenie, ręce jej drżały, gdy wchodziła do kwatery.

Listy były tylko dwa, dla Wiery i Niny. Wiera nie była nawet zachwycona. Każdy dzień otrzymywała listy, szczęśliwa! A może też nie od tego, od kogo by chciała.

Znowu Nina śmiała się i płakała na przemian.

— Popatrz, Marta, co mi Grażynka posłała. Tu na dole narysowała szkołę, to ma być nasz dom, a ten pajacyk na drodze, to ona. Nad tym wszystkim napisała dużymi, drukowanymi literami NIE MA MAMY, to znaczy, że gdy ona wraca ze szkoły, to nie ma mamy, biedactwo moje małe. Wiesz, ona jeszcze nie umie pisać, dopiero zaczęła chodzić do pierwszej klasy, pieścidełko kochane.

Marta siedziała na łóżku zrezygnowana, zapatrzona błędnym wzrokiem gdzieś w dal. Gdyby jej ktoś w tym momencie powiedział, że będzie jutro koniec świata, też by ją to niewiele obchodziło.

— No, ubieraj się, Nina. Marta, co z tobą, szybciej! — denerwowała się Krystyna.

— Ja mam czas. Już wam przecież mówiłam, że nigdzie nie idę — odpowiedziała Marta spokojnie.

— Jeżeli Marta nie idzie, to i ja zostaję — powiedziała Nina.

Wiera ze zdziwieniem przerwała robienie makijażu.

— Baby, ja z was chyba oszaleję! Po co ja z wami jechałam! Taki kolektyw to do kitu. Marta, nie bądź cudakiem i ubieraj się.

— Ja jestem cudakiem? — obraziła się Marta — Przestań się czepiać i daj mi nareszcie spokój. Chyba ci na zabawie moja obecność nie będzie do szczęścia potrzebna. Żeby człowieka zmuszać nawet do zabawy, to już szczyt!

— Dajcie jej spokój, dziewczęta — wtrąciła się Kluzowa — Nie psujcie jej, kiedy chce być porządna. I wam też to nie uchodzi — zamężne kobiety same na zabawę! To za moich czasów nie bywało. Jeszcze się wasi mężowie dowiedzą i narobicie sobie kłopotów.

— A kto im, ciociu, o tym powie? Chyba nie wy?! — drażniła ją Wiera — Cały czas nam przecież tłumaczycie, że nie macie zwyczaju nikogo obmawiać, że dotrzymujecie przykazania, głównie ósme.

— Pewnie, że nie ode mnie, ale dowiedzą się. I czy wam się opłaci? Z kim chcecie tańczyć? Tu i tak nie ma porządnych chłopaków. U nas są lepsi. Nie chcę się chwalić, ale mój Leonek by nigdy nie szedł do gospody w domowym ubraniu, prosto z pola, tak, jak tutaj chodzą na piwo. Zresztą to on w ogóle do gospody nie chodzi. Nie chcę się chwalić, ale który to dzisiaj nieżonaty chłopak ma mieszkanie umeblowane i do tego jeszcze nowiusiński samochód? Udał mi się syn. Co prawda, to prawda. On w ogóle kieliszka do ust nie weźmie.

— Sknera — skrzywiła się z pogardą Nina — Wypiłby, gdyby mu kto zapłacił — dodała po cichu.

— Teraz mam jeszcze obawę, by nie ożenił się z byle jaką dziewczyną, taką lekką, bo szkoda by go było — ciągnęła dalej — Tu oto Marteczka od

dawna mu się podoba, ale nam jakoś spyszniała w tym mieście, w tej restauracji.

— No nareszcie udało mi się rozwikłać tajemnicę, dlaczego Marta taka do niczego — śmiała się Wiera — W szkole była inna. To przed przyszłą teściową świętą udaje.

— Trudno, dziewczyny, idziemy same — powiedziała Krystyna kpiącym głosem — Nie będziemy Marteczce przeszkadzać w drodze do szczęścia. Która z nas by taką szansę odrzuciła. Gotowe mieszkanie, samochód, mama będzie jeździć na brygady, oni do Jugosławii. . .

Marta siedziała bez słowa i połykała gorzkie, duszące łzy. Nie mogła sobie popłakać. Jeszcze nie teraz. Wszyscy wydawali jej się tak bardzo obcy.

Nagle wstała i szybko podeszła do lusterka. W jej twarzy znać było ogromny upór i pewność siebie.

— Pożycz mi, Wiera, przyrządy do makijażu. Idę z wami — powiedziała.

Nareszcie w domu! Autobus przyjechał z trzygodzinnym opóźnieniem. Ale doczekała się! Myślała, że nie wytrzyma dłużej ani minuty. A teraz wcale jej się nie śpieszyło. Marta pieściła wzrokiem te góry znajome, których tylko obrysy widziała na jaśniejszym tle nieba, tę rzekę, która w blasku księżyca wydawała się srebrna, jakaś tajemnicza, tę drogę do domu, na której teraz dopiero odkrywała piękno nowe, dotąd nieznane. Patrzyła zdumiona, jakby to wszystko pierwszy raz w życiu widziała. Nie wiedziała, że można tęsknić za czymś jeszcze, z wyjątkiem Mariana.

— Boże, kiedy ja go zobaczę? — pomyślała — Jeszcze tylko przeżyć ten jutrzejszy wolny dzień, potem mam ranną zmianę, on też.

Popatrzyła na zegarek i obliczała.

— Zobaczę go za trzydzieści dwie godziny i osiemnaście minut. To jeszcze cała wieczność! Już znowu zaczynam. Przecież twardo postanowiłam — zmieniam lokal.

Marta stale przekonywała sama siebie, że zmieni lokal i więcej go nie zobaczy. Przestanie o nim myśleć, kiedy on nawet nie raczył odpisać. Serce jednak czuło, że to nad jej siły.

— Martuśka, nareszcie jesteś — usłyszała za sobą znajomy głos.

— Leon, ale mnie przestraszyłeś! — zawołała nie bardzo zadowolona z tego spotkania.

— Pomogę ci odnieść torby do domu, można?

— Mamusi odnieś, też teraz przyjechała.

— No właśnie idę, zaczekaj chwilę, to kawałeczek.

— Nie trzeba, sama uniosę.

— Marta, tak długo cię nie widziałem. Porozmawiajmy chwilę. Opowiesz, jak było.

— Nie dzisiaj, jestem zmęczona, spać mi się chce. Dobranoc.

— A jutro mogę do was przyjść?

— Każdy może, nie mamy zwyczaju gości wyrzucać.

— No, to do jutra, pa.

Marta obejrzała się po chwili. Leon stał jeszcze w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła. Przykro jej się zrobiło.

— A kto wie? Może w końcu wyjdę za niego — pomyślała — Niezły chłopak. Żal mi go, ale czterdzieści lat z nim żyć — na śmierć by mnie zanudził! Gdyby mi tak Marian powiedział, bym chwilę z nim została, wcale bym się nie czuła zmęczona. Ani spać by mi się nie chciało. Znowu

się rozmarzasz, Marteczko! — karciła sama siebie — Wlej sobie wiadro zimnej wody na głowę. To pomaga.

Nic jednak nie pomogło. Porwała ją taka ogromna tęsknota, że gdyby mogła, gdyby śmiała, biegłaby za nim piechotą zaraz teraz. Dwadzieścia kilometrów to drobnostka. Rzuciłaby mu się do nóg i błagała o odrobinę uczucia, by mogła choć ręce całować, kiedy już usta nie może. Nic nie może, może tylko ze łzami w oczach całować płatki ostatniej róży od rosy zapłakanej.

Noc się ciemna zrobiła, światła w oknach pogasły, ludzie poszli spać. Marta czuła się dziwnie spokojna, zrównoważona.

Ze łzami wypłynął z serca smutek i żal.

— Wyjdę za Leona — myślała już całkiem trzeźwo — Niech Marian wie, że ja też mam swój honor. Dlaczego bym miała być inna niż reszta ludzi? Wszyscy miewają swoje ideały, a potem — wycackają sobie mieszkanie, kupią samochód i udają szczęśliwych. Tyją sobie w spokoju.

Energicznym krokiem podeszła do drzwi.

Przyleciał do niej mały, czarny kotek.

— Ty mój pieszczoszku mały — witała go z daleka — Ty też masz swoje własne drogi. Tylko tobie lżej, bo sercem nie czujesz, a może? Kto wie?!

Marta mrugnęła do niego, jakby w zmowie byli, nacisnęła dzwonek.

Wiek dojrzały: wiek, w którym jeszcze ciągle jesteśmy młodzi, ale już ze znacznie większym wysiłkiem.

(ALOJZY KACZANOWSKI)

Poozwólmy ludziom być szczęśliwymi według ich własnego uznania.

(BOLESŁAW PRUS

Przyzwyczaić się do czytania książek, to zbudować sobie schron przed większością przykrości życia codziennego.

(SOMERSET MAUGAM)

Szczęście powstaje tylko jako produkt uboczny, tak samo jak koks.

(ALDOUS HUXLEY)

Szczęśliwe życie to ciche życie: tylko w atmosferze spokoju może kwitnąć prawdziwa radość.

(BERTRAND RUSSEL)

Nic pożądańszego, a nic trudniejszego na ziemi, jak prawdziwa rozmowa.

(ADAM MICKIEWICZ)

Najważniejsze, żeby swoje wady poznać! Później już się jakoś do niach można przyzwyczaiż.

(KRECIA PATACZKÓWNA)

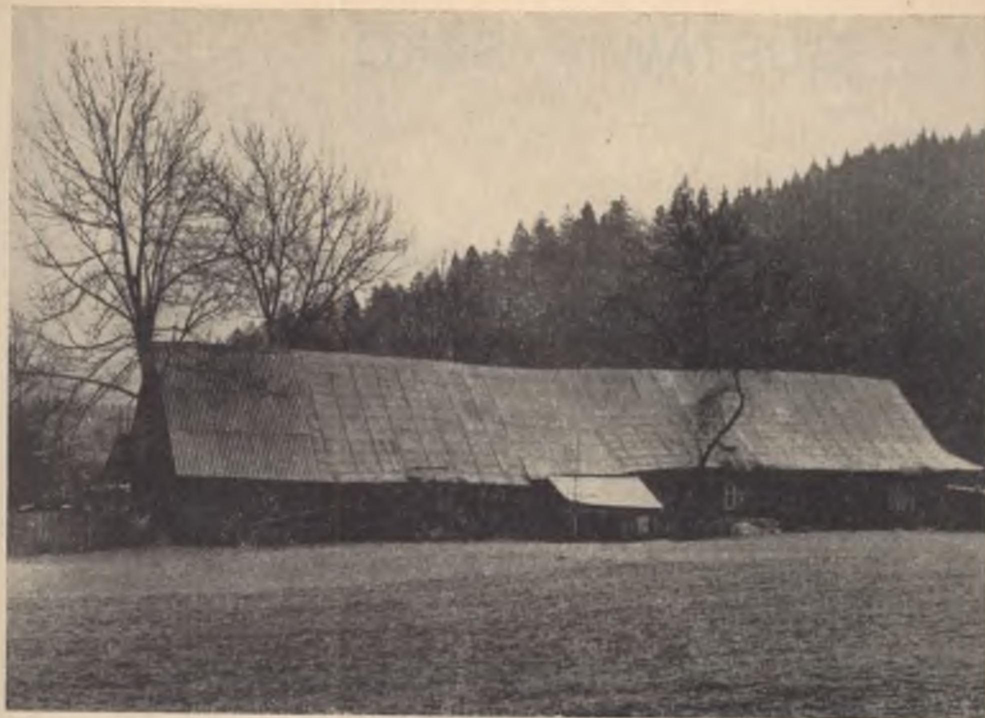
Dureń, gdy zrobi głupstwo, potem zawsze tłumaczy, że było to jego obowiązkiem.

(G. B. SHAW)

Dobra żona nie mówi mężowi „zrób to“, „zrób tamto“. Ona tylko mężowi ciągle przypomina, że tego nie mówi.

(ŁAPKIN)

FOTOGRAFIA: STANISLAV ORSZULIK



FOTOGRAFIA: STANISLAV ORSZULIK



GUSTAW PYSZKO

Artemida z Wersalu

Rzymska Diana
córka Zeusa i Latony
siostra Apollina
Czemu cię rozum karmi tajemnicą
jeszcze się trzymasz własnego szczęścia

Dziewico
bogini łowów
opiekunko zwierząt
jesteśmy samotni razem i osobno
bóstwo światła księżycowego

W Efezie Demokryt snuł świątynię
z ziemią i księżycem wokół słońca
miliony lat
Twoja bogini przyrody wiosennej
stoi i patrzy

Artemido patronko
urodzin i śmierci
patronko młodzieży
szept twój jest spokojny
w smutnym południu

Jesteś miłością
która przeszła obok
Chodzisz i cierpisz
zanim mnie świat
do łóżka położy

W dniu ślubu
składają ci dziewczęta zabawki
są lepsze od pieczarni Apollina
Zjadłaś górę na przełęczy
Wypiłaś rzekę snu

Kiedy słyszę tyle nazwisk
boję się własnej pościeli
i chustką wypędzam wiatr z oczu
czerwona Niedźwiedzico
uskrzydlona Artemido

Wiatr wiał od lądu
płyniemy spokojnie oboje
Siedzę na ławce krzywd
zażywam rozkoszy mędrców
Ale gdzie wy jesteście

Ludzie śmieją się jak kwiaty
jeszcze sobie szum twój przypomnę
bo za rok już go nie usłyszę
Powróć ludziom
ich pierwotny kształt

Twój uśmiech niedokończony
przerwał strzał
Jeszcze go sobie raz przypomnę
bo jutro będzie za późno
razem i osobno

Płyniemy spokojnie we dwoje
do portu bez powrotu
Strzał twój przeszywa uśmiech
światła
my jednak przetrwamy oboje

W tym wirze na cokole
wspólne natchnienie
mamy
Dobre myśli są jak sny
szybko o nich zapominamy

GUSTAW PYSZKO

Szukam człowieka

Szedł po modrym niebie
gdzie zgubił skarpetki
swoje skarpetki szczęścia

Chmury śmiały się stworzeniu
kiedy człowiek błądził w cieniu

Droga była zwyczajna
w gęstej nocy księżycowej
niedośpiona niedokochana

Drzwi stały otworem dla odwiedzin
zorza światła migała gwiazdom
Jeśli jest niebo to dla spojrzenia

Chmury śmiały się stworzeniu
kiedy człowiek błądził w cieniu

Boleść śniegu bieli
boleść żelaza zżera rdza
boleść dzieli

Znowu te gołe wzgórza
gdzie zapach gór urzeka
Z komina niebo rośnie

Chmury śmiały się stworzeniu
kiedy człowiek błądził w cieniu

FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER





Rudolf Ochman
JÓZEF BOŻEK-WYNALAZCA

(W 200-LETNIĄ ROCZNICĘ JEGO URODZIN)

Niedaleko Skoczowa, w okolicy podgórskiej, w domku pod numerem 13, urodził się dnia 28 lutego 1782 roku Józef Bożek, gdzie ojciec jego, Mikołaj, był młynarzem. Domek ten i młyn już dzisiaj nie istnieją. Nazwisko Bożek spotyka się jeszcze dziś w Bierach, Jaworzu i w sąsiednim Grodźcu. Kiedy w 1930 roku razem z Gustawem Morcinkiem zwiedzałem te strony, żył jeszcze w domku pod nrem 13 Jan Bożek, kowal, liczący 74 lata, przebywający na wymowie u swego syna krawca. Jan Bożek przypominał sobie z opowiadań swego ojca, iż domek ten i nie istniejący już wówczas młyn należał do Bożków młynarzy, a w „złych i głodnych rokach" przeszedł na własność dominium grodzieckiego za „kopę główek kapusty". Wspomniany Jan Bożek jest świadomy swego sławnego przodka, był kowalem i wskutek swej całożyciowej pracy w zawodzie kowalskim postradał wzrok z żaru ogniska kuźni, „z hycu", jak nam powiedział.

W 1804 roku wyszła w Brnie książka Reginalda Kneifla pt. „Topographie von Schlesien", opisująca wszystkie miejscowości na Śląsku. Z książki tej dowiadujemy się, że Biery liczyły wówczas „184 Einwohner polnischer Schprache", czyli że Biery były wówczas wsią czysto polską. Pomimo iż wówczas nie było jeszcze uświadomienia narodowego w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, rodzina Mikołaja Bożka, ojca naszego wynalazcy, posiadała polskie uświadomienie narodowe, bowiem Jiří Streit, który napisał w roku 1946 książkę „Božkové - osudy rodiny vynalezců", opierał się głównie na odnalezionym w latach czterdziestych bieżącego stulecia pamiętniku Romualda Bożka, syna Józefa Bożka. Jiří Streit na str. 27. wspomnianej książki pisze o ojcu Józefa Bożka, Mikołaju, „v němž hořel plamen vlasteneckého nadšení pro polskou věc nevolnické masy sedláků, mezi nimiž tehdy žil, chopil se pušky a stal se revolucionářem..."

O dalszych losach Józefa Bożka dowiadujemy się z dzieła znanego działacza społecznego, Leopolda Szersznika, który wspomina o nim w swym dziele „Nachrichten von Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Fürstentum", Cieszyn 1810. Posłuchajmy więc, co pisze: „Bożek Józef z Bierów przy Skoczowie, gdzie ojciec jego był młyńskich wywołały celowo różne ruchy. począł studia gimnazjalne w roku 1799 i ukończył je w roku 1803. Jego uzdolnienie do mechaniki objawiło się już w pierwszych latach młodości. Przy pomocy kół młyńskich wywołał celowo różne ruchy. Chociaż ojciec jego maszynerie te za każdym razem niszczył, urządzał je natychmiast na innym miejscu, mniej wpadającym w oczy. Podczas pobytu w Cieszynie pozostała jego zręczność długie czasy niepostrzeżoną, aż przypadkiem wyszła na jaw przez formę kunsztownie w drzewie wyciętą, którą pewnemu współmłynarzowi do odlewania cynowych pieczęci wygotował. Formę tę dostałem do rąk. Uważałem ją za dzieło artysty, ale mi powiedziano, że ona została wykończona przez studenta nazwiskiem Bożek, który umie wyrabiać drewniane zegary. Kazałem mu przyjść do siebie i pokazać przez niego wykonany zegar, wskazujący minuty, z mechanizmem przeznaczonym do bicia kwadransów i całych godzin. Praca jego była czysta, a jego odpowiedzi zdradzały przenikliwy rozum. Zachęciłem go do dalszych

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

prób i ćwiczeń w tym fachu, dałem mu zrozumiałe zasady mechaniki do częstego czytania oraz zaopatrzyłem go w różne do takich prac potrzebne instrumenta. Odtąd zajmował się wykonywaniem w wolnych chwilach różnych modeli, częścią według przedłożonych rysunków, częścią także tylko według ustnych, często niedokładnych opisów. O jego wynalazczym zmyśle świadczy uderzający przykład. Gdy mu przedłożono rysunek automatycznego warsztatu tkackiego, którego budowa nie była całkiem jasna i domagano się od niego wykonania według tego wzoru modelu, rozmyślał nad mechanizmem tego ruchu tak długo, dopóki nie udało mu się, jeżeli już nie ten sam mechanizm wynaleźć, to przynajmniej inny sporządzić, który automatyczne tkanie umożliwiał. Szybkość jego pojmowania była tak nadzwyczajna, że każdą, najbardziej nawet skomplikowaną maszynę, był w stanie zbudować, jeżeli miał sposobność zobaczyć ją tylko przez chwilkę. Tak było z maszyną do strzyżenia sukna w Brnie, którą mógł oglądać tylko przez parę minut, a przecież udało mu się mechanizm szczęśliwie naśladować w modelu. Liczbę w moim gabinecie znajdujących się kunsztownych mechanizmów wymienię zaraz, ale trud opisania jego późniejszych wynalazków, dokonanych w Pradze, muszę pozostawić wynalazcy albo komuś innemu, bo jestem za bardzo oddalony i za mało mam o nim wiadomości.

1. Podwójnie złożona dźwignia.
2. Dźwignia do wydobywania pali według Belidora.
3. Taran, który się sam uwalnia, według Belidora.
4. Maszyna do wydobywania korzeni według Leupolda.
5. Maszyna do wiercenia rur według Leupolda.
6. Suche spławianie drzewa.
7. Ciągadła polne według Deliusa.
8. Zwyczajny młyn.
9. Wałaski młyn bez kół. Kamień młyński bywa poruszany przez wodę spadającą na skrzydła umieszczone na walcu młyńskim.
10. Wiatrak.
11. Piła (tartak) poruszana przez deptanie wołów.
12. Piła poruszana rękami ludzkimi.
13. Młyn do szlifowania zwierciadeł.
14. Wałkownia.
15. Maszyna do dźwigania ziemi.
16. Prasa do drukowania sztychów miedzianych.
17. Elewator.
18. Przyrząd do liczenia kroków.
19. Rzymski katapult według Lipsiusia.
20. Katapult okrągławy.
21. Katapult do rzucania.
22. Katapult na inny sposób.
23. Katapult, który oddaje usługi innym katapultom.
24. Tollono do dźwigania żołnierzy na mury miasta.
25. Automatyczny warsztat tkacki.
26. Automatyczny warsztat do wyrobu wstążek, który przez osobliwy mechanizm może być puszczony w ruch.
27. Maszyna do strzyżenia sukna.
28. Dobosz, który bębni według taktu.
29. Model ołomunieckiego zegara ratuszowego".

Modele te znajdowały się w gabinecie, a później w Muzeum Leopolda Szersznika. Kiedy w 1930 roku zwiedzałem Szersznikowskie muzeum, ówczesny, przeszło osiemdziesięcioletni kustosz, prof. Jan Wytrzens, nic o nich już nie wiedział. Czas zrobił swoje. A szkoda! Widzielibyśmy dzisiaj, jak wyglądały ówczesne techniczne urządzenia.

W roku 1803 studiuje Bożek w Brnie u prof. Andrego matematykę i mechanikę, potem uczęszcza na wydział filozoficzny uniwersytetu praskiego. Ponieważ brakowało mu środków na utrzymanie, zarabiał na życie reperaturą zegarków swych współkolegów. Bożek był następnie wychowawcą dzieci hr. Clam-Martinica, a w roku 1806, kiedy budową różnych machin i ulepszeń zwrócił na siebie uwagę dyrektora Instytutu Politechnicznego w Pradze, Franciszka Gerstnera, przyjął oferowaną mu posadę mechanika Politechniki z wynagrodzeniem 300 złotych rocznie, wolnym mieszkaniem oraz 10 sążniami drzewa do palenia. Z chwilą przyjęcia posady mechanika zrzekł się dalszych studiów i propo-

nowanej mu profesury. Będąc mechanikiem Politechniki sporządził sporo mechanizmów, z tego 22 nowe, skonstruował również specjalny zegar dla praskiego instytutu astronomicznego. Niektóre jego modele zachowały się również aż do 17 listopada 1939 r., do chwili obsadzenia czeskiej Politechniki przez niemiecką hitlerowską policję po zamknięciu wyższego szkolnictwa czeskiego. (Politechnika czeska, pierwsza tego rodzaju uczelnia w Europie, została założona przez naszego ziomka, Krystyna Józefa Willenberga, Ślązaka z Legnicy na Dolnym Śląsku).

Wozem parowym zainteresował Bożka jego przyjaciel Hübl, który w celach handlowych jeździł do Anglii. Opowiedział mu o próbach Richarda Trevithicka z wozem parowym w latach 1804 i 1808 oraz o zarzuceniu dalszych prób po początkowych niepowodzeniach. Kiedy w r. 1810 hr. Buquoy przywiózł do instytutu praskiego angielską maszynę parową o sile 16 KM, rozmontowaną i zdekompletowaną, Bożek, nie mając jeszcze w tym zakresie żadnego doświadczenia, zmontował ją i puścił w ruch. Zachęcony przez znawców skonstruował swój pierwszy pojazd parowy w 1815 roku, który 17 września tego roku wypróbował, przy czym próba wypadła bardzo dobrze. Bożkowa próba jazdy wozem parowym była pierwszą tego rodzaju próbą, nie licząc nieudanych prób francuskiego wynalazcy, Nicolasa Josepha Cugnota, na kontynencie europejskim.

Nie ustając w pracy, skonstruował jeszcze parowiec i takowy zademonstrował publicznie dnia 1 czerwca 1817 r. Z tego czasu dochował się tekst ogłoszenia Bożka w języku niemieckim, w którym zaprasza na pokaz. W ogłoszeniu tym był również obrazek, przedstawiający jego pojazd parowy i parowiec. Treść tegoż ogłoszenia podaję w polskim przekładzie:

ZA WYSOKIM POZWOLENIEM

w niedzielę, dnia 1 czerwca 1817 (jeżeli pogoda dopisze), zademonstruje podpisany w Stromowce przy Bubenczu, wysokiej szlachcie i zacnej publiczności swą łódź parową, 7 sążni długą, a 9 stóp szeroką, na odnodze wełtawskiej, przy młynie cesarskim, zaś swój wóz parowy na grobli rybnika.

Łaskawa pochwała, jakiej udzielono podpisanemu przed dwoma laty, kiedy publicznie zademonstrował swój wóz parowy, oraz zachęta znawców, by praktycznym zastosowaniem spopularyzować maszynę parową, skłoniły podpisanego do zastosowania maszyny parowej do poruszania łodzi przeciwko prądowi.

Usiłowania jego w tym kierunku szczęśliwie się udały tak, że jest gotów wykonaną łódź przedstawić przed sąd uczonej i znającej się na rzeczy publiczności, by publicznym popisem pokazać celowość i praktyczny użytek, którego pełną miarą należy oczekiwać dla spławnych rzek w Czechach, gdy zastosuje się maszynę parową dla żeglugi łodzi i dostawy zboża przeciwko prądowi.

Dlatego oczekuję, iż szanowni i wiedzę miłujący obywatele Pragi ukoronują jego usiłowania łaskawym i licznym uczestnictwem i swoim zadowoleniem. Jazda wozem parowym przy dowolnym kierowaniu rozpocznie się wystrzałem o pół do piątej i potrwa do drugiego wystrzału, który wyznaczy koniec jazdy. Troska o dobry porządek nasunęła podpisanemu następujące wskazówki:

Tytułowani panowie, goście z pierwszych i drugich miejsc, potrzymają swe bilety podczas pokazywania wozu, a po upływie pół godziny opuszczą zajęte miejsca i wyznaczonymi drogami udadzą się na nowe miejsce przy brzegu, gdzie swoje bilety oddadzą bileterowi jeszcze przed przyjazdem łodzi.

Później, po nowym sygnale dzwonem, spuszczony zostanie model parowca 5 stóp długi, który popłynie w dół rzeki, a w końcu podpisany wyjedzie z wielką łodzią parową, która dla większej zabawy wysokiej publiczności uzbrojona będzie w małą armatkę i popłynie od cesarskiego młyna z prądem i przeciw prądowi, lecz tylko tak daleko, by szanowni widzowie wszystko ze swoich miejsc widzieli.

Ceny miejsc:

Pierwsze 2 zł; drugie 1 zł; trzecie 30

grajcarów. Dzieci poniżej lat 8 płacą połowę.

Dla większej wygody bilety można nabyć wcześniej w Bożym Oku, na Starym Mieście, ul. Siarkowa, w sklepie p. Wojciecha Maszy na Końskim Targu, w aptece Pod Złotym Starčem, na Nowym Mieście, i w Mosteckiej ulicy, na Malé Stranie w księgarni Widtusama.

Józef Bożek, mechanik

Jak z powyższego ogłoszenia wynika, był Bożek i znakomitym organizatorem. Próba wypadła znakomicie, publiczność była rozentuzjazmowana, widząc wóz, łódki małą i wielką, popędzane parą. Widok był rzeczywiście niezwykły — wóz bez koni, łodzie bez wioseł i żagli.

Lecz niestety w natłoku, jaki powstał podczas wychodzenia tych tłumów, zginęła cała kasa z zebranym wstępnym, po którym sobie Bożek wiele obiecywał, chcąc pospłacać długi, które był zaciągnął na konstrukcję swych wynalazków.

Dalsze losy jego życia były dla niego bezlitosne. Świadczeń i subwencji na podobne cele wówczas nie znano, więc na próżno zwracał się do urzędów i osób wysoko postawionych z prośbą o pomoc celem zrealizowania swych pomysłów, na próżno przedstawiał dogodności, jakie by wynikły z wprowadzenia komunikacji parowej. Wszędzie zbywano go kurczeniem ramion i obietnicami do czasów, kiedy na tego rodzaju przedsięwzięcie będzie więcej pieniędzy.

Czasów tych nie doczekał nasz nieszczęsny wynalazca ani jego maszyny. Widząc bowiem, że znikąd nie doznaje ni podpory, ni przyjaźni, własną ręką w przypływie rozpaczy zniszczył dzieło swego życia, które go kosztowało tyle pieniędzy i pracy, i stało się przyczyną ciężkiego niedostatku.

Zmarł w roku 1835, nie doczekawszy bolesnej chwili, jaką by mu spowodowała lokomotywa Stephensona, która 20 sierpnia 1845 r. po raz pierwszy do Pragi szlakiem od Ołomuńca przybyła. Grób jego znajduje się na Olšańskim Cmentarzu. Kwiaty na jego grobie, jakie tam spotykam, ilekroć jestem w Pradze, świadczą o sympatii dla jego pamięci. Nie dziwota. Jego nazwisko jest napisane złotymi zgłoskami w dziejach politechniki praskiej. Syn jego, Franciszek, był nauczycielem w warsztatach mechanicznych politechniki praskiej, drugi zaś został inspektorem wodociągów w Pradze.

Józef Bożek był rówieśnikiem Stephensona, urodzony w rok później od niego. Wynalazki ich powstały prawie że w jednym czasie, obydwaj napotykali duże trudności, chcąc zastosować swe epokowe wynalazki. Stephenson był poniekąd w lepszej sytuacji, pracował bowiem w zagłębiu węglowym jako mechanik, gdzie w widoczny i dosadny sposób mógł przedstawić dogodności, wynikające z przewozu maszyną parową w porównaniu z przewozem końmi. Szkoda, że Bożek nie działał na rodzinnym Śląsku, być może, że przyczyniłby się do szybszego rozwoju górnictwa węglowego u nas, stosując swe maszyny parowe.

Okoliczności życiowe nie sprzyjały Bożkowi. Genialne jego wynalazki ówczesne zacofane społeczeństwo zlekceważyło. Dojrzały one gdzie indziej. Czesi, wśród których pracował, zaliczyli jego nazwisko do prekursorów nowożytnej techniki. Poświęcili mu wiele większych i mniejszych prac, których naliczyłem 54. Nakręcono także film na temat jego działalności z pojazdami parowymi. Podobiznę jego umieszczono na znaczkach pocztowych, nazwisko jego spotykamy w nazewnictwie ulic czeskich miast, jego imieniem nazwano szereg szkół przemysłowych.

W polskim języku poświęcono naszemu genialnemu ziomkowi jedenaście większych i mniejszych prac, w niemieckim 3.

Na końcu pamiętnika syna wynalazcy, Romualda, znajduje się notatka napisana po zgonie jego brata, Franciszka: „...teraz przyjdzie na mnie kolej, ostatniego z rodu Bożków, którzy w życiu swoim nosili zawsze wielkie myśli i plany, którzy wiele chcieli wykonać, a przecież, z wyjątkiem naszego ojca, nigdy nie przekroczyli granicę dzielącą miarę średnią od wielkości. Trudno, byliśmy pechowcami. Taki był nasz los. Zresztą, któż to może twierdzić. Nasza praca i nasza przedsiębiorczość pomogły innym dotrzeć do celu, do którego dążyliśmy sami. To nam wystarczy, by po-

tomni wspominali naszą wytrwałość oraz bezinteresowną pracę przy rozwiązywaniu problemów, dziś prostych. Niechaj nasze nazwiska, nasze życie, sukcesy, niepowodzenia oraz nasza śmiałość w poczynaniach nie znikną z ludzkiej pamięci".

Władysław Sikora

CHŁOPSKIE GRANIE

Z trawy idziesz ze snóz idziesz
w górę między skrajem głogów
jesteś wiatrem trzmielim lotem
białym kozłem pod uwracią
stąpasz boso rośnym zielem
a utykasz na badylach
a przytykasz dłoń do bieli
ranki czysto krochmalone

Z brzozy idziesz letnim liściem
zapowiedzi przesypujesz
z mierzyc w dzieże na przetaki
w mysie norki dni osuwasz
jesteś ziarnem o upale
o trawiastych apostołach
o przełęczy stokiem idziesz
ponad sumą i południem

Idziesz z łanów przez dziedziny
od Stonawy Koniakowa
wiesz o pszczelim zatroskaniu
o weselach szkopyrtoków
zza zapłotków dniówek w hucie
chowasz nagły sen o przędzy
przez jaskółki cerowanym
białym niebie swojskim mieście



A grali muzykanci na weselu grali
o dziedzińskich chodakach przez sąsiedzkie miedzki
grali o Ondraszku świeżo malowanym
w karczmie Haroka za frydeckim lasem
grali lipowo w muzykę wpatrzeni
w drewno latami pisane wokoło
gonili palcami fujarkowe trele
kobzę kozę pod bzem tarmosili
tak że było ponad południami w dole
ciche granie łąki ciasno przeplatane
kwieciem zielem trzmielim puszkiem w górze
aż kowalik zasnął gąsiorek upszczelił
granie i muzykowanie i grajków amen



Władysław Sikora
JABŁKA PASTORA WINKLERA

(FRAGMENTY POWIEŚCI HISTORYCZNEJ „PRZELACZ")

Proboszcz Stefan Zawodnik nie był skory do zbytniego roztrząsania swoich madziarskich perypetii. Tyle szczęścia, że wczas zwinął tłumoki i uszedł przez Przełęcz Jabłonkowską.

— Powiem wam, zacny pastorze, o wspólnym naszym przyjacielu, Ludowicie Szturze, a to już wam wystarczy pewnie, aby zrozumieć bezmiar naszego słowackiego utrapienia. Onegdaj Wiliam Pauliny-Toth dokumentnie mi wyłożył, co to się wydarzyło po wyjeździe Sztura ode mnie. Oj, lękałem się wtedy, lękałem!

Pastor Winkler przysiadł się bliżej do słowackiego gościa z Welkej Diwiny i jął go namawiać do skorzystania ze swoich nawiejskich jabłek, ułożonych przez pastorową w rumianą piramidę na fajansowej misie. Proboszcz, wybrawszy najdorodniejsze, przepraszał oczami za śmiałość i nieprzystojny osobie duchownej brak wstrzemięźliwości. A miał na myśli ich wspólną walkę z zarazą gorzałki po wsiach na Olzą i Wagiem.

— Co tylko dusza raczy... — skinął z dostojnym uśmiechem Winkler.

— Panie bracie w słowiaństwie, otóż Ludowit Sztur przyjechał do Liptowa z Pragi, należał zresztą do trzydziestodwuosobowego powerennictwa, które formułowało „Żądanie narodu słowackiego". Ślicznie ponoć przemawiał Sztur na liptowskoświętomikulaskim zgromadzeniu. Tym swoim głosem przemawiał; donośnym, przenikliwym głosem dzwonu. A o głosie jego — pozwoli pastor dygresyjkę — głośno było nad Dunajem, odkąd on obronił go przed trzema grubianami. Otóż usiłowali oni wywołać z nim, ze Szturem, zwadę na Nonnenbahn, a pewnikiem także okraść, ograbić. Sztur wsparty mocno o swoją laskę: „Mit akar?" — huknął do pierwszego, a z takim wyrazem i z tak głośnym „akar", że warchoły straciły rezon i dalszą ochotę do wspólnych interesów, i zwiały w swoją stronę.

— Przednia anegdota — kwitował dygresję Winkler — potrafię ja sobie wyobrazić tę rzadką scenę, kiedy duch triumfuje nad fizyczną przemocą.

— Prawda...? Ale ad rem: „Nebudú sa viac hajná a kŕdle nevoľného ľudu na panské roboty valievať, nebudú viac za chrbtom nevoľného biedneho ľudu hajdúci drábi s palicami stávať... Všetko toto je už zrušené a do večnej priepasti zahodené — ľud náš je už slobodný, už bude raz obyvateľ krajiny a človek!" — tak mówił Sztur. Proboszcz Zawodnik wstał z zydelka wzruszony jak przed ołtarzem w kościele. —

Tamto dolu nad Dunajom
čierne chmáry tiahnu krajom,
tam fujaky sa zháňajú
a víchrice lietavajú;
lež tu milo, lež tu voľno,
jak tu dobre, jak pokojno! —

FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER

tak grzmiał Sztur w liptowskiej stolicy, wskazując na wolne Tatry a następnie rzucając gest odrazy ku Preszburgowi. — Proboszcz drżał rozgorączkowany, rzucając wzrok na południe ku Przełęczy Jabłonkowskiej. Usiadłszy z powrotem na paradnym krzesełku, oddychał ciężko jak po drodze do stoku.

Pastor Winkler przeprosił gościa, przyniósł dwa kielichy napełnione połyskliwym winem:

— Na tę uroczystość słowiańskiego ducha wypada nam odstąpić od zasad wstrzemięźliwości, zacny proboszczu, a uczcić wielkiego przyjaciela naszego i naród wasz uświęcony!

Zawodnik z gestem usprawiedliwienia wobec pastora zwilżył usta winem.

— Otóż Ludowit Sztur — wytchnął i wypił następną kropelkę — wracając z Liptowa do Preszburga, wybrał wespół z Diurem Hodżą drogę w dół Poważa. Tutaj jednak krążyły już groźne listy skierowane przeciwko „pansławom". Sztur zjawił się wszak u mnie w Welkej Diwinie dlatego jedynie, że wśród wartowników mostu budacińskiego było kilku Słowaków, a ci w swej dobroci szczęśliwie go przepuścili.

Niezmiernie wówczas się ucieszyłem, że mogę gościć u siebie tak znakomitego przyjaciela, lecz Sztur zaraz w nocy jechał dalej krytym wozem bawiącego akurat w Diwinie kapłana, a podążającego z Nitry do Trenczyna. Być może ani godzina jeszcze nie minęła, a już zjawił się w Diwinie komisarz Szeghy i rozpytywał o Sztura. Wag był się tego dnia wzburzył po ulewie, tak że Szturowi wypadło przeczekać jakiś czaś w Zarieczu, zanim przewoźnik nie przerzuci go do Hriczowa. Owo spóźnienie wszak znakomicie przysłużyło się Szturowi albo i życie mu uratowało, skoro na godzinę przed nim Moric Marszowsky, zaprzysięgły prześladowca ruchu słowackiego, przybiegł był konno z Marszowej do Priedmieru i po karczmach poszukiwał naszego przyjaciela; nie natknąwszy się tam jednak na niego, sadził do Bytczy przypuszczając, iż Sztur tamtędy wybrał drogę z Diwiny: przez Marczek, Zariecze, Obłazow i Koteszową do Bytczy, do przyjaciela swego, Eugeniusza Gerometta. Jakoż, gdy Sztur mijał gromadzką drogą bytczański przewóz, zobaczył za Wagiem jeźdźca śpieszącego do Bytczy i ani przeczuwał, że to człowiek wysłany dla uwięzienia go. W ten oto sposób Sztur dotarł do Trenczyna starodawnego, gdzie zresztą zagroziło mu dalsze niebezpieczeństwo. A uniknął go ukrywszy się u dobrych mieszczan słowackich. Zorganizowano, aby zapewnić mu bezpieczeństwo, pomoc ze wsi, tyle, że czekał na nią gdzieś do godziny drugiej po północy. Powozem chłopskim docierał potem przez Kostolną, Sztwartok, Haluzice i Boszacę do Zemianskiego Podhradia. Dwa dni zabawił u oddanego i wiernego Słowakom Gustawa Ostroluckiego, następnie zaś, unikając uczęszczanych szlaków, dotarł wreszcie do brata swego, Karola, w Modrej. Stamtąd dopiero pchnął swego towarzysza, Diurkę Hodże, do Preszburga po ubrania, bieliznę i pieniądze. Hodża przyniósł co prawda ubrania i bieliznę, lecz pieniędzy ani listów mu w redakcji Słowackich Nowin Narodowych bez upoważenia nie wydano. Zdarzyło się zresztą, że wcale już nie zastał Sztura w Modrej. A bo ktoś tam doniósł zwierzchności o jego pobycie u brata, tak że farę najechano. Był zmierzch niedzielny 28 maja. Nadbiegł łapiący dech chłopak z domu Emreowskiego — a to już gwardziści maszerowali przez dolną bramę fary ewangelickiej. Sztur uciekł przez ogród i zanim gwardziści otoczyli dom, i zanim się spostrzegli, już naszego przyjaciela nie było.

Winkler słuchał poruszony do głębi i zaczął zapewniać proboszcza Zawodnika o wielkich tutaj sympatiach dla bohaterskiego ruchu słowackiego.

A to w własnym kraju i wśród własnego ludu... A to przeciw woli cesarskiej wolni wolnych uciskają... — westchnął pastor i zadumał się wpatrzony w kopczyk pachnących jabłek na stole i w dygot wina w czarkach.

ŚMIECH FERENCA

Hrycek wsparł się dłońmi i brodą na szałasowej żerdzi i przypatrywał się Madziarom, paradnie wyszywanym srebrem i złotem bluzom i galatom husarskim. Szamerunkom, galonom? — czort wie, jak to się wszystko nazywa! Wolał jednak nie pytać, aby znowu go nie wyśmiano, a podejrzewał też, że jeśli się pyta niewiedzących, wtedy oni dopiero wydrwią, zasłaniając swoją niewiedzę. Hrycek zawsze był ciekaw odległego świata, owych dolin ścielących się płasko od Cieszyna albo gdzieś tam nad Wagiem, szedłby i szedł, byłby łaził, przypatrywał się ludziom i słuchał ich dziwnych języków, lecz owczarz z Wyrch Łomnej należał do sałasza, do owiec i buczków wpierających się mocno w spadzisty grunt nad łączkami. Hrycek nie był rad temu, że ciągiem uważają go za młodzieniaszka, a on przecież niejedno już pojął ze spraw dla dorosłych i ckniło mu się do... — sam nie wiedział, do czego. Zazdrościł wszak starszym ich dorosłego zdania, mądrego spojrzenia, któremu niepotrzebne są słowa, a jedynie ruch brwi albo warg, grymas lub zwyczajne skinienie powiek.

Muras kręcił się koło niego, domagając się pogłaskania i młodzieńczej swawoli, lecz odtrącił psa kolanem i chłonął świecące przy ognisku postacie husarów, połyski metalowych guzów i glansowanych cholew.

— Magyar vogyok, magyar, magyarnak születtem... — zaintonował łykowaty wojak, a krąg wokół ogniska pochwycił melodię. „Maďar som ja, Maďar, maďarského rodu..." Hrycek znał pieśń ze słowacka, odkąd Kluz, wracając z szabru, począł przynosić z tabaką węgierskie nowości.

— Szép! — powiedział owczarz, kiedy już skończyli. — Pięknie — powiedział, a Madziarzy, szukając oczami w mroku, zaprosili głos gestem do ogniska.

— A był taki Madziar w Cieszynie. Nie ten, co mocował się z silnym Kadłubcem o miech bobu i szpyrki, inszy — uśmiechnął się bacza Bachlet. — Taki wielki pan, co grał i grał... Kalchberg, mówili, tysiąc guldenów zebrał u panów i mieszczan, i taką tróhełkę na nogach przywiózł z Wiednia — fortepiano jakoweś z biołymi i czornymi klapkami do grania. — Madziar Klapka podniósł oczy, lecz Jurek uspokoił go skinieniem. — Zamocka tych guldenów ten Madziar wiele dni groł na zamku. A to było przed głodnymi rokami, jakeśmy jeszcze na popisy wałaskie chodzili do Cieszyna i podle starego obyczaju z urzędnikami trzy dni i dwie nocy jedli i pili... I tóż ten Madziar groł, a wojewoda z wałachami...; tak my stoli pod oknem i posłuchali tego grania. To jakby potóczek lecioł i lecioł ruńtem i harwosil do świata góry i lasy, abo tamtą pusztę madziarską... Liszt mówili, tymu Madziarowi.

Klapka ocknął się znienacka:

— Liszt? Ferenc Liszt?

— A Liszt — zaniepokoił się Bachlet — feszak Madziar i śmieszek jak za starych dobrych czasów! — i zauważywszy uroczystą dumę w oczach Klapki, mówił znowu o owym graniu i graniu.

— Ale o tych pończochach... Jak ten Liszt był w Cieszynie, tóż wielki jarmark tam zrobili, tam ciężko było się przecisnąć tymi ulicami: tkacze, garncorze, powroźnicy i kto tam jeszcze... Tóż dyrektor kameralny Kalchberg z Lisztem też szli na ten jarmark i przyglądali sie tym bogactwom: tu zygnęli, tam spróbowali. A tam, na Szerokiej — ten Liszt ciągnie taki cosi z czerwonej wełny i pyto sie, co to jest. Mówią, że pończochy dlo babek z dziedziny. Taki sznury na parę metrów długi. To sie je tak układa i układa w fałdy czerwone. I tóż Liszt jak nie zacznie sie śmiać, patrzy dookoła, a babki w tych pończochach, no i tak się śmiał i śmiał na całą ulicę, że wzięli go pod ramiona, aby nie upadł, zaprowadzili do bramy, a Liszt śmiał się i nie mógł wytchnąć. A jak go uspokojono, to prosił, aby mu już zaoszczędzić widoku tych czerwonych pończoch, bo jak je jeszcze uwidzi, to skona ze śmiechu...

Klapka też już śmiał się do rozpuku, położył się na trawie i chichotał, chichotał, potem usiadł nagle i kazał szukać przy siodłach tokaja, aby uczcić narodową okazję i zbratanie przez śmiech.

JASZ

Jura Jasz nie powstrzymał się i rąbnął nieodłączną swoją ciupagą w żarzącą się w ognisku kłodę:

— Jak to tak? Z panoczkami z Preszburga? Z Pesztu? — miał już wyraźnie dość Honweda Klapki; on, dawny batiar i zbójnik Słotika z Turzówki, znał życie od innej strony. — Ja też jestem ember — człowiek i swoje wiem o sądach w Cieszynie i w Trenczynie, i o mieszczanach na ławie przysięgłych... Oni to dla siebie tak! — i z urodzonymi panami położą nam nóż na gardle, aby dalsze sałasze zalewać, w owsie smreczki sadzić, pańskimi kopcami góralskie pola obcinać... Nie darmom uciekał młody z Jabłonkowa na uherską stronę a potem z Żyliny do Trenczyna, do Krasulki na Beskidzie, w Ostrawicy, do Słotika. Wszak miłości ani zlitowania nie ma u nich — ani u mieszczan, ani u pana.

Kluzek się zniecierpliwił:

— Nie było, ale być musi! O nowe nam idzie, Jura: tak jak u Francuza. Cesarza trza wygnać, panów ukrócić, chłopom i góralom dać pole ... Niech wolność mają!

— Nowe, nowe... — gderał Jasz uparcie — A panoczkowie z czym do nas przychodzili? Nowe lasy, nowe drzewo na piłę do Nawsia, nowa Przelacz po sałaszu... Sprawiedliwości nam dajcie! Takiej, żeby nie ściągała, nie zdzierała z grzbietu ostatniej guni i setnych dowek z góralskiej krwawicy. Takiej, żeby nie rodziła nowych cesarzy — Napoleonów. Dajcie nam żyć tak, jak chcemy i potrafimy. A żandarmów zaprzęgnijcie do pługa, panom każcie szyć buty, nauczycielom mówić po naszemu... Fiks! — chleb trzeba siać, ziemniaki sadzić, a z czego? Chleb trza robić, serek trza robić, a nie nowych panów na nasze grzbiety, nowe wojsko na wojsko posyłać, rekrutów naszych grzebać po cudzych krainach, nowe dowki zdzierać, od gęby ludziom odejmować...

— Jura! — Kluzek tłukł pięścią w kolano — a za cóż to chcemy bić cesarskich? Wziąć im trzeba pole, władzę nad nami i inszy porządek — ludowy otworzyć. Cesarza zegnać z tronu i niech wybrana przez nas rada rządzi. Cesarz sam nie odejdzie ani z Pesztu, ani z Wiednia. Siłą musimy gnać Austriaków — kansi do tramtarie i wolność głosić, wszystkich wolnych uczynić: Polaków, Czechów, Słowaków i Węgrów. Pańszczyzna nie

wróci, roboty na pańskim nie będzie — no to dla kogo będziesz robił? Dla siebie i dla wolności.

Jura Jasz oparł ręce na siekierce, zacisnął żelazo:

— Wszak se robicie i zrobicie po waszemu; ja tam już swoje przeżyłem — powiedział z przekąsem — ze zbójnickich chodniczków żem się do wspólnego na sałaszu przyuczał. A panów ani mieszczan nie będę w palce lizał, nie pójdę z nimi, abym nie musiał, bo lat już młodych nie mam, na nowo w lasy się uchylać i panów nowych gnębić.

Oficer Klapka przysłuchiwał się w zamyśleniu sporowi Kluzka ze starym batiarem i nie rozumiał zrazu, chociaż sam nosił w sobie krew słowiańską, po co zaraz tyle tych żądań i ów brak poczucia pełnej solidarności ze sprawą Kossutha od eks-zbójnika, który zachował głowę, uchyliwszy się w łomniańskie ostępy. Wyrzucony z własnego konceptu byłby wołał huzarów do naparzenia Jaszowi bykowcem, lecz przypomniał sobie debaty w kółku demokratycznym młodzieży szlacheckiej i owego studenta — radykała, który mówił o francuskich socjalistach i niemieckich artykułach „Neue Rheinische Zeitung“, o komunizmie. Pojął, iż na walce z cesarzem nie koniec, tylko początek nowych rozdrażnień. Oto Słowacy zaczynają się burzyć, oto chłopi i górale patrzą na świat po swojemu i ciasno... Przelękła go właściwie rozwierająca się dolina Łomnej, czuł, że trzeba będzie ostrożnie schodzić ku miastu i nie spodziewać się zaraz śląskiego powstania na rzecz Kossutha. Pozostała jeszcze nadzieja albo i złuda, lecz wierzył, że skoro Ślązacy idą na austriackie dwory, to walka rozgorzeje na Morawach i w Czechach, chociaż Praga już dawno upadła; że w Galicji będzie gorąco, a wojska cesarskie pogubią się wtedy wśród ogólnej wrzawy i będzie z nich pył... Za to Kossuth umocni władzę, opanuje sytuację, Węgry okrzepną i staną mocno przeciwko Wiedniowi.

Jurek Kluz, zeźlony na małostkowe fafranie Jasza, wstał od ogniska i patrzył w stronę Przelaczy i Sałajki, skąd Hrycek powinien przynieść wieści. Tam już ludzie na pewno wiedzą, co słychać w Jabłonkowie i co zamyśla tamtejsza gwardia z Paduchem. Jutro honwedzcy husarzy uderzą na mostecki szaniec, a Klapka odetnie drogę pod miastem — i tylko wskoczyć do Cieszyna i Bielska...

— Dzisiaj idziemy? — powiedział do Klapki.

— Nie! Aż owczarz wróci.



Otylia Tobola
HISTORIA LUTYŃSKIEGO TANGA

Żeby pomniki przestały milczeć, żeby złote litery wykute w twardym kamieniu nie wyrażały tylko bezosobowego kształtu nazwisk, napisałam tę opowieść o jednym z milionów. W liście do matki mój nieznany znajomy pisał: „...gdy będę mógł zagrać do radia i Ty w domu będziesz mogła mnie słuchać, to na pewno nie uwierzysz, że to ja gram, to będzie dla mnie jedna z najpiękniejszych chwil w życiu..."

Jego życzenie spełniło się dopiero po czterdziestu latach, lecz matka już tego nie słyszała. Gdy przy żółtym świetle nocnej lampki czytałam listy nie do mnie pisane, stawał mi przed oczyma beztroski, wręcz dziecinny. Pisał o wielkiej polityce, o nadziejach pokładanych w Związku Radzieckim, o kłopotach ze „zorganizowaniem" koniczyny, żyta i czosnku. Bez atrybutów wielkiego bohaterstwa, nieświadom może w pełni tego, co robił i czym to groziło. A jednak w dokumentach Wojskowego Instytutu Historycznego czytamy: „... pozostawał już od dłuższego czasu w kontaktach wywiadowczych z Margiciokiem i Wittem. Miał on między innymi dostarczyć stempli i odcisków stempli nieustalonych dotąd urzędów. Dochodzenie przeciwko niemu nie zostało jeszcze zamknięte..." [1]

★ ★ ★

Droga za lutyńskim cmentarzem pnie się stromo w górę, kilkakrotnie skręcając tuż za płotami przydrożnych domów. A kiedy zakręty zostają już za nami, zaczynają się rozciągać zabudowania Olmowca i Lanckorony. Kiedyś jeździły tędy tramwaje do Lutyni Górnej, potem dalej na Kopaniny i do Orłowej. Dziś droga jest mało uczęszczana, bo do miasta jeździ się dwukierunkową szosą koło nowego szpitala. Ale wtedy było to jedyne połączenie dwu Lutyń — Niemieckiej i Polskiej. Obok tej drogi, tuż na łuku jednego z zakrętów, stoi rzędem kilka domów. Tu właśnie rozpoczyna się historia życia i śmierci, która kryje w sobie wiele tajemnic i zagadek do końca niewyjaśnionych. Wszystko zaczęło się pewnego marcowego dnia w mieszkaniu byłego lutyńskiego nauczyciela. Na stole stały szklanki gorącej kawy, ciastka i kanapki. Gospodarz co chwila zachęcał do jedzenia. Rozmawialiśmy o czasach okupacji, bombardowaniu wioski, jej mieszkańcach zaginionych w zawierusze wojennej. Nie wiem dlaczego, ale już po kilkakrotnym usłyszeniu imienia „Władek" starałam się skierować rozmowę na temat tego właśnie człowieka. Coś zaciekawiło mnie w jego życiu, choć o innych ludziach gospodarz mówił równie interesująco. Widząc moje zainteresowanie, nauczyciel podszedł w pewnej chwili do biblioteczki i wyciągnął stamtąd coś zawiniętego w starą gazetę.

— Co to jest? — zapytałam.

— To stara płyta, jeszcze z czasów wojny.

— Jaka płyta?

— Pewnego razu otrzymałem od Władka przesyłkę z Pragi — mówi rozmówca. — Była w niej ta oto płyta. Najpierw usłyszałem kilka taktów fortepianu. Poznałem tango, które jeszcze w Lutyni Władek skomponował. Miałem wtedy skończone gimnazjum i dlatego Władek prosił mnie, żebym mu pomógł napisać słowa do tej piosenki. W domu Opiołów usiedliśmy

FOTOGRAFIA: ROMAN KLUS

przy fortepianie. Władek grał, a trzeba powiedzieć, że grał pięknie. I tak powstała piosenka o Marysi. A na tej płycie jest ta właśnie piosenka.

— Więc tu ma pan utrwalony jego głos?

Byłam tym odkryciem zafascynowana. Można usłyszeć, jak śpiewał, jak grał, po tylu latach... Zaczęłam prosić gospodarza o pożyczenie mi chociaż na kilka dni tej cennej pamiątki. Teraz byłam już zdecydowana. Wszystko, co dotyczyło 20-letniego Władysława Opioły, zaczęło i mnie dotyczyć. Coś zmuszało mnie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Wydobyć z zapomnienia legendę o ludziach podziemia...

★ ★ ★

Niedaleko domku, jednego z tych opodal stojących koło pokręconej drogi na Olmowiec, był kiedyś stary młyn. Przetrwał lata. Jednak ząb czasu dał znać o sobie. Trzeba było młyn naprawić lub rozebrać. A że naprawa wydawała się niepotrzebna, bo młyn już dawno nie służył swemu celowi, właściciel domku nr 483 postanowił młyn zlikwidować. Przystąpiono do systematycznego rozbierania pogniłych belek i tramów, które tworzyły dach i boczne ściany. Nagle właściciel młyna, Edward Konieczny, zobaczył tuż pod dachem, na wpół już przysypanym ziemią, jakiś przedmiot. Zaczął go odgrzebywać i przekonał się, że jest to opakowanie, a w nim pożółkłe, wilgotne kartki papieru. Przeczytał pierwsze wyrazy. Rozpoczynały się od słów: „Najdroższa Mamuśko..." Nadawcą był jego kuzyn, Władek Opioła.

Konieczny zabrał listy do domu. Rozłożył je na blacie stołu, żeby wyschły. Niektóre z nich, niestety, były już tak bardzo poszarzałe, że niewidoczne stawały się na nich nawet niebieskawe plamy rozlanego wilgocią atramentu. Ale większość zachowała się w znośnym stanie.

Znalazca przez dziesięć lat nikomu nie wspominał o swoim bądź co bądź rodzinnym odkryciu. Dopiero w r. 1980 ofiarował listy Władysława Opioły, których było w sumie 29, byłemu nauczycielowi, Emanowi Pastuszkowi. W trakcie naszego drugiego spotkania Pastuszek pokazał mi wielką kopertę zawierającą tak cenne dla mnie dokumenty. Udało mi się go przekonać, żeby i tę drugą pamiątkę pożyczył mi na kilka dni.

Pierwszy list nosił datę 13 listopada 1941 roku. Władek donosił w nim swojej matce o tym, jak przy budowie królikarni pracuje od „ćmoka do ćmoka" itp. Ale nie to było najciekawsze, tylko poniższy fragment, który przytaczam w całości:

„Najdroższa Mamo, Ty się martwiłaś, co ze mną jest, że tak długo nie piszę, a ja tak samo martwiłem się, czy nie zaszło coś złego u nas w domu. Jesteś ciekawa, kto mi pisał, żeś chora? Powiedziała mi to wróżka: mówiła, żeś chora nerwowo. Więc proszę Cię, oszczędzaj przede wszystkim siebie i swoje zdrowie. O mnie się nie martw, a o Tatę — to także nic nie pomoże. Jak już Ci nieraz pisałem, jedz wszystko, na co będziesz mieć ochotę, bo jak wrócę, chcę Cię ujrzeć zdrową, przynajmniej taką, jaką byłaś o godzinie w pół do drugiej w piątek 22 sierpnia 1941, kiedy Cię widziałem ostatnio. Przy tych słowach łzy stanęły mi w oczach, bo tęskno mi za Tobą, Kochana Mamuśko, jak małemu dziecku. Może tym bardziej dlatego, że nie wiem, kiedy będę mógł spokojnie wrócić do domu i przywitać się z Tobą..."

Był to więc pierwszy ważniejszy szczegół z tego okresu jego życia. Ów pamiętny dzień 22 sierpnia 1941, kiedy musiał uciekać z domu i szukać miejsca ukrycia. Znalazł je niedaleko Pragi, gdzie mieszkała siostra Koniecznego, Andziela Szajnowa. Jej imienia jednak w żadnym liście Władek nie wymienia. Zawsze pisze, że wyjeżdża lub wybiera się do P.

Co jednak zaszło w tym dniu w domu Opiołów? Pewna wzmianka w jednym z późniejszych listów pozwala przypuszczać, że musiało chodzić o rewizję, bo Władek tak oto pisze do matki: „...dziwię się, że tego nie znaleźli, czyżby tam nie szukali..." **A oto inny fragment dotyczący owego 22 sierpnia:**

„...Ten idiota „chudy" nazywa się Zora. Teraz coś gada, a czemuż mnie nie złapał, jak uciekałem. W ten piątek wyjechałem na rowerze z Graurowego placu, gdzie przedtem powiedziałem M., co się stało,

a on, właśnie Zora, prowadził na posterunek dwie kobiety; patrzył na mnie, jak pędzę, czemuż nie pojechał za mną, kiedy teraz taki mądry..."

Mężczyzna określany w listach literą „M" lub sylabą „Mil.", to starszy kolega Władka, Czech z Lutyni, Milosz Salamon. Został aresztowany wspólnie z ojcem Władka, Józefem Opiołą. O co jednak ich oskarżano, czego dotyczył proces, który, jak wynika z listów, miał się odbyć, nie wiadomo.

Z ustnych relacji, jak również z krótkiego biogramu, znajdującego się w muzeum w Czeskim Cieszynie, oraz przytoczonej w przypisie książki pt. „Ruch oporu w rejencji katowickiej 1939—1945" wynika, że Władysław Opioła trudnił się produkowaniem fałszywych stempli i dokumentów dla ludzi znajdujących się w czasie okupacji w ciężkich życiowych tarapatach. Współpracował prawdopodobnie ze znacznie od siebie starszym, znanym już sprzed wojny fałszerzem, Jankiem Celnerem z Dziećmorowic, człowiekiem, którego postać zasługuje na osobną opowieść, ponieważ w rodzinnej wsi powstała wokół jego osoby legenda, której nie powstydziłby się nawet sam Janosik.

Tak samo wokół Władka Opioły pozostało wiele spraw niejasnych. Mówiło się na przykład, że na fałszywe dokumenty przetransportował gdzieś na tereny województwa warszawskiego wagon masła z Bogumina. Masło mieli odebrać ludzie z oddziałów AK. Nie wiadomo, czy młodziutki chłopak, tak bardzo pochłonięty muzyką, mógł mieć już wówczas takie kontakty z podziemiem nie tylko na terenach należących do Inspektoratu w Rybniku, lecz także sięgające dalej. Jedno jest pewne. Już wówczas uczestniczył w akcji sabotażowej na terenie Zaolzia, co wzmogło się jeszcze w późniejszych latach. Dowiadujemy się o tym między innymi z listu do matki:

„Mamuśko, muszę Ci napisać, żebyś choć Ty o tym wiedziała. Ten handel, który prowadziłem z masłem itp., nie robiłem dla zysku. Popęd do tego czynu dało mi przede wszystkim słuchanie radia z Londynu, gdzie w przemówieniach, czy to w języku polskim, czy czeskim, nawoływali ludzi do tak zwanych „sabotaży". I takim sabotażem, nawet jednym z największych, było właśnie to, co robiłem. Bo jak na przykład wybrałem na fałszywe dokumenty 1000 kg masła — to o tyle mieli Niemcy mniej zapasów. Tym samym zbliżało się wygłodzenie całych Niemiec. Takie rzeczy mają duży wpływ na szybsze ukończenie wojny. M. o tym nie wiedział, zresztą z nikim na ten temat nie rozmawiałem. Jedynie Eman (Pastuszek — przyp. mój) może się czegoś domyślał..."

Do listu dołączona jest jeszcze krótka notatka:

„P.S. Mamo, tego listu nie pal, tylko bardzo dobrze schowaj!!! Zresztą lepiej, żebyś wszystkie listy ode mnie dobrze schowała i nie paliła."

Czyżby już wtedy Władek myślał o spisaniu pamiętnika?

Listy do mamy pozwalały dzień po dniu śledzić losy Opioły od listopada 1941 do maja 1942 roku. Po ucieczce przed gestapem zamieszkał na niewielkiej zapadłej wsi kilka kilometrów od centrum Pragi. Była to prawdopodobnie jakaś osada należąca administracyjnie do stolicy, ponieważ w jednym z listów Władek podaje zmianę adresu z Pragi „Aus" na „Prag Land". Zatrzymał się u pewnego gospodarza, który jednak okazał się człowiekiem nieuczciwym. Zabierał swemu nowemu lokatorowi nie tylko część ciepłej bielizny, ubrania i żywności z paczek przesyłanych przez Opiołową, ale również był zamieszany w kradzieże królików i innego żywego inwentarza wsi. Zaprzyjaźniony z Władkiem właściciel restauracji, Tell, pod którego adresem przychodziły do Władka listy z Lutyni, poprosił jednak miejscowych żandarmów, Czechów, żeby nie wszczynali na razie przesłuchań, bo powołany na świadka przybysz z dalekich stron, bez odpowiednich dokumentów, od razu wydałby się podejrzany policji. Szczególnie jeden z żandarmów nie tylko nie podjął żadnych kroków, które mogłyby Opiole zaszkodzić, lecz nawet zwierzył mu się z własnej tragedii rodzinnej. Jego żona, Żydówka, wywieziona została wraz z córeczką do Rzeszy i wszelki ślad po nich zaginął.

Opioła słał coraz częstsze polecenia do matki, prosząc o przesłanie dwu rzeczy: roweru i „tych rzeczy od Janka“, czyli innymi słowy fałszywych dokumentów sporządzonych przez Celnera. Czy otrzymał rower i wszystkie potrzebne mu papiery (część nadeszła na pewno), nie wiemy. Chciał zameldować się w stolicy i tam podjąć naukę gry na fortepianie i harmonii, a równocześnie grą na tych instrumentach w jakiejś restauracji czy gospodzie zarobić na skromne życie. Później równie ważny był rower, ponieważ Władek nosił się z zamiarem opuszczenia swego „gościciela“ — złodzieja i udania się „gdzieś dalej“. Kolejnym miejscem jego ukrycia była leśna chatka, którą na weekend zwalniał dla prawowitego właściciela i jego narzeczonej, i wyjeżdżał do rodziny, do Pragi.

Gdyby nie zmartwienia o rodziców i tęsknota za domem oraz wioską rodzinną, byłoby mu tu zupełnie znośnie:

„Żalisz się Mamo, że Ci tęskno — pisał w jednym z listów — tak samo i mnie tęskno za Tobą i ojcem i wszystkim, co w domu lubiłem. Ja swoją tęsknotę ukajam grą na harmonii. A jak mi bardzo smutno, to spaceruję lasami. Tam w lasach mogę płakać, śpiewać i nikt się ze mnie nie śmieje... Gdyby mi się Janek postarał o te rzeczy, to miałbym głowę spokojniejszą, no ale jak nie będzie mógł, to też nie siądę w kącie i nie będę płakał, tylko będę rozmyślał nad jakimś innym wyjściem z tego położenia. Byleby zimę przeklepać, a na wiosnę, to choćbym poszedł od siedloka do siedloka tylko za to jedzenie, ale może by moją pracę więcej ocenili niż mój gościciel...“

Opioła był człowiekiem, który z racji swojego młodego wieku właściwie nigdy naprawdę nie uwierzył w czyhające na niego na każdym kroku niebezpieczeństwo. Jak najbardziej obca była mu zatem myśl o własnej śmierci. Traktował wojnę jako niepotrzebny, lecz krótkotrwały koszmar, który ludziom utrudnia, nie umożliwia realizację życiowych pragnień. I dlatego jeszcze z większą energią chciał działać, jeżeli już był odcięty od powiązań konspiracji na Zaolziu i nie mógł brać udziału w sabotażach, chciał chociaż sprawdzić siebie w inny sposób:

„... Teraz szczególnie mam taką ochotę do nauki, jak nigdy przedtem. Muszę się pochwalić, że gram o wiele lepiej niż w domu; wszystkie te rzeczy, któreś mi przesłała, gram z pamięci. Nawet te bardzo ciężkie kawałki gram już także bardzo dobrze. Florentinermarsch ten gram jak „słowacy“!!! Więc nie mam obaw, żebym w Pradze nie otrzymał zatrudnienia. Jedno mnie tylko martwi, że harmonię mam znowu rozstrojoną, i jak chciałbym gdzieś grać, musiałbym ją znowu dać nastroić. Teraz ćwiczę codziennie. Jest tutaj w chacie także brat mojego gościciela ze swoją narzeczoną, która także gra na fortepianie. Jutro na sylwestra idę grać do restauracji, gdzie przysyłasz pocztę. Mają tam także fortepian i czasem jak są jacyś goście, co lubią muzykę, posyłają po mnie...“

W pierwszych tygodniach ucieczki jego listy musiały budzić u matki niepokój, ponieważ Władek tak oto stara się ją uspokoić:

„... że pójdę na wojnę, o to się teraz nie martw. Owszem, że pójdę w razie potrzeby, a to bardzo chętnie walczyć za niepodległość swoją i swojego narodu. Zresztą powiedziała mi to również ta wróżka. Będę pono i ranny, ale wrócę szczęśliwie do domu. Ach Mamo, nieraz mi się zdaje, że lepiej by mi było na froncie, niż tutaj w tej dziurze...“

Interesowało go wszystko, co działo się po jego ucieczce w rodzinnej Lutyni. Szczegółowo dopytywał się w listach o losy różnych swoich znajomych i kolegów: o Emana Pastuszka, Milosza Salamona, Adolfa Durczoka. Ten ostatni, sąsiad Opiołów, nawet odwiedził Władka w Pradze, by uspokoić jego matkę, że synowi nie powodzi się tam źle, jak się tego obawiała:

„... Więc Ada wrócił szczęśliwie — pisał Władek do matki — i pocieszył Was, że to nie jest ze mną tak złe, jak sobie może wyobrażaliście! Ja po jego odjeździe błądziłem ulicami bez celu i było mi bardzo smutno. Szkoda, że nie mogę przyjechać bliżej domu, ale jak uznaliście, że byłoby to niedobrze — to trudno...“

Jakże bardzo różnił się w swoich nastrojach od własnej matki. Rozalia Opiołowa musiała wtedy przeżywać wielki kryzys wewnętrzny. Słaba, schorowana i samotna kobieta, niepewna losu swego męża, który przez kilka miesięcy był więziony i musiał ciężko pracować, do tego troska o życie i zdrowie jedynego dziecka. Jej samotność i zagubienie były tym straszniejsze, że żyła w otoczeniu różnych ludzi, nie tylko tych, którzy starali się ulżyć jej cierpieniu i wspomagali materialnie, ale również różnych kolaborantów i szowinistów, nie krępujących się głośno wyrokować, że Opiołów spotkał sprawiedliwy los. Jakże więc spontaniczna i dziecinna wprost była reakcja jej ukochanego syna:

„... Napisz mi, moja najdroższa Mamuśko, wszystko i nazwiska wszystkich, którzy Cię krzywdzą. Żebyś wojny nie przeżyła, o tym nawet nie myśl, bo ja jestem przekonany, przeżyjemy w zdrowiu wojnę, a potem w stałym szczęściu lata powojenne!!! Teraz cieknie krew na wszystkich frontach świata, a jedną z najgłówniejszych ról gra Polska. Wczoraj słuchałem radia i dowiedziałem się, że część naszego wojska jest w Rosji. Jak tylko zacznie się to ze szwabami z kopca, to nie będziemy już długo Polski czekać [...] Zaczynam żyć trochę weselej, bo widzę i słyszę, że świat się mieni. W Rosji rżną szwabów jak cholera — na całym froncie rosyjskim Niemcy uciekają. Jeżeli tak pójdzie stale, to wiosna będzie już prawdziwą wiosną ... “

★ ★ ★

W miejscu swego ukrycia Władysław Opioła poznał rodzinę Franców. Kiedy tylko nadarzała się okazja, odwiedzał swoich nowych znajomych, by móc w ich domu grać na fortepianie i śpiewać. Do gospodarza wracał nieraz aż po północy. U państwa Franców spędził również święta Bożego Narodzenia i czuł się szczęśliwy. Czasami pani Francowa dopisywała Rozalii Opiołowej kilka słów, zapewniając o sympatii i współczuciu, które cała rodzina żywiła do Władka. Po jednym z takich „dopisków“ Władek napisał post skriptum:

„Pani była przez trzy tygodnie chora i nie mogła mówić. A teraz jak jest już zdrowa, to sobie ze mnie drwi. Bolały ją zęby i mówiła tylko „hm, hm, hm“ a ja jej także tak odpowiadałem. Bieliznę, o której pisze, daję zawsze raz jej a raz do Pragi, bo pani Francowa nie chce nic ode mnie za to pranie. A ja jej nie chcę tak wykorzystywać, więc mówię, że bieliznę posyłam do domu“.

Z jednego z ostatnich listów Władka do matki wynika, że pod koniec jego pobytu w Czechach stosunki uległy pogorszeniu i Władek zupełnie przestał u Franców bywać. Mama Francowa widziała w nim bowiem swego przyszłego zięcia, który prócz córki otrzymałby jeszcze 300 tysięcy koron posagu. Władek był tym zaszokowany. Z początku nie wiedział, co odpowiedzieć. Córka Franców była chora, nigdy nie podejrzewał swoich dobrodziejów o takie zamiary. Wymówił się niezręcznie na swoją własną sytuację, brak środków utrzymania i konieczność ciągłego ukrywania się. Ale stosunki się popsuły.

★ ★ ★

Ostatni list Władka do matki nosi datę 21 maja 1942 roku. Pisze w nim, że znalazł w Pradze nauczyciela, u którego pobiera lekcję muzyki po 50 Kčs (5 RM) za godzinę. Nie jest dotychczas zdecydowany, czy na tak drogie lekcje będzie go stać. Poza tym spotkał w Pradze pewnego znajomego muzyka, który obiecał mu znaleźć podobne do swojego zajęcie. I listy się urwały. Dlaczego?

Na to pytanie znalazłam odpowiedź u wspomnianego już Edwarda Koniecznego. Można ją przyjąć za prawdziwą, gdyż pokrywa się z wydarzeniami w Protektoracie. W kilka dni po ostatnim liście, 27 maja odbył się w Pradze zamach na Heydrycha. Faszyści szaleli. Rozpoczęły się masowe aresztowania i persekucje.

W tym czasie Władek był u swojej praskiej cioci. Nagle w nocy rozległo się kołatanie do bramy. Niemcy wtargnęli na parter i rozbiegli się po schodach. Zaczęli walić kolbami do drzwi mieszkań, szukając zamachowców i inne podejrzane oso-

by. Władek nie miał na co czekać. Po rynnie okapowej wydostał się na dach domu i tam przeczekał większą część nocy. To utwierdziło go w przekonaniu, że Praga stała się dla niego równie niebezpieczna, co rodzinna wieś. Postanowił wracać.

Druga przygoda, która i tym razem zakończyła się dla niego szczęśliwie, spotkała go w Ostrawie. Wieczorem wstąpił do kawiarni i właśnie w tym samym czasie weszli czescy i niemieccy żandarmi. Miał szczęście. Jego dokumenty kontrolował Czech, człowiek widać uczciwy, bo skoro zorientował się, że są w nich nieścisłości, wyprowadził gościa na ulicę i poradził mu, aby natychmiast zniknął.

— Tu w tym pokoju — ciągnął swoją opowieść Konieczny — była wykopana dziura, a nad nią ustawiono szafę z ruchomym dnem. Gdy Władkowi groziło niebezpieczeństwo, wchodził przez tę szafę do kryjówki i tam przeczekał najgorsze chwile.

★ ★ ★

W Lutyni słyszałam opowieść o rzekomym aresztowaniu Władysława Opioły w bardzo dramatycznych okolicznościach. Pomimo tego, że nie zakłada się na prawdzie, postanowiłam ją tu przytoczyć, by pokazać, jak często ludzie naszego podziemia obrastali po latach w legendy. Otóż gestapo aresztowało po jakiejś akcji dwudziestokilkuletniego Karola Sosnę z Lutyni. Władek dowiedział się od znajomego rażnika, że aresztowanego będą przewozić do innego więzienia. Postanowił odbić przyjaciela. Do pomocy wziął austriackiego studenta, który dla obu załatwił nie tylko samochód, lecz również mundury niemieckie. Gestapo jednak podstęp wykryło, wywiązała się strzelanina, w wyniku której student austriacki został zabity, a Opioła dostał się żywcem w ręce oprawców.

Dokumenty i świadkowie mówią jednak coś innego. Według Koniecznego Opioła został zatrzymany w Zebrzydowicach, gdy wracał z Polski. We wspomnianej książce „Ruch oporu w rejencji katowickiej 1939 — 1945" czytamy, że gestapo aresztowało go w roku 1943 w Lutyni Niemieckiej. Pewne jest, że po wstępnych przesłuchaniach przewieziono go z cieszyńskiego więzienia do najgorszego z więzień na Śląsku — do Mysłowic. Tam oddany został do dyspozycji sądu doraźnego. Aresztowano również jego rodziców, Rozalię i Józefa Opiołów.

Edward Konieczny wspomniał o jednym jeszcze incydencie. Żona Koniecznego miała znajomą w Cieszynie, której siostra pracowała w charakterze dozorczyni w tamtejszym więzieniu. Poszła więc dowiedzie[ć] się od znajomej o przyczyny aresztowan[ia] kuzyna. Dozorczyni wyszła pono na kil[ka] minut, a gdy wróciła, miała powiedzieć: „Jest bardzo źle, pani Konieczna, proszę iść do domu, tu się nie da nic zrobić. To jest polityka. Ogromna."

★ ★ ★

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę d[o] piosenki o Marysi, do starej płyty, od któ[rej] rozpoczęła się ta opowieść. Udało mi się w końcu ustalić nazwisko tej dziewczyny. Nazywała się wówczas Maria Surma i mieszkała w Godowie. Była to pono dziewczyna bardzo urodziwa. Najpiękniejsze były jej oczy: ciemne, przenikające do głębi. „Umiała tak spojrzeć, że..." — tu mój informator nie znajdował słów. Postanowiłam ją odnaleźć.

Po drugiej stronie granicy, w Godowie, mieszka dziś wielu Surmów. Ludzie napotkani na drodze posyłali mnie z jednego końca wsi na drugi. Zatrzymałam się wreszcie w ulicy koło krzyża. „Marysia Surma — przytakiwali napotkani tym razem panowie — oczywiście, że znamy. Teraz nazywa się Wodecka. Marysia, no jasne, to tam..."

Poszłam dróżką, kończącą się w podwórzu wskazanego domostwa. Przed budynkiem stała kobieta dość tęgawa. Obok niej młoda i ładna dziewczyna z kilkunastomiesięcznym dzieckiem na rękach. Starsza przestała wieszać bieliznę i przyglądała mi się z uwagą nie mniejszą niż ta, którą musiała wyczytać z mojej twarzy.

Miała ciemne, krótkie, poskręcane włosy i ciemne oczy. A może były to kiedyś te piękne i głębokie oczy?

Zapytałam, czy jest z domu Surma.

— Tak — odpowiedziała.

— Maria Surma, tak? — chciałam się upewnić.

— Nie Maria, bo Maria to moja siostra. Ale teraz mieszka na stało w Raciborzu. Prowadzi tam zakład modniarski przy ulicy ks. Londzina. — Naprzeciwko kina Bałtyk, jakby pani nie mogła znaleźć — dorzuciła młoda dziewczyna.

— Lepiej, jeżeli pani sobie zapisze. Nazywa się Derwisz. A zakład modniarski jest właściwie w bocznicy na Stalmacha. A na Londzina ma mieszkanie.

Wolałam to wszystko zapisać.

Kino Bałtyk nie trudno było znaleźć. A jednak ociągałam się z wejściem. Przeglądałam kapelusze i futrzane czapki w oknie wystawowym i układałam w myślach to pierwsze najtrudniejsze zdanie. Jeżeli była narzeczoną skazańca, osobą, która otrzymała jego ostatni, napisany przed śmiercią list pełen życia i optymizmu, jeżeli to o niej śpiewał i pisał piosenki... — jakże miałam rozpocząć rozmowę za ladą sklepu z kapeluszami.

Mojemu wejściu towarzyszył staromodny dzwonek przy drzwiach. Z zaplecza podeszła do lady dziewczyna.

— Chciałam rozmawiać z panią Derwisz — powiedziałam.

Dziewczyna zniknęła za kotarą, a wkrótce weszła kobieta, na którą czekałam. Jej twarz zdradzała zaciekawienie i jakby niepokój. Była to twarz jasna i zrównoważona. Zielone oczy nie były jednak głębokie ani przenikające. Niczym nie wyróżniały się z jej twarzy, pełnej harmonii i spokoju. Kobieta była szczupła i zgrabna, ubrana w granatowy płaszcz roboczy. Kiedy powiedziałam jej, skąd przybywam, wyraźnie się zaciekawiła. Zaczęła wypytywać o losy swoich dawnych znajomych, z trudem już przypominała sobie ich nazwiska. Uczyła się przed wojną zawodu modniarskiego w Dąbrowie i tam spotykała się z ludźmi z tego terenu. W końcu zdecydowałam się na pytanie najważniejsze, którego tak obawiałam się przez cały czas.

— Opioła... Władysław... — nie przypominam sobie. Gdyby mi pani powiedziała, co on wówczas robił... czym się zajmował... jak wyglądał, na pewno bym sobie przypomniała, ale tak... To już tyle lat...

Wyraźnie starała się mi pomóc. Szukała w pamięci nazwisk różnych ludzi, którzy mogliby mieszkać w Lutyni.

W końcu opowiedziałam jej wszystko, co wiedziałam o Opiole. Powiedziała wówczas:

— Czarny, wysoki, barczysty chłopak. Muzyk... teraz sobie chyba przypominam. Tak, teraz już wiem. Ale czy on do mnie pisał? Chyba nie...

Ale Opioła był wzrostu średniego, raczej szczupły i nie miał czarnych włosów. Nie powiedziałam tego głośno.

Pomimo wszystko jedno zaciekawiło mnie we wspomnieniach pani Derwisz. Przypominając sobie swoje dawne koleżanki, powiedziała w pewnym momencie:

— Były tam takie dwie dziewczyny z Dąbrowy czy Orłowej. Jedna miała na imię Marta. Była bardzo piękna. Miała czarne włosy, czarne i duże oczy, którymi wszystkich potrafiła oczarować.

Marta. Po powrocie do domu raz jeszcze przesłuchałam płytę. Może Opioła śpiewał o Marcie, zdrabniając po swojemu jej imię. Może... Płyta była tak zdarta, że z trudem odróżniało się słowa. Może widział kiedyś tę piękną dziewczynę i pod jej urokiem napisał „Lutyńskie tango"? Ale nigdy nie była jego narzeczoną. Musiała być jeszcze jakaś inna dziewczyna...

★ ★ ★

Konieczny poprawił się w fotelu.

— Jeszcze pani coś powiem ważnego — kontynuował. Władek miał narzeczoną. I tuż przed śmiercią napisał do niej list i wyrzucił go z okna więzienia na chodnik, gdzie ta dziewczyna stała. W liście pisał, że jeszcze dziś w nocy będą razem. Prosił, bo na wskazane miejsce przyniosła cywilne ubranie. Ktoś jednak to wszystko widział i list zaniósł do więzienia. W celi Opioły przeprowadzono rewizję. Kraty w oknie były przepiłowane...

W dokumentach gestapo widnieje zdanie: „Dochodzenie przeciwko niemu nie zostało jeszcze zamknięte". Tymczasem wypadki potoczyły się już teraz w błyskawicznym tempie.

W gospodzie w Mostach pod Jabłonkowem, w obecnym hotelu „Beskid", siedziało w jesienny podwieczór 1943 roku kilku mężczyzn, którzy spożywali wieczorny posiłek. Nagle do gospody weszli niemieccy żandarmi. A że przybysze wydali im się podejrzani, zażądali dokumentów. W odpowiedzi padły strzały. Walter Dolz obsunął się na ziemię, lecz zdążył jeszcze ranić jednego z uciekających partyzantów. Niemcy odpowiedzieli na swój sposób...

26 października przywieźli do wsi dziesięciu skazańców. Pięciu Polaków załadowali w mysłowickim więzieniu, a pięciu Żydów odtransportowali z obozu w Oświęcimiu. Naprzeciwko gospody stała szubienica...

— Najmłodszy ze skazańców — wspomina świadek egzekucji, dziś jabłonkowski nauczyciel, Niedoba — zaczął strasznie wołać mamę. Starał się wydrzeć z rąk oprawców... nawet udało mu się wyśliznąć z pętli, ale Niemiec ponownie nasunął mu ją na szyję... Miałem wtedy może dwanaście lat. Nagnali nas wszystkich, nawet dzieci ze szkoły, musieliśmy na to patrzeć..."

Podobnie wspomina mostecki stolarz, Wacławek, który zna egzekucję z relacji żony:

— Ten najmłodszy, co tak wołał mamę, miał narzeczoną, do której przez znajomego dozorcę pisał dzień przed śmiercią list. Zapewniał ją, że się pobiorą. Jego pierwszego powiesili, bo się strasznie wyrywał...

Najmłodszym ze skazańców był Władysław Opioła.

★ ★ ★

Jego nazwisko zostało wyryte na kilku tablicach: w lutyńskiej szkole razem z nazwiskiem rodziców, którzy zginęli w oświęcimskim obozie śmierci, na obelisku w Mostach, tuż nad nazwiskiem przyjaciela, Karola Sosny, powieszonego na tej samej szubienicy, w mauzoleum operacji ostrawskiej w Hrabyni...

Młodzieńczą piosenkę byłego studenta ostrawskiego konserwatorium, Władysława Opioły, opracował w roku 1980 kompozytor Eugeniusz Fierla. W Czechosłowackim Radiu w Ostrawie zaśpiewał ją Jarosław Kornas przy akompaniamencie Leonory Tichanowej:

Mam serce jedno wierne,
Tobie je, Marysiu, dam,
Ja kocham cię niezmiernie,
Niełatwo dzisiaj nam.

Ty zostań sercem przy mnie,
Ja wiem, że kochasz.
I smutek twój jest szczery,
Jak miłość ma.

Refren:
Marna, och Maryś, marna
Jest dola czarna.
I serce moje rwie.
Marna, ach Maryś moja,
Jest nasza dola,
Jak smutna pieśń.

[1]) Ruch oporu w rejencji katowickiej 1939—1945. Wybór dokumentów, MON, Warszawa 1972

FOTOGRAFIA: BRONISŁAW BIELAN





Bronisław Bielan
GDY PRZYSZŁA MAGDA

Stanąłem przy oknie. Przed schroniskiem na drodze stala ciężarówka. Kierowca włączył silnik. Potem otworzył drzwiczki i wymachując rękami krzyczał. Usłyszałem głos szefa: — Was? — szofer ryknął: Schnell! Schnell!

Szef taszczył dwie duże walizy. Kierowca szybko je odebrał i skinął ręką na pożegnanie.

Ciężarówka ruszyła. Zapamiętałem jej numer rejestracyjny. Może się przydać.



Z sieni dolatywał stukot kroków, ostry i szybki. Odwróciłem się. W drzwiach stał mężczyzna koło trzydziestki. Chuderlawy, o zwisających policzkach i wklęslych oczach. Był to nauczyciel Starek, niezrównany plotkarz.

Strzelił na szelkach i uśmiechnął się dwuznacznie.

— To mi spotkanko, haaa. Jak zdrówko koleżki?

— Obleci — bąknąłem.

— To może piwcio — zatoczył ręką koło, rozglądając się za gospodarzem.

Milczałem.

— Psie życie, co? Koleżka przyszedł zapomnieć. . .

— Czego zapomnieć?

— Niech koleżka nie udaje — wsunął w usta papierosa.

Usiadłem pod oknem. On też. Zapalił.

— Koleżka trochę zaiwanił. . .

— Ja?

— Może akurat nie koleżka — pytlował dalej językiem. — Ogólny bałaganik, wiadomo. Dziwki, majteczki na strychu. Fajna ferajna, co?

— Zamknij się!

— Kantorowa napisała już tam, gdzie trzeba — ciągnął Starek. Zauważyłem czerwone żyłki w jego oczach. — O libacjach w waszej szkole. . . itede. To ci heca, co?

Jego słowa były jak kamienie. Podświadomie zaciskałem pięści. Czułem pot na czole. Teraz go uderzę — postanowiłem.

Wszedł kierownik schroniska. Koniec krawata wywstał mu na marynarkę. Węzeł był duży, niezgrabny. Twarz miał lodowatą, odpychającą.

— Co? — zapytał spoza szynkwasu.

— Dwa piwcia — rozległ się ostry głos Starka — Z kołnierzykiem.

— Tylko jedno — sprostowałem.

— Gardzi koleżka?

— Tylko jedno, szefie — powtórzyłem.

— Słyszę — szef spojrzał na mnie zimno.

FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER

— Ludziom nie można prawdy powiedzieć — mówił jakby do siebie Starek — Oburzają się, obrażają. Ja wiem, prawda boli — zapatrzył się w smugę dymu — Bardzo boli, prawda, koleżko?

— Teraz musisz go uderzyć. Będziesz gorszy od niego. — Więc mam się tłumaczyć, że było tak, a nie inaczej. . .

— To znaczy, że bardziej niż myślałem — łyknął piwa i odstawił kufel — Ma się koleżka żenić, słyszałem. . .

— Przestań pieprzyć, bo. . .

— Ożenek dobrze robi na gorące głowy.

Wiedziałem, że dłużej nie wytrzymam. Zerwałem się. W mig byłem w pokoju, spakować rzeczy. Uiściłem rachunek, w kuchni oddałem klucz. Pożegnałem się skininiem głowy, nie reagując na zdziwione twarze personelu. Dopiero kiedy znalazłem się na drodze, odetchnąłem. Ale tylko na chwilę, gdyż myśli wracały ze zdwojoną siłą.

— Zrobiłem błąd, miałem go uderzyć. — Co byś przez to osiągnął? — Byłbym zwycięzcą. Teraz jest na odwrót. Utwierdził się, że on ma rację. — Nie można wszystkiego załatwić pięściami. Starka nikt już nie traktuje serio. — Powiedzmy. To znaczy, że zrobiłem dobrze, że jestem pozytywnym tchórzem. — Nie przejmuj się, wszystko dobrze się ułoży. . .

Biegiem. Coraz szybciej. Potykałem się na kamieniach, które z trzaskiem toczyły się za mną. Zdawało mi się, że ścigają mnie wszyscy nieprzyjaciele. Czułem, jak ich spojrzenia skupiają mi się na plecach. Słyszałem ich kroki, było ich coraz więcej.

Przyspieszyłem. Stanąłem dopiero na łące. Rzuciłem teczkę na trawę. Odwróciłem się. Nie było nikogo. Odetchnąłem. Potem zaśmiałem się, nasłuchując echa.

Otarłem chustką czoło. Usiadłem zapatrzony w fiolet łąki.



Matka dolała mi bulionu.

— Gdzie ty się szwendasz, synku? — zapytała.

Była bardzo zmęczona. Przyszła przed chwilą z pracy.

— Już trzeci dzień czekam na ciebie — dodała.

— Pałętałem się trochę po górach.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Co zamierzasz? — zabrała talerz.

— Chciałbym trochę popracować fizycznie. To najlepszy relaks. Pono budują tu nową oborę.

— Tak.

— Dobrze idzie?

— Gdzie tam! Mało rąk do pracy.

— Pójdę im pomóc — rzekłem bez namysłu.

Matka nic nie odpowiedziała. Myślała o czymś.

— Mamo — zacząłem niepewnie.

— Co?

— Ja już nie wrócę do szkoły — postawiłem wszystko na jedną kartę.

— Mój boże! Zwolnili cię! Coś ty zrobił, synku?

— Nic.

Usiadła. Wyjaśniłem jej całą prawdę, nie pomijając fam, które krążą wokół naszej placówki. Przytoczyłem pokrótce spotkanie ze Starkiem. Operowałem faktem nadmiaru kadr nauczycielskich oraz nerwowym wyczerpaniem.

— Każdy ma prawo do życia, nie? — zakończyłem monolog.
— Chory jesteś, Józek — powiedziała matka z troską w głosie — Napijesz się kawy?
Skinąłem głową.
— Żebyś nie żartował, kiedy będzie za późno — mówiła krzątają się koło pieca — Pomyśl tylko, ile się naharowałam, kiedy studiowałeś.
— Wiem, mamo, to są bardzo trudne sprawy i nie mniej trudne decyzje.
— Powiedz, Józek — sama zmieniła temat — czy ci nie żal?
Postawiła przede mną wrzącą wodę. Wsypała łyżeczkę marago, wchłaniając aromat.
— Czego, mamusiu?
— Szkoły — łzy zaświeciły się jej w oczach — dzieci?
— Tak, dzieci mi żal, bardzo — siliłem się na równy ton — Wspaniała kawa. Dlaczego nie pijesz?
— Nie mogłabym zasnąć.
Po chwili obruszyła się: — Co ty, placzesz?
Przytuliła moją głowę, wichrzyła mi włosy. Mówiła łkając: — Nie płacz, znowu będzie dobrze, zobaczysz. Będziemy teraz razem. Zawsze tego pragnęłam. Ożenisz się i. . .
— Nie gniewasz się? — patrzyłem, jak łzy rozpływają się na obrusie.
— Skądże. Żadna praca nie hańbi, synku. A gdyby było ci źle, to powrócisz. I zaczniesz od nowa. . .
Chciałem powiedzieć „nigdy". Wiedziałem, jak ważne w tej chwili jest to słowo. Nie potrafiłem. Uwiązło w gardle. Rzuciłem się matce na szyję. Ściskałem ją i całowałem przez łzy. Potem ciągnąłem do swojego pokoju. Usiadła na łóżku.
— Posłuchaj — powiedziałem, siadając do pianina — To nie będzie jazz.
Uśmiech skrzywił na moment jej twarz.
Grałem tango. Pianissimo. Ledwo dotykałem klawiszów. Chciałem zawrzeć w nim smutek i radość pożegnania jednego świata. I ból, wielki ból przemijania.
Spojrzałem na matkę. Wyczytałem to samo w jej oczach. Przestałem grać, czekałem.
Długo milczała, jakby szukała odpowiednich słów.
— Zagraj jeszcze raz — szepnęła, nie poruszając prawie wargami.
Gdy zacząłem grać, patrzała, jak moje długie palce sygnują klawiaturę ciszy.



— Idzie ci coraz lepiej — mruknął Roman, zaciągając się dymem.
— Eee tam. . .
— Jak babcię kocham. Najgorzej teraz przy gruntach. Potem już jakoś zleci.
— Tak uważasz? — zagadnąłem, nie przerywając pracy.
— Znam to. Nie takie drapacze już wznosiłem.
— Nie zwalił się żaden?
— Raz. Szkoła. Taaaka, mówię ci. Była już pod dachem. I nagle siup. . .
— Pacnęła jak kasztan w liście.
— Haaa. W nocy, wyobraź sobie. Całe lewe skrzydło.
— I co?

— Frajda. Jeździli eksperci, bezpieka, badali, brali próbki. W końcu przymknęli kierownika budowy.
— Defraudacja? — odsapnąłem na chwilę.
— Nie. To znaczy tak. Beton był kruchy jak piernik, bo cement szedł na lewo. Jak babcię kocham. Odpocznij trochę. Masz, zapal.
— Dziękuję. A co z kierownikiem?
— Posiedział trochę, coś zapłacił. Znasz te sprawy...
— Awansowałeś potem, nie?
— Coś ty! Wolę być majstrem.
— A ja wolę kopać.
— To zostań na stałe, Józek.
— Może i zostanę.
Cwaniak z ciebie. Stawiam dzisiaj pół metra...
— Zaczekaj lepiej do końca sierpnia.
— Jak chcesz...
— Czuję igiełki w ciele.
— No tak, czwarty dzień, kryzys. To każdy przechodzi. Dosyć masz tego na dzisiaj.
— Nie, jeszcze metr.
— Na mnie już czas. To do jutra.
Odrzucił niedopałek i szedł na przełaj na drogę. Lubiłem go. Był młody, energiczny, sypał dowcipami. Prawie z każdym był na ty. Chodził często do mnie na papierosa.
Odłożyłem łopatę. Rozprostowałem kości. Drobne igiełki kłuły coraz mocniej. Odcisków na rękach przybywało. — Nie zrobię całego metra — pomyślałem. — Cholerne igiełki. Auuu...



Zaczął mżyć drobny deszcz. Po nasypie szedł pośpiewując Raczek. Jego rozlana twarz z daleka budziła odrazę. Miał krótkie nogi i jakby wbite w ziemię. Parabola brzucha powiększała się z każdym dniem i była tematem licznych żartów. Raczek sierdził się wtedy i klął, na czym świat stoi. Nikt jednak na to nie zwracał uwagi.
Czasem był kąśliwy jak osa. Na przykład przedwczoraj. Tak się złożyło, że nie dostał w sklepie kiełbasy. Brakło po prostu. Najpierw zrobił scenę sprzedawcy, potem nam. To znaczy mnie. Zapamiętałem każde jego słowo. Mówił, wymachując rękami: — Profesorku, ty będziesz wiedział, dlaczego Raczek nie otrzymał kiełbasy. Ty musisz wiedzieć. Jesteś komunistą, nie?
— Moja rzecz — burknąłem.
— Jak Raczek pyta, to masz odpowiadać.
Milczałem.
— Pożal się boże z taką gospodarką. Mięsa nie ma, kiełbasy nie ma. Co ma człowiek żreć? To gdzie masz ten socjalizm, gdzie?
— Ty go masz w brzuchu zamiast tu — dotknąłem palcem czoła.
Skoczył jak rażony prądem.
— A tę oborę to po co budujemy? — atakowałem — No, po co? Nie odpowiedział, tylko idąc na swój odcinek wymachiwał dalej rękami.
— A teraz? Diabli go tu niosą. Całe szczęście, że pracuje po drugiej stronie... Auuu!
Chwyciłem kilof i zacząłem kopać, obserwując zbliżającego się Raczka. Ktoś krzvknął: — Tato, tato!

Spojrzałem w kierunku baraku. Opodal stała złotowłosa dziewczyna z długimi warkoczami. Trzymała w ręku bańkę.

Raczek odwrócił się, zachichotał i ruszył w stronę córki, a potem zniknął w baraku.

Spojrzałem na niebo. Było zasłonięte chmurami. Zbocza gór przysłaniała cienka mgła.

Wyrzucałem łopatą ił. W uszach dźwięczał mi stałe suchy, matowy chichot Raczka. Gdzie ja słyszałem podobny głos, gdzie? I nagle błysnęła mi myśl, że identycznym tonem mówił kierownik schroniska („Was? Schnell! Schnell!").

Pomyślałem teraz o raporcie złożonym przed kilku dniami w komendzie powiatowej KBP. Młody porucznik przyjął mnie bardzo serdecznie, skrzętnie notował moje wypowiedzi, po czym rzekł lapidarnie: — Postaramy się temu zapobiec. Dodał jeszcze, że w ostatnim czasie nie tylko lekarze próbują nielegalnie opuścić nasz kraj, uważając socjalizm za przegrany. Czynią tak również kombinatorzy innych profesji. Nabijają kabzę i przy pierwszej okazji dezertują.



Chwyciłem znowu kilof. Z tyłu, od drogi, dobiegały głosy. Odwróciłem się i omal nie upuściłem narzędzia pracy. W głowie zaczęły eksplodować myśli. Józek! — udzielałem sobie reprymendy. — Stoisz jakbyś kij połknął. Rusz się, do diabła. . .

Wdrapałem się na nasyp.

— Magda! — krzyknąłem — Magda!

Biegłem przez ściernisko, raniąc stopy. Gdy stanąłem przed nią, miała wypieki na twarzy.

— Magda — wyszeptałem, ściskając mocno jej rękę. Dwaj faceci stojący obok patrzyli na mnie spode łba.

W kilku sekundach przemknęły mi w głowie dzieje naszej przyjaźni i dość nieoczekiwanej rozłąki. Teraz wiedziałem z całą pewnością, że ją kocham.

— Co tu robisz? — patrzyła w ziemię, jakby tam szukała odpowiedzi.

— Pracuję, widzisz — odrzekłem. — Można tu żyć. Jest czyste powietrze, las, spokój.

— Idźcie już, dopędzę was — zwróciła się przez ramię do chłopców — Tylko pogadam z profesorem.

To zrobiło wrażenie. Facet o zielonawej twarzy trącił kolegę: — Chodźmy. — Do Magdy: — Zaczekamy cię na pasiekach, tam — wskazał ręką.

Patrzyłem, jak brnęli powoli pod górę.

— Pracujesz tu ochotniczo? — podniosła niepewnie głowę.

— Tak, bo mam ochotę.

— W czasie wakacji tylko?

— Może nie tylko — postanowiłem niczego nie ukrywać.

— Żartujesz — spojrzała przenikliwie.

— Nie. Kilof to dla mnie najlepsze sanatorium.

— Słuchaj, Józek. Powiem ci możne nowinę — Magda była coraz bardziej poważna.

— Słucham.

— Wczoraj bezpieka zaaresztowała kilkuosobową grupę gagatków — mówiła szybko — Chcieli czmychnąć na Zachód. Był w tej szajce jakiś nauczyciel i kierownik schroniska. Nie zapamiętałam nazwiska. Nakryli

ich w nocy — odetchnęła chwilę — Czego tak patrzysz na mnie? Nie wierzysz mi?

Nie słyszałem jej dalszych słów. Zagłuszył je szelest ścierniska. W połowie drogi odwróciłem się. Biegła za mną.

Zeskoczyłem do rowu. Porwałem kilof. Waliłem mocno w rozmokłą ziemię. Kamienie zgrzytały sypiąc ze złości iskrami. W rytmie kilofa słyszałem słowa dziewczyny.

Magda usiadła na nasypie, myszkując w chlebaku. Od czasu do czasu zerkała na mnie, kręcąc głową z niedowierzaniem.

— Dlaczego nie idzie za nimi? Dlaczego tu siedzi? — biłem się z myślami — Źle ci z nią? Teraz, kiedy wygrałeś...

Nie czułem bólu ani zmęczenia. Z każdym uderzeniem byłem silniejszy, nie do pokonania.

— No, dochodzą do pasiek — zauważyłem.

Gdy skończyłem, Magda wstała.

— Nareszcie — uśmiechnęła się.

Oddałem sprzęt do baraku. Spojrzałem w górę na dwa czarne punkty.

Magda szybko opuściła głowę.

Dotknąłem ręką jej ramienia:

— Gniewasz się? Ja tylko tak...

Podniosła czoło.

— Musisz mnie ukarać.

— Za co? Siadaj tu, na deskę — powiedziałem.

— Co my teraz zrobimy? — zapytała patrząc przed siebie.

— Pójdziesz do mnie.

—A potem?

— Zobaczymy.

— Przyrzeknij, że wrócisz do szkoły — spojrzała błagalnie.

Nie odpowiedziałem.

Dopiero po chwili uśmiechnąłem się znacząco.

— Teraz już dobrze — szepnęła — Tak jak dawniej.

Następnie wsunęła mi rękę pod ramię. Schodziliśmy powoli w dół. Pod rozległym, cichym niebem lipca.

Andrzej Brożek

LIST Z KALIFORNII DO CIESZYNA

Na przełomie XIX i XX wieku Śląsk Cieszyński w coraz większym stopniu wciągany był w wir emigracji do Ameryki. Pamiętam sprzed 30 lat rozmowę z istebniańskim góralem, który opowiadał, jak pracował w amerykańskich kopalniach (dziwne wydawały mi się te sztolnie biegnące w głąb góry), opowiadał, jak wrócił w swe rodzinne gronie i jak oszczędności jego emigranckiej tułaczki rozpłynęły się po I wojnie światowej w inflacyjnych bezwartościowych banknotach. Byłem wówczas studentem odległym od zainteresowań wychodźstwem, które miało później stać się moją nie tylko zawodową pasją. Rozmiary tego ruchu uświadomiłem sobie znów ostatnio, gdy młodego stypendystę amerykańskiego, Stanleya Cubę z Nowego Jorku, wprowadzałem na tropy tych wędrówek w Cieszynie i Brennej, gdy w Krakowie nie krył on swego zadowolenia z obfitości materiału, jaki znalazł w Cieszyńskiem do swojej pracy doktorskiej o Polakach w Kolorado.

Lata sprzed I wojny wspominał niedawno temu w rozmowie ze mną mój wujek — starszy brat mojego ojca, Franciszek, w Jabłonkowie: ogarnięci gorączką emigracyjną ludzie pisali lub kazali pisać w sprawie szyfkart do Misslera w Bremie. Tak jest: do Misslera. Agentura F. Misslera interesowała mnie już wcześniej, gdy przedzierając się przez gąszcz bremeńskich archiwaliów i chodząc uliczkami miasta nad ujściem Wesery (także tam, gdzie wówczas w początkach naszego stulecia biegła Bahnhofstrasse), myślałem również o własnych krewniakach z Karwiny, dla których Brema była punktem wyjścia ich emigracji do Ameryki. Cztery siostry mojej babki — trzy z nich wraz z rodzinami — wyemigrowały wówczas w 1906 r. z górniczej Karwiny do kopalnianych osad stanu Kolorado, w centrum USA: Karolina Janko (1873 — 1941), starsza od niej Marianna Brzuchańska (1871 — 1958) i młodsza Henrietta Lexa (1876 — 1951) oraz Filomena Iwan (1878 — 1934). Osiedlili się w Engleville, wokół kopalń Colorado Fuel and Iron Company, należącej do znanej nowojorskiej rodziny Johna W. Rockefellera. Normalna emigrancka niedola stała się ich udziałem. Właściwie to chcieli i wracać. Wujek Franta z Jabłonkowa wspomina, jak jedna z ciotek z Kolorado prosiła moją babkę, by listownie odradziła szwagrom powrót na Śląsk i uchroniła ich rodziny od gehenny ponownej podróży przez Ocean. Poszedł list z Karwiny do Engleville: na Śląsku taka bieda, że *na kwaretkę nie styko.* Argument przekonujący. Pozostali na emigranckim chlebie.

Potem przyszła wojna. Kontakty korespondencyjne rwały się, ale udało się je po wojnie nawiązać. Trwają zresztą do dziś. Spośród ciekawego plonu listów zza Wielkiej Wody chciałbym wydobyć tu po 60 latach list pisany 2 marca 1922 r. do mojego ojca, Karola w Cieszynie, przez jego ciotkę, Karolinę Janko z Holtville, w Kalifornii, nad granicą meksykańską, dokąd przeniosła się część rodziny. Tej prostej, wywodzącej się z osiadłej z dziada-pradziada rodziny karwińskiej, kobiecie przez myśl nie przeszło, by list jej mógł interesować kogoś więcej, aniżeli siostrzeńca Karola i może jego rodzeństwo. Nie zdawała sobie ani sprawy z tego, że taki list można drukować. A przecież dziś — gdy mija 60 lat od tamtego marca — zdajemy

sobie sprawę z tego, że mamy przed sobą ciekawy, pełen głęboko trafnych spostrzeżeń autentyczny dokument doli emigrantów z Cieszyńskiego na amerykańskiej półkuli. I właśnie jako źródło potraktowałem cytowane niżej fragmenty, porządkując w sposób dopuszczalny w publikacjach źródłowych ortografię i interpunkcję, choć wtedy, gdy nieporadności ciotczynej pisowni wyraźnie odzwierciedlały gwarę, nie ingerowałem.

„Miłe dzieci i nejbliższe przijaciele,

Serdecznie was, miłe dzieci pozdrawiamy i życzymy Wom jak nejlepszego zdrowia i powodzenia. Co się tyczy nas toch my są dzięki Panu Bogu wszyscy zdrowi. Powodzenie nasze nie jest moc dobre, bo już przeszło 1 rok jak nom bardzo słabo idzie".

W tym ostatnim zdaniu odzwierciedla się fakt, że wielka koniunktura okresu wojennego przetrwała tylko do połowy 1920 r., od którego to czasu począł spadać popyt na towary i obniżyły się ceny. List pisany był bez mała w rok po objęciu prezydentury USA przez Warren G. Hardinga, a już w chwili objęcia tego urzędu kryzys był w pełni: ograniczeniu uległa produkcja, liczba bezrobotnych wzrosła do blisko 5 milionów osób.

Rodzina Janko przeniosła się z Kolorado do Kalifornii. Jako jedna z pierwszych wyjechała dalej na zachód rówieśnica mojego ojca, Betka. Gdy odwiedziła ją w Kalifornii matka — nie chciała wracać do kontynentalnego Kolorado: tam, w Kalifornii, pozbyła się wreszcie reumatycznych bóli, które ją tak trapiły od wielu lat. Powróciły raz jeden jedyny — jak opowiadała nam ciotka Betka — gdy w niemym kinie pojawiła się na ekranie mroźna zimowa sceneria. I wtedy już za żadną cenę nie chciała wracać do Kolorado...

Osiedliwszy się tedy w Kalifornii, próbowali Jankowie szczęścia w gastronomicznym interesie.

„My kupili te kawiarnie moc drogo, bo wtenczas było wszycko w nejwiększej cynie, a za trzi miesiące już wszycko spadło w doł i teraz nie mogemy to sprzedać i nie idzie nom to odeiść i muszemy tu być i czakać jeżeli kiedyś se to jeszcze naprawi. Ten dom to nie jest nasz. Płacemy 65 dolarów na miesiąc. Jen ty groty i naczenie jest nasze i zapłacilimy za ty groty 25sto. Jak my to kupili to było wszyckich do roboty 12 i płaciło się moc kucharzowi jednemu 6 dolarów na 10 godzin i kust, drugiemu 5 [dolarów] na 10 godzin, dziewuchom 7 godzin robiły to se im tydniowo płaciło 17 dolarów. Tak szło dobrze..."

Tymczasem w 1922 r. „jen robi ujek i mąż Betczyn [zięć Thomas McGrath, urodzony w 1902 r. — zmarł w 1968 r.] i Betka i ciotka Filomena i jo też coś pomoże... Jozef [urodzony w 1899 r. syn] jest w Kolorado, robi za kowboja, to jen jeździ na koniu i bydło zganio z tych gor do gromady. A ty konie co se w gorach chowają to uczy raitować, to jest jego ulubiono robota. A Francik [młodszy syn urodzony w 1902] ten robi w San Diego gdziesik w resterant ale bardzo mało pisze". Francik zmarł zresztą w San Pedro w Kalifornii w 1925 r. „Dyżby szło dobrze — kontynuuje ciotka Karolina — to by byli w domu i pracowaliby z nami ale na taki czasy to nie mogą tu stoć bo nie idzie se opłacać..."

Pisze też ciotka o pozostałych siostrach matki mojego ojca — o Mariannie Brzuchańskiej i Henrietcie Lexa w Kolorado:

„Z ciotką Marianną ani z Jetką nie wiem, czy se kie zbierymy, bo trzeba ku nim pociągem jechać dwa dni i dwie noce i podróż by kosztowała jednego 120 dolarów. Tak to nie idzie naszczywić jedna drugom. Chociaż my są wszycki w Ameryce to se widzieć nie mogemy. Już są trzi lata jak ech my ostatni roz se widziały. Teraz kopalnie węglowe bardzo słabo robią — jeden albo dwa dni tygodniowo, to już nie mogą życio zrobić i nie wiem jak to dali bydzie. Ciotka Lexino mo dużo role i ziem moc urodzajno, jen mrozy przidą i w lipcu czasym. Choć uroda piekno przidzie mroz i zniszczy wszycko. I tak daleko od miasta dy chce co sprzedać to musi cały dzień końmi jechać. To dwa dni czasu weźnie niż co sprzedo. A zimową porą nigdzi nie zajedzie, bo są wielkie gory i śnieg spadnie i cesty se stracom a pociągi tam nie jadą..."

Sporo miejsca w cytowanym liście zaj-

mują opisy krajobrazu i klimatu Kalifornii.

„Czasy tu momy dycki bardzo ładne, tylko trzi miesiące straszne upały co sie zdaje każdą chwile, że już padnie i więcej nie stanie. Wiatru nie ma żodnego ni we dnie ni w nocy, że nima czym oddychnyć. Lecz to jest jen trzi miesiące. Ponieważ my są kilkadziesiąt metrów niży niż morze a dookoła my są obtoczoni gorami a za gorami jest morze i miasta i pola tak piękne, że to nie może człowiek opisać ani to nie może wierzić ten który to nie widział" — pisze o rzeczywiście bajecznym krajobrazie wybrzeży Południowej Kalifornii, dokąd zresztą rodzina miała się przenieść, by osiąść w San Pedro, w pobliżu Los Angeles. Od brzegów Pacyfiku dzielił ich na razie łańcuch Laguna Mountains. „Jen gory co ich muszemy przejechać są straszne, skały gołe bez trowki, bez stromka, bez wody. Mówi se na nie umarle gory. To se jedzie tu stela 4 godziny na automobilu przez ty gory. Tutaj jest między tymi gorami wielko rownina, nie znajdzie kamyka w roli tak rowno jakby stoł".

A dalej znów powraca do opisu klimatu.

„Deszcza tu wcale nie mamy. Jeżeli popadze to je we styczniu dwa albo trzi razy a to wszycko. Tu wszycy rolnicy muszą ze rzyki wodą role zapuszczać i płacom za nie dużo. Rośnie tu wszycko i prędko. Tu są pierwsze wszycki urody o 3 miesiące rychli jak gdzie indzi. Sałata ta już we styczniu była wysłano do innych szte-tów (stanów — AB), owocowe drzewa już bydą okwitłe w tych dniach. Na Boże Narodzenie to tak róże i inne kwiaty były okwitłe, że to aż radość było patrzeć. Jen po Nowem Roku prziszły mrozy ale nie tak silne moc, ale jednak obmarzło wszycko i owoce moc uszkodziło, podmorancze i cytrony. Tu nie jest tak ładnie jak tam za gorami, bo tu jen są rolnicy, żodnego innego przemysła tu nie ma, jen mleczarnie co masło wyrobiają, bo tu dużo krowami jen se trudniom. A wata (bawełna — AB) tu bardzo dobrze se rodzi, ale że moc nisko spadła w doł, tak już dwa roki se nią nie zaimają bo ani robotnicy se nie zapłacą. Jak tak spadła to ani nie obierali jen jak wszycko uschło to zapolili i wszycko zgorało i że wata moc spadła tak tu se bieda zrobiła wielko..."

Nie brak oczywiście refleksji na temat śląskich wychodźców w Nowym Świecie.

„Naszych ludzi tu wcale nie ma, tylko my same Poloki. I wierzaj mi, że to jest moc smutno żyć tak som. Dzieciom to nie jest smutno, bo one są jakby we własnym kraju" — zauważa ciotka, sygnalizując to, co właśnie wówczas o drugim pokoleniu imigrantów polskich napisali w swym znakomitym, klasycznym dziś dziele „Chłop polski w Europie i Ameryce" Amerykanin William I. Thomas i Polak Florian Znaniecki (1918—1920). Co prawda, to i dla dzieci pierwsze chwile były gorzkie. Opowiadała jedna z córek ciotki Karoliny — Betka — jak przytłoczony obcojęzycznym otoczeniem w pierwszych dniach pobytu jej młodszy kilkuletni braciszek dokonał radosnego odkrycia, że... kotek miauczy po polsku. Teraz jeszcze w liście wspominała wiosną 1980 r., że całymi dniami płakali. Niemniej jednak młodzi stosunkowo szybko wrastali w nowe środowisko. „Ale my starzi — konstatuje ciotka Karolina — jest źle bez swoich ludzi żyć. W San Diego było kilka rodzin polskich i tam w innych miastach jest dużo Poloków, jen tu w tem Imperial Valley tu naszych nie ma. Na wschodzie — pisze ciotka o wielkich skupiskach polonijnych w rejonie Chicago, Nowego Jorku, Pensylwanii — jest moc tysięcy Poloków i Szlonzoków, mają szkoły polski, kościoły i wszyndy polskim językiem se domowi, ale tu nic. Dy my mowiemy, to se każdy dziwo i pyto co momy za mowe. W Colorado było wiesielszy, bo tam było też dużo ze Szlonska rodzin i z Galicyje, to nam było weselszy, bo my często se zabrali. Ale nie chodzili my do żodnych zabaw, ani na żadne uciechy. Jednym słowem, że smutno se tu żyje, tela że jest co jeść i w czem chodzić i kan siedzieć i to tela momy".

Żali się jeszcze wcześniej ciotka Karolina:

„Wy se kształcicie i sami utrzimujecie ale nasze synki tego nie chcą. Tu są szkoły zdarma jak niższe tak i wyższe, ale nie

chcieli iść do wyższej szkoły, chociaż mieli bardzo dobre pojęcie".

I w zakończeniu raz jeszcze odezwie się ta sama nuta:

„Poszlę Ci, Karolu, dlo Rudolfa pore dolarow choć co mało wiela Ci pomogę, bo wiem że ciężko Wom jest utrzimywać szkołę". Młodszy brat ojca, Rudolf (1901—1950), zdobywał wówczas przygotowanie do pracy w górnictwie, korzystając także z familijnej pomocy. „Rudek już ma wprawdzie posadę i zarabia — pisał najmłodszy brat Ludwik do mojego ojca w 1926 r. (list ten publikowałem w tomiku *Między Cieszynem a Krakowem, Młodzieńcza korespondencja Ludwika Brożka do brata Karola*, wydanym w Opolu w 1979 r.) — lecz mając długi dosyć spore z czasów studenckich, musi je w regularnych ratach spłacać. Szczepanowi też jest winien kilkanaście setek i nie chce mu tego na razie spłacać, bo uważa, że przede wszystkim najpierw trzeba spłacić cudzych, a więc krawca Hoška, „Spółkę ludową" na Sowińcu itp..."

Również o swego starszego siostrzeńca, Szczepana (1893 — 1942), dopytuje się ciotka Karolina.

„Jeżeli kiedy bydziesz mieć na Szczepana adrese, prosze napisać mi, bo pisoł nam, lecz już odjeżdżać mioł. Rada bych was widzieć, ale to nie bydzie nigdy. Och, jak by se ojcowie wami cieszyli dyby żyli, takimi synami wykształconymi. Życzym wom, żeby se wom już inakszy tam powodziło bo nie mogymy se ani przedstawić co wy biedni eście przeszli" pisze, mając na myśli wszystkie te lata po sierpniu 1914 r. „Dziękuję Ci, Karolu, za fotografij i Twoj list i bądźcie z Panem Bogem, dzieci, wasze niezapomniale przijaciele, Ujek i Ciocia". I jeszcze dodała: „I nasze tym ale (?!) dzieci często im muszę opowiadać o was. Tak z Panem Bogem, Karola i Filomena, Paul" — ten ostatni to Ujek.

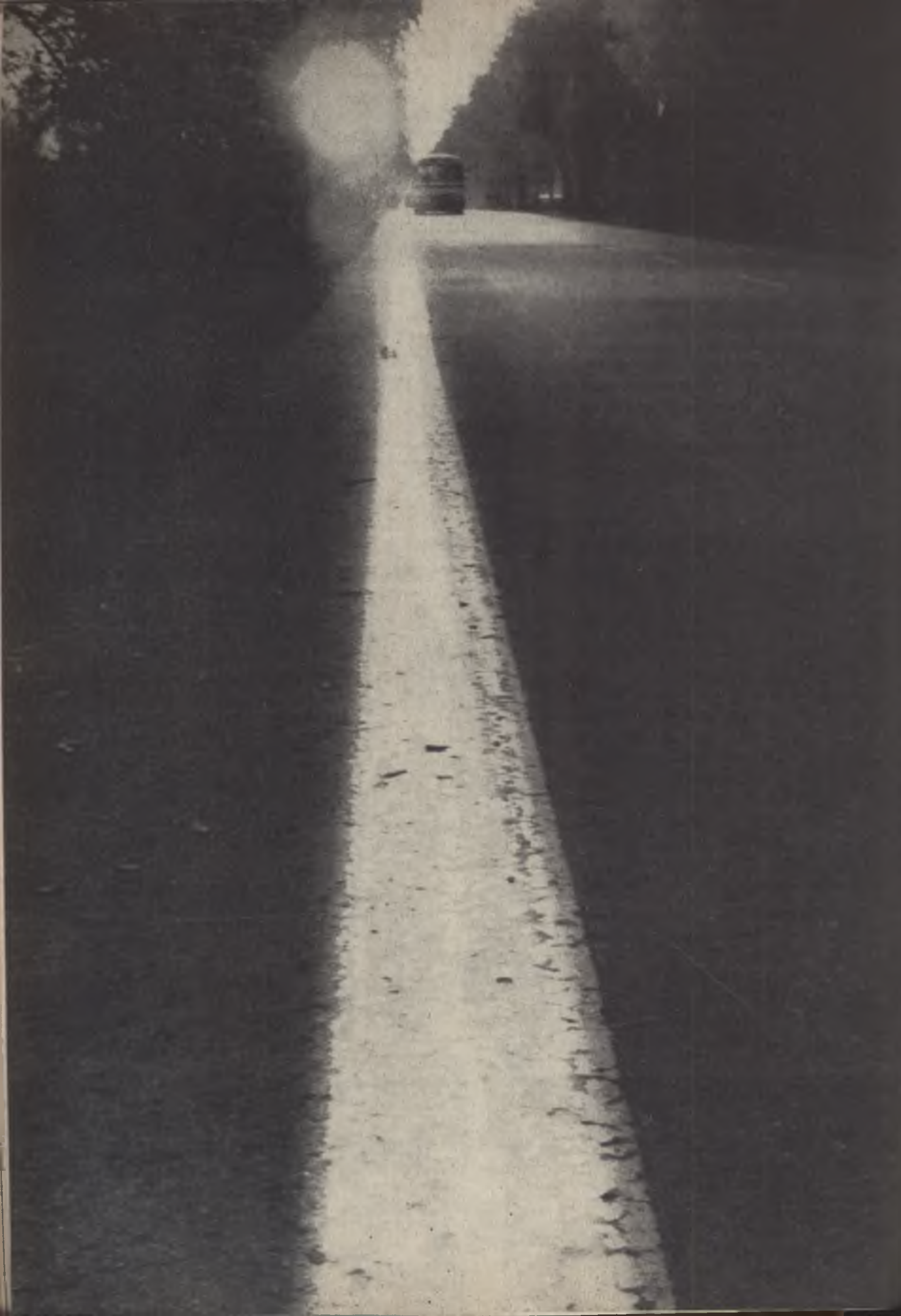
I tak toczyła się korespondencja między śląską i kalifornijską (i nie tylko kalifornijską) częścią rodziny. W końcu lat 40. zebrawszy w gimnazjum pierwsze okruchy nauki języka angielskiego, i ja włączyłem się do tej korespondencji. Pierwsze moje listy wywołały istną falę korespondencji ze strony kuzynów i kuzynek — moich amerykańskich rówieśników i rówieśniczek. Gdy upłynęły zielone lata, fala korespondencji zaczęła opadać, chociaż wciąż jeszcze raz po raz wymieniamy z niektórymi obszerne relacje o szczegółach losów rodziny po tej i tamtej stronie Oceanu. Myślę, że to, co w naszych rodzinach najbardziej leży nam na sercu, wiadome jest obydwu częściom familii, których drogi rozdzieliła przed ponad 70 laty emigracja. Otóż wśród moich korespondentów znalazła się wówczas niewiele młodsza ode mnie wnuczka ciotki Jankowej — też Karolina. Poznałem tę kuzynkę osobiście dopiero w grudniu 1972 r. w Kalifornii, a był to grudzień znów taki, „że to nie może człowiek opisać ani to nie może wieże rzić ten ktory to nie widział" — te róze i inne kwiaty (...) że aż radość było patrzeć".

„Jak się masz" — powitała mnie typowym polsko-amerykańskim zwrotem Karolina. Byłem zdumiony — nie zawaham się powiedzieć: Osłupiałem. Przez wszystkie te lata ani przez chwilę nie pomyślałem, że Karolina może mówić po polsku.

„Starka ze mną mówili po polsku" — usiłowała rozproszyć moje zdumienie Karolina. A starka — to autorka przedstawionego tu listu z Kalifornii do Cieszyna.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BALON





Bronisław Procner
STARY KIEROWCA

Z Gustawem warto było porozmawiać. Choćby na temat początków automobilizmu na Podbeskidziu. Pamiętał wiele i umiał to opowiedzieć. Sypał powiedzonkami albo wplatał fragmenty wierszy, które pamiętał jeszcze z ławy szkolnej. Był jednym z pierwszych kierowców, a także właścicieli taksówki na początku lat trzydziestych.

Autobusy firmy Mercedes-Benz były do górzystego terenu zaopatrzone w urządzenie nadzwyczaj przydatne. Kiedy motor ani rusz nie mógł poradzić sobie z jakimś wzniesieniem, kierowca przez otwór w podłodze wysuwał ostro zakończoną żelazną sztangę, podpierając wehikuł. Część pasażerów wysiadła, ukryte pod maską konie mechaniczne łapały drugi oddech i ochoczo ruszano dalej.

Taksówka marki „Tatra" była solidna, sześcioosobowa. Motor jak w czołgu — mawiał Gustaw — a z blachy karoserii „ho ho" jeszcze dziś dwie „škody" można byłoby zrobić!

— Kogo woziliście, Gustawie? — zapytałem raz przypuszczając, że w tamtych czasach o klientelę było raczej trudno.

Zagadnięty łyknął piwa.

— Ej, kierowniczku — kogo popadło. Panoczków ze sanatorki, końskich handlyrzy, szwercowników. Chętnych było kupa, jyny z płacynim to już gorzi...

I słuchałem opowieści o czasach, kiedy to pojawienie się samochodu na górskiej drodze było sensacją dla wiejskiej dzieciarni, a kursujący między Łomną i Jabłonkowem autobus miał osobną przegrodę dla przeznaczonych na sprzedaż owiec i gęsi.

Potem przyszła okupacja. Pojazdy mechaniczne zaopatrzono w dodatkowy kocioł, w którym pod ciśnieniem spalano bukowe klocki, uzupełniając metylem braki benzyny.

Mój rozmówca pogrzebał w pamięci. Kierowcy mieli niełatwe życie, tym bardziej, że w każdym spóźnieniu autobusu wszechwładne gestapo dopatrywało się sabotażu.

— Woziłem wtedy robotników z Istebnej do Jabłonkowa na dworzec — wspominał Gustaw — najgorzej było zimą. Autobus utykał w śniegu, motor nawalał i robotnicy często spóźniali się do pracy. Chyba za często, bo komuś zaczęło się to wydawać podejrzane...

Pewnego zimowego popołudnia na dworcu pojawił się jakiś typ w skórzanym płaszczu, pytając o mnie i o odjazd do Istebnej. Zapłacił, usiadł i raz po raz spoglądał na zegarek. Przypuszczałem, z kim mam ten honor.

Czując na plecach jego wzrok, aż do Bukowca jechałem dokładnie według rozkładu jazdy. W głowie układałem jednak pewien plan...

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Tuż za dzisiejszym urzędem celnym droga pnie się stromymi zakrętami w górę. Trzeba było rozpędzić autobus, włączyć drugi i zaraz pierwszy bieg. Jeśli zrobiło się to o parę sekund później, koła zaczęły się ślizgać i wehikuł nie pokonywał wzniesienia. Postanowiłem zademonstrować, że spóźnienia to nie moja wina, ale wina złej drogi, słabego motoru — to po prostu siła wyższa. Udało się.

Do szczytu wzniesienia pozostało jeszcze ze dwadzieścia metrów, kiedy koła zaczęły się ślizgać, choć motor wył na pełnych obrotach. Cofnąłem pojazd pod górkę i powtórzyłem manewr po raz drugi i trzeci. Bez skutku. Udając mocno zafrasowanego, zakomunikowałem podróżnym:

— Chłopi, jest źle! Za godzinę będzie zupełnie ciemno, a nam pozostają trzy wyjścia z sytuacji. Próbować sprowadzić jakiś inny pojazd zaopatrzony w linę, ruszyć piechotą do Istebnej, wysiąść i pchać grata pod górę, podsypując koła żużlem, który powinien znajdować się na kupie o sto metrów dalej. Ze względu na to, że ze wszystkich stron otacza nas las a w nim, licho wie, kto siedzi, proponuję wyjście ostatnie. Oto łopaty i brezentowa płachta do noszenia żużlu!

Zapadał zmrok. Mróz aż skrzypiał, jednak nikogo nie trzeba było zachęcać do pracy. Tajniak zdjął nawet skórzany płaszcz, bo aż para z niego buchała, jak zapamiętale sypał pod koła.

Kiedy z dużym spóźnieniem dotarliśmy wreszcie do celu, „anioł stróż" znikł jak kamfora i już się nie pokazał. Przenocował pono w urzędzie gminnym i cichaczem wrócił do Cieszyna.

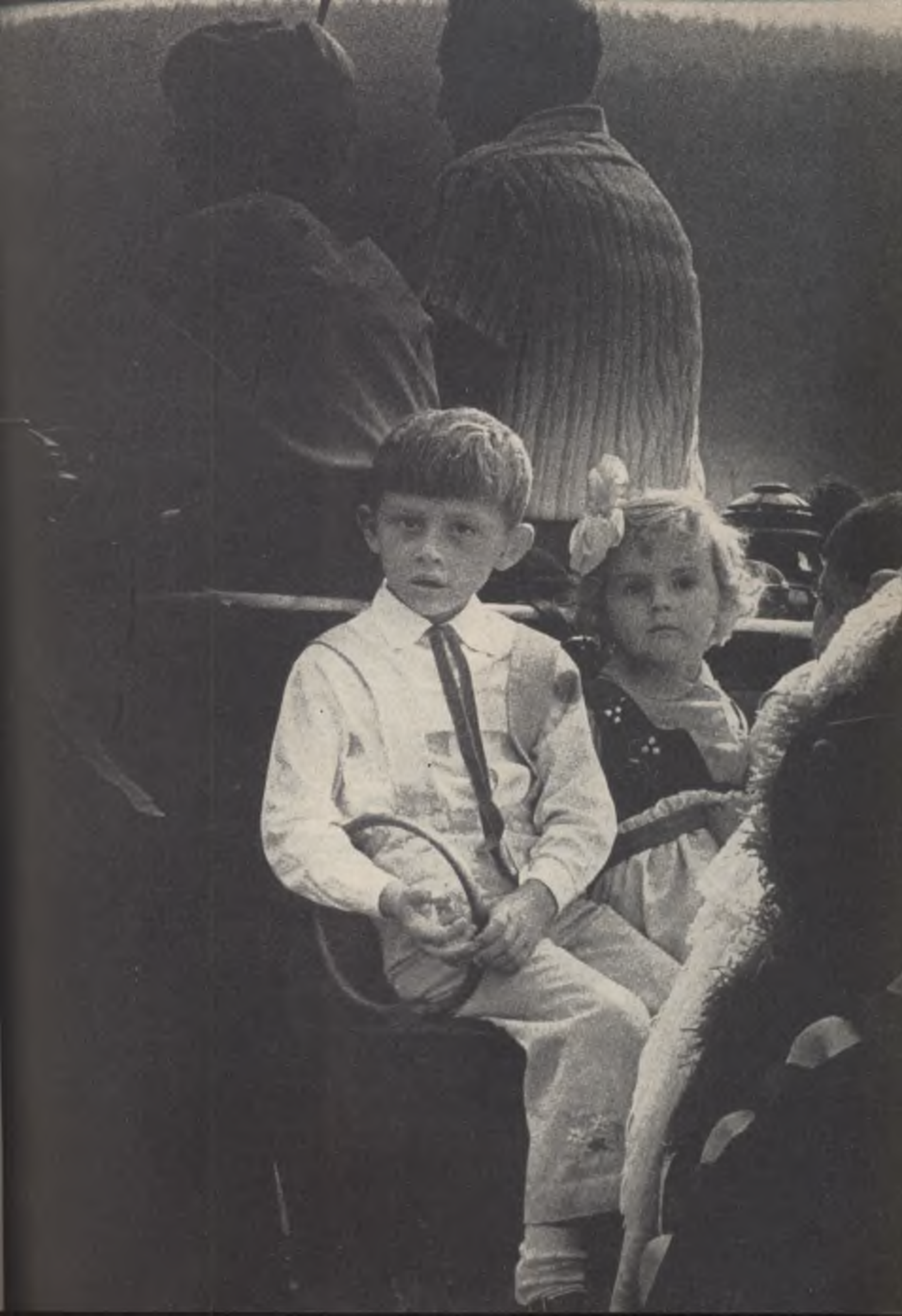
Stary Gustaw znów łyknął piwa, umilkł, lecz po chwili znów sobie coś przypomniał.

— A z partyzantami, kierowniczku, to były insze historie, ale o tym inszym razem...

Niestety. Innego razu już nie było. Po śmierci żony stary kierowca ciężko zachorował i w słoneczny wiosenny dzień ruszył w swój ostatni kurs. Bez biletów powrotnych.

Żegnaliśmy go na nawsiańskim cmentarzu, kiedy majowe słońce budziło do życia lasy na zboczach gór...

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON





Jerzy Oszelda
KONIEC ŚWIATA NA ULICY DŁUGIEJ

Wojna toczy się zawsze tak,
jakby ludzkość nie miała pojęcia,
co to sprawiedliwość.
Elias Canetti

Maria Wąsowska, mieszkająca w Dzięgielowie koło Cieszyna, ma już dzisiaj osiemdziesiąt trzy lata i radosną świadomość godnie przeżytego czasu. Wszystkie siły swojego umysłu i serca oddała idei ratowania ludzkiego życia i podtrzymywania jego słabiutkiego płomienia. Oddała się wspaniałej służbie pielęgniarstwa, o którym jego twórczyni, Florence Nightingale, powiedziała, że jest najpiękniejszą ze sztuk pięknych. Od momentu przejścia na emeryturę piastuje funkcję opiekuna społecznego, poświęcając się pracy nad trudnymi dziećmi. Swoją opieką otaczała również grupę ludzi głuchoniemych, zrzeszonych w bielsko-bialskim oddziale Polskiego Związku Głuchoniemych.

Przez kilka lat przebywała pani Wąsowska w warszawskim Domu Zasłużonego Pracownika Zdrowia, by powrócić ostatecznie do Cieszyna, a potem do Dzięgielowa, gdzie pomimo różnych trudności czuje się najlepiej, znajdując życzliwych sobie ludzi. Z rozrzewnieniem wspomina czasy, kiedy była uczestniczką spotkań i akcji Cieszyńskiego Klubu Propozycji...

Najboleśniejsze wspomnienia pani Marii wiążą się z okupacją hitlerowską, szczególnie zaś z piekłem Powstania Warszawskiego, kiedy to pełniła funkcję Komendantki Sanitarnej Drużyny 104, Kompanii majora „Skiby". Dramat, o którym opowie, rozegrał się 2 września 1944 roku przy ulicy Długiej nr 7, jedynym bodajże ocalałym budynku, gdzie w oficynie znajdował się Szpital Powstańców.

„Cała trzypiętrowa oficyna od piwnic aż do ostatniego kącika na korytarzach była zajęta przez rannych. Wielu leżało wprost na podłodze. Nie było wody ani światła. Brakowało medykamentów, środków opatrunkowych. Okazywanie jakiejkolwiek pomocy i opieki w nocy było niewykonalne z powodu panującej ciemności. I w dzień trzeba było dokonywać cudów, ażeby — balansując pomiędzy rannymi — nie potrącić lub nie zawadzić o zbolałe członki. Sanitarny stan rannych napawał grozą. Ciągłe naloty i płonące naokoło domy przerażały rannych, którzy zrywali w gorączce bandaże, wyrywając się wciąż do walki. Personel pielęgniarski, widząc swoją bezradność, tracił resztki nadziei wyzwolenia. Ręce opadały, w dusze zakradała się czarna, beznadziejna rozpacz. Noc z 1 na 2 września była koszmarna. Zajęcie szpitala przez Niemców było kwestią godzin. Chodziło jeszcze o rannych, znajdujących się w gruzach zburzonych domów i pod Halami na Świętokrzyskiej, pozbawionych całkowicie jakiejkolwiek pomocy. Serce drżało o chłopców i dziewczęta, gdyż znane już nam były bestialstwa dokonywane przez Niemców w Szpitalu Wolskim, Maltańskim i innych. Dnia 2 września o godzinie 10.00 Niemcy otoczyli szpital. Personelowi lekarskiemu i siostrom kazano wyjść na podwórze. Znajdowałam się na II piętrze z dwiema młodszymi siostrami. Nie były to siostry, lecz matki ofiarne, gotowe ostatnie siły, ostatnią kroplę krwi oddać dla swoich rannych.

„Siostro! Siostrzyczko! Siostro!" — rozbrzmiewały wołania rannych... Kazałam im wyjść. W ich pożółkłych od głodu, zmęczonych nieprzespanymi nocami, ale uduchowionych twarzach, w ich oczach przebijała rozpacz. Złożyły ręce jak do modlitwy i zacisnęły je. Tyle bólu było w tym odruchu bez słów. Wiedziałam, jak cięż-

FOTOGRAFIA: BOGDAN KRZYWOŃ

ko było im odejść. Wzięłam za ramiona jedną i drugą i lekko wypchnęłam za drzwi. Zostałam sama z chłopcami. Podeszłam do Zbyszka, 19-letniego chłopca, który majacząc przywoływał matkę. Wzięłam go za rękę, pogłaskałam po zroszonym zimnym potem czole...

Z podwórza słychać było brutalne okrzyki Niemców, wybuchy rzucanych w piwnice granatów, krzyki i jęki przerażonych rannych. Na sali zaległa cisza. Nagle usłyszałam zbliżający się po schodach tupot żołnierskich butów. Wyczuwało się, że tym, co jeszcze byli przytomni, serce przestało bić, zaparło oddech. Wtuliłam się w kąt przy posłaniu Zbyszka. Zdawało mi się, że wgniotłam się w mur i zamarłam w bezruchu. Tupot był tuż za drzwiami. Raptem drzwi pchnięte butem rozwarły się szeroko, zasłaniając mnie jedną połową. Z hałasem wbiegło pięciu żołnierzy w niemieckich mundurach. Usłyszeliśmy po polsku „wstać!“ Nie było takich na sali, którzy mogli ten rozkaz wykonać. Jeden z esesmanów przeszedł do końca sali, oglądając leżących na podłodze rannych. Zatrzymał się koło jednego, który wobec wielokrotnego upływu krwi przeżywał ostatnie chwile. Kopnął go, wyjął rewolwer i dwoma strzałami strzelił w otwarte usta. Wydawało mi się, że cała krew wypłynęła mi z żył, że zamiast mnie stoi wtulona w kąt bezduszna powłoka. Esesman przeszedł do następnego, również kopnął, ranny zajęczał. Również strzelił w twarz. Wówczas nie swoim, lecz raczej charczącym rykiem zwierzęcia stojącego wobec niechybnej śmierci krzyknęłam: „Um Gottes willen nicht erschlagen!“ Esesman odwrócił się w moją stronę, podskoczył do mnie i wbił we mnie nalane krwią oczy. Patrzyłam na niego — zdawało mi się — pozbawionymi gałek ocznych oczodołami, które paliły jak ogniem. Spojrzenie nasze mocowały się ze sobą siłą promieniowania. „Bist du eine Deutsche?“ — „Nein, ich bin eine Polin“ — wymówiłam stanowczo, lecz powoli wyschniętym gardłem i skołowaciałym językiem. „Raus! Heraus. Du verfluchte Banditin“. Schwycił mnie za kark i kopnąwszy w plecy wyrzucił na schody. W myślach zawirowało: Nie zabił... Dlaczego? I żal za chwilą, która mogłaby być końcem tej męki, ścisnął serce. Potoczyłam się po schodach, uderzając o poręcz, o ścianę. Nie czułam bólu, stoczyłam się po stopniach na pierwsze piętro... Ktoś mnie chwycił, ktoś prowadził... Obejrzałam się już na podwórku... Wszystkim, a więc i tym, którzy się mogli ledwo czołgać, kazano opuścić pomieszczenia szpitalne i ustawić się na podwórku. Nikogo już nie widziałam. Ktoś krzyczał, ktoś jęczał, ktoś kogoś popychał... Szłam przez podwórko ku bramie. Zawrócono mnie w prawo. Stanęłam koło muru. Siły opuszczały moje ciało, nerwy odmawiały posłuszeństwa. Z okien było słychać strzały seriami i pojedyncze. Krzyki, krzyki i jęki, które prześladują czasami jeszcze dotąd... Nagle jeden z esesmanów szarpnął mnie za ramię. Zobaczyłam obok siebie moje obydwie młodziutkie koleżanki. Kazał iść naprzód, popychając rozpylaczem. Wyprowadził na ulicę i kazał przejść na drugą stronę. Tam, w bramie zbombardowanego domu, leżał żołnierz w niemieckim mundurze. Okazało się, że był ranny. Koło niego stało kilku żołnierzy, też w mundurach niemieckich. Kazano nam się nim zaopiekować. Rany nie były ciężkie, należało je przemyć i zabandażować. Nie było czym. Żołnierze za chwilę przynieśli wszystko. Pod nastawionymi rozpylaczami robiłyśmy opatrunki temu, który zabijał naszych braci... „Uważaj! Jeżeli nie będzie żył, zabijemy was“ — powiedział łamaną polszczyzną. Ciężko jest w takim momencie pozostać na wysokości zadania samarytanki. Strzały w szpitalu stawały się coraz liczniejsze. Tymczasem przyniesiono nosze i kazano nam odnieść rannego o kilka domów dalej. Pozostawiono nas razem z nim i dwoma wartownikami. Mniej więcej po godzinie usłyszałyśmy seryjne strzały karabinów maszynowych, które nie mogły zagłuszyć przeraźliwych krzyków i jęków. Na nasze pytanie, co się tam dzieje, Niemiec najspokojniej odpowiedział po polsku: „Cóż myślicie, że się będziemy z bandytami bawić?“ — „Czemu nas nie zabijecie?“ — padły słowa młodej koleżanki, siostry Helenki. „I na was przyjdzie kolej“ — odpowiedział spokojnie. Po pewnym czasie zobaczyłyśmy słupy dymu, wydostające się z podwórza, gdzie jeszcze znaj-

dowałyśmy się przed paru chwilami. Mniej więcej o trzeciej godzinie przyszło kilku żołnierzy i zabrali rannego. Nas natomiast poprowadzili po gruzach w kierunku Wisły. Szłyśmy we trzy razem, a za nami kroczyło dwóch z rozpylaczami. Idąc w każdej sekundzie oczekiwałyśmy strzału w tył głowy. Jednak nie. Gdy wyszłyśmy na brzeg Wisły, dołączono nas do gromady ludności cywilnej. Starówka wyglądała jak rumowisko. Widok był tragiczny. Wzdłuż ulicy Długiej wydostawały się czarne słupy dymu. A myśmy żyły... Czy miał to być cud?... Czy dalsza droga krzyżowa? ... Na zapytanie jednego z konwojentów: „I co tam?“, drugi odpowiedział: „No cóż... oblali benzyną i spalili“. Taki był koniec naszych rannych powstańców ze Starówki na Długiej 7. Miejsce to nie powinno być przeoczone, zapomniane. Zostało uświęcone przelaną krwią męczeńską warszawskiego powstańca, gdzie żołnierz Armii Ludowej walczył ramię w ramię z żołnierzem Armii Krajowej o jedną sprawę wspólną i świętą. Obaj oddali życie — najwyższą cenę za wolność i niepodległość Ojczyzny — i legli w braterskiej mogile“.

Czytając to niezwykłe wspomnienie, aż trudno uwierzyć, że to „ludzie ludziom zgotowali ten los“. Zwierzenia te skłaniają do wielu refleksji, najgłębiej jednak jawi się doniosłość bohaterstwa, do jakiego zdolny jest człowiek w obliczu ostatecznej obrony najdroższych mu wartości. W ogniu wojny, wobec nieuchronności zdarzeń, paraliżującego strachu, potęgowanego przez atmosferę niesamowitości, ludzie wznosili się na szczyty człowieczeństwa, ale byli i tacy, którzy poddawali się okrutnej próbie, chcąc za wszelką cenę ocalić swoje życie. Ocena tych postaw zdaje się wykraczać poza granice ludzkiego pojmowania, a dana być może tylko tym, którzy przeżyli okrucieństwo wojny.

Takie jednostkowe akty niezwykłej odwagi i poświęcenia winny stanowić wartościowe wzorce wychowawcze dla wszystkich ludzi, szczególnie zaś dla młodych, którzy słowo wojna znają tylko ze słyszenia.

Jedni chodzą do kina, inni na film. Ci ostatni chodzą czasem sami.

(W. CHODZIKIEWICZ)

Ze wszystkich zwierząt jeden człowiek umie się śmiać, choć on właśnie ma najmniej powodów do tego.

(HEMINGWAY)

Jeśli kultury nie ma w sercach ludzi, to nigdzie indziej nie ma jej na pewno.

(GEORGE DUHAMEL)

Inteligencja — to, czego mężczyzna szuka w kobiecie, obejrzawszy uprzednio wszystkie inne.

(SALAMI KOŻERSKI)

Dlaczego miałabym się wstydzić rozebrać przed lekarzem? Przecież to taki sam mężczyzna jak każdy inny.

(BRIGITTE BARDOT)

Nie częstość lub gwałtowność uderzeń jest siłą, lecz celność.

(BALZAC)

Gdy cię demon hazardu porywa, to nie graj w pokera, nie graj w 66, nie graj w oko, lecz ostatecznie coś sentymentalnego na skrzypcach!

(ALOJZY KACZANOWSKI)

Nie mów o sobie. Nie ma nudniejszych ludzi niż pochlebcy.

(AGRYPIUS)



Jan Korzenny
ZWIĄZKI J. I. KRASZEWSKIEGO Z CZECHAMI

(W 170. ROCZNICĘ URODZIN)

Dzieje sławy Kraszewskiego jako powieściopisarza historycznego, twórcy nowożytnej powieści polskiej, rozpoczęły się od cyklu utworów zatytułowanych „Dzieje Polski" zapoczątkowanych STARĄ BAŚNIĄ (1876) i zakończonych SASKIMI OSTATKAMI (1889), które ukazały się już po śmierci pisarza. Ideą przewodnią historycznych dzieł Kraszewskiego miało być formowanie świadomości narodu pozbawionego wolności, wdrażanie młodemu pokoleniu dziejów ojczystych, niedostępnych w szkołach pod obcymi zaborami.

Dzieła jego miały rozbudować miłość do ojczystego języka, wskrzeszać wiarę w przyszłość narodu, patriotyzm być po prostu nauką historii Polski. Tworzył więc swe powieści z pewnej jednolitej koncepcji ideowej. Toteż nic dziwnego, że w wielu wypadkach atakowany był nie tylko ze strony ówczesnych władz, ale równocześnie i samych Polaków, którzy posądzali go o niewłaściwą interpretację przeszłości narodu (np. Kraszewski nie zgadzał się z założeniami ówczesnej historycznej szkoły krakowskiej z Józefem Szujskim na czele). Oto dla przykładu fragment anonima do Kraszewskiego, w którym autor zarzuca pisarzowi:

„... Powieści Twoje historyczne trzeba zamykać przed młodymi osobami. Z dziejów naszych pochwyciłeś same cienie, a szukałeś cieniów tam nawet, gdzie ich nie było. Wyjąwszy kilka pierwszych powieści, rzeczywiście znakomitych, przedstawiłeś szereg obrazów albo wstrętnych, albo nic nie znaczących. Zamiast odmalowania każdego panowania, bawiłeś się, na tle kronik nie zawsze przecież godnych wiary, malowaniem fantastycznych epizodów i błahych tylko szczegółów. Najznakomitszych królów naszych, których każde dziecko polskie, każdy starzec Polak z uwielbieniem wspominają, odarłeś ze wszelkiego uroku. Zrobiłeś z nich albo rozpustników, albo niedołęgów, głupców, albo łotrów ...“ [1)]

Kraszewski był pisarzem wielkiego talentu, autorom wyjątkowo płodnym, wielostronnym, o niezwykłej fantazji. W dziedzinie twórczości literackiej był po prostu fenomenem. Pomimo trudnych warunków, więzienia, choroby jego dorobek twórczy wykazuje 232 powieści w 455 tomach, tysiące artykułów z najróżniejszych dziedzin: literatury, nauk społecznych, historii, malarstwa, muzyki, teatru, ponadto dziesiątki artykułów i rozpraw naukowych. Dodając do tego około 30 000 listów oraz pracę społeczną i oświatową, urasta nam postać Kraszewskiego do zjawiska niezwykle wyjątkowego.

W jego dorobku nie znajdziemy wprawdzie ani jednego arcydzieła sięgającego rangi najwyższego artyzmu, ale zasługi, które położył dla kultury polskiej, są ogromne, dzieła jego zaś do dziś dnia chętnie czytane, stale wznawiane, wykazują ogrom pomysłów i fantazji.

Kraszewski interesował się wszystkim, co związane było z dziejami człowieka, narodu, w szczególności bliskie więzy łączyły go z południowymi sąsiadami. Jego związki z Czechami były wielostronne. Wywodziły się one z całokształtu zainteresowań problematyką słowiańską. W pierwszym okresie miały charakter naukowy, w późniejszym niezwykle serdeczny i przyjazny, o czym świadczy chociażby fakt rozległej korespondencji z Czechami[2]).

FOTOGRAFIA: TADEUSZ WRATNY

Zastanawiając się nad wzajemnością słowiańską, w artykule „Myśli o gramatyce historyczno-porównawczej języków słowiańskich", opublikowanym na łamach czasopisma Tygodnika Petersburskiego (1837), m.in. pisał:

„... A któż wie, czyli podobne zbliżenie, pojednanie, zrównanie nie byłoby pierwszym krokiem do zjednoczenia, które leży w łonie czasu niechybne! Cywilizacja łączy ludy tysiącem stosunków i potrzeb wzajemnych, ustanawia handel płodów umysłowych; wpływy częstsze, terminologie wspólne, powoli, nieznacznymi ogniwami łączy najrozmaitsze języki; czemuż by bratnich kiedyś ściślej nie związała wspólność ukształcenia i losów, tak, jak je rozłączyły wypadki różne i kolejne ... Co czas rozłączył, czas złączyć może ..."

Będąc na stanowisku redaktora popularnego wówczas czasopisma „Atheneum", ponownie wraca do swego programu, dotyczącego wymiany wzajemnych dóbr kulturalnych:

„... Zwracając szczególną uwagę na literatury słowiańskie, Redakcja nadal starać się będzie o szczegółowe sprawozdania z postępów literatury w Rosji, Czechach i innych krajach pobratymczych. Dotąd było to trudnym, lecz na przyszłość zdaje się być podobnym, zwłaszcza gdy literaci, plemiennicy Słowianie, zechcą się do upowszechnienia wiadomości w interesie całej Słowianszczyzny przykładać ..."

Sam jako redaktor „Atheneum" realizuje ten program, publikując na łamach tego pisma najważniejsze wydarzenia kulturolne i literackie Słowian. Wprawdzie po roku 1863, po upadku powstania, trudno mu będzie kontynuować program „słowiańskiej wzajemności", ale nieustanne niebezpieczeństwo germanizacji wymaga ponownego usiłowania zjednoczenia Słowian. W dążnościach do realizacji swoich zamiarów szuka poparcia przede wszystkim u Czechów. Chodziło w tym wypadku oczywiście o sprawy natury politycznej, w której m.in. znaczną rolę odgrywał czeski panslawizm.

O znajomości literatury czeskiej, wszystkich ważniejszych wydarzeń kulturalnych i politycznych społeczeństwa czeskiego, wreszcie samego stosunku do pobratymczego narodu świadczy szereg artykułów zamieszczanych na łamach „Atheneum". Omawia m.in. dzieła Wacława Hanki, Safaríka, Palackiego, których prace historyczne uważa za najważniejsze nie tylko dla Czechów, lecz w ogóle wszystkich Słowian, pracę J. Kollara „O piśmiennej wzajemności Słowian", pobyt Komenskiego w Polsce i wiele innych. Wielką wagę przypisuje książce E. Tonnera „Česi a Polaci", będącej zdaniem Kraszewskiego dalszym ogniwem na polu umacniania wzajemnych związków.

Przypomnijmy ponadto, że również w dorobku twórczym Kraszewskiego, i to nie tylko w powieściach historycznych, ale i obyczajowych oraz w utworach dramatycznych odbijają się echem nieraz i sprawy czeskie. Jedną z wielkich zasług Kraszewskiego jest przyswojenie społeczeństwu polskiemu klasycznego dzieła B. Nemcowej — Babuni.

Kilkakrotny pobyt Kraszewskiego na terenie Czech i Moraw dał mu świetną okazję do osobistego poznania tego środowiska, a przede wszystkim nawiązania osobistych kontaktów z przedstawicielami czeskiego życia kulturalnego.

Szczególnie kilkudniowy pobyt w Pradze w listopadzie 1863 r. okazał się niezwykle pożyteczny. Rozmowy z Nerudą, Barakiem, Sabiną i innymi pozwoliły bliżej zapoznać się z sytuacją polityczną kraju i dążnościami Czechów.

„... Trzeba nam koniecznie wszystkim się bliżej poznać — pisze w jednym ze swych listów do Edwarda Jelínka (1882) — *aby lepiej i sprawiedliwiej ocenić ... To zadanie przyszłości, bo inaczej federacja narodów słowiańskich, na zasadach równości i braterstwa — nigdy nie przyjdzie do skutku. Jest ona dziś jeszcze marzeniem może, lecz naszym obowiązkiem przygotować, aby ono stało się kiedyś rzeczywistością ..."*

Wielkim propagatorem wzajemności okazał się Kraszewski w chwili pożaru czeskiego Teatru Narodowego. Był jednym z pierwszych, którzy organizowali akcję niesienia pomocy materialnej. W czas. „Wiek" (20 VIII 1881) opublikował list otwarty

do teatrów polskich w sprawie zbiórki na odbudowę czeskiego Teatru Narodowego. Aby uświadomić sobie, jaki miała ona charakter, wystarczy przytoczyć fragmenty z korespondencji Ed. Jelinka z Kraszewskim. Jelínek odwiedziwszy Kraszewskiego, osiadłego wówczas w Dreznie, pisał po powrocie:

„... Pierwsze chwile naszego bólu i rozpaczy przemieniły się teraz w chwile niesłychanie energicznej pracy. Ogólnie przyjęto hasło: „Kobiety nasze niech płaczą — my będziemy pracować" i dzięki temu duchowi, którym są już dziś przenikłe wszystkie warstwy naszego narodu, jestem w stanie przezacnemu panu donieść, że straszna klęska nasza nieoczekiwana przez nikogo dała dowód żywotności i siły duchowej narodu czeskiego. Cały kraj czeski przemienił się w ogromne towarzystwo, zgodnie i z niesłychanym zapałem urządzające składki na korzyść naszych funduszów dla Teatru Narodowego.

Echa zaś współczucia dochodzące spoza kraju, szczególnie z ukochanej Polski, pobudzają niewątpliwie do antycznej ofiarności. Aż się serce kraje, czytając olbrzymi spis składek, pochodzących z miast i wiosek od biednych, najbiedniejszych i bogatych. Teraz już nie trzeba rozpaczać — smutkiem i bólem słusznie nas napełniać musi tylko strata, okropna doprawdy strata czasowa ..." (List z 18 sierpnia 1881).

Na kolejny list Jelinka, zawierający już radosną wiadomość o zebraniu odpowiedniej składki na odbudowę teatru, Kraszewski odpowie:

„... Bóg łaskaw! Płakaliście gorzkimi łzami nad nieszczęśliwą pogorzelą narodowej sztuki — aż, oto — stał się cud! Klęska urosła do rozmiarów tryumfu! Naród dowiódł, ile ma w sobie żywotności i zdumiał niezmierną ofiarnością swoją. Sława Czechom! Patrzymy ze zdumieniem, bo zaprawdę czujemy, że nie ma słowiańskiego narodu, który by tą ofiarnością patriotyczną stał z Wami na równi ..." (list z 5 października 1881).

Kraszewski, zaproszony na uroczyste otwarcie czeskiego Teatru Narodowego, w liście do ówczesnego dyrektora teatru tłumaczy swoją nieobecność w Pradze:

„... Nie mogąc osobiście wziąć udziału w uroczystym otwarciu Teatru Narodowego, tego dzieła bezprzykładnej ofiarności i miłości do ojczyzny, muszę Pana poprosić, żeby Pan był tłumaczem mych uczuć i życzeń. Pełen wzruszenia myślę o tym Waszym triumfie, który historia zapisze jako jasną kartę historii narodu czeskiego, będącego przykładem ofiarności i wytrwałości dla innych ... Szczęść Wam Boże, drodzy bracia, a w chwilach szczęścia nie zapominajcie i o nas braciach swoich ..."[3]

Zainteresowanie twórczością Kraszewskiego w Czechach i w ogóle jego działalnością społeczną było znaczne. O jego popopularności w tym kraju świadczy wielka ilość przetłumaczonych powieści na język czeski, których w ogólnej sumie pojawiło się ponad pięćdziesiąt.[4] Pierwsze tłumaczenie pojawiło się już w roku 1852. Do najpopularniejszych pozycji należała powieść STARA BAŚŃ, która jest w ogóle syntezą literackich koncepcji pisarza w zakresie spraw słowiańskich. Tłumaczono również niektóre utwory poetyckie i dramatyczne. Z sztuk scenicznych wystawiona została na scenach czeskich CIEPŁA WDÓWKA. Ponad 40 tłumaczy przyswoiło tak czytelnikom czeskim najwartościowsze pozycje Kraszewskiego. W roku 1882 w praskich sferach Koła Polskiego powstał nawet projekt wydania zebranych dzieł Kraszewskiego pod redakcją wybitnego polonofila i tłumacza, C. Friča. Zespół ten tworzyć mieli wybitni tłumacze, m.in. Eliška Krásnohorska. A więc wymowny dokument zainteresowań twórczością Kraszewskiego. Do realizacji na tak ogromną skalę pomyślanego projektu jednak nie doszło. W każdym razie nikt z pisarzy polskich nie mógł poszczycić się taką ilością tłumaczonych pozycji, jak Kraszewski.

Poza tym poświęcono Kraszewskiemu wiele artykułów i rozpraw, oceniających jego twórczość jako wielki wkład do dorobku kulturalnego narodu. Również wysoko podkreślano jego działalność na polu społeczno-oświatowym. Największym zaś przejawem uznania zasług Kraszewskiego były uroczystości związane z pięćdziesiątą rocznicą twórczości literackiej pisarza. W związku z tym już w roku 1879 w Nowym

Teatrze Czeskim wystawiono „Mazepę" J. Słowackiego. Organizacją uroczystości związanych z 50-letnią działalnością literacką Kraszewskiego zajęło się praskie stowarzyszenie literackie „Slávia". Rozpoczęte 11 grudnia 1878 roku w Pradze miały nadzwyczaj dostojny i uroczysty charakter.

Udział w uroczystościach brali wybitni przedstawiciele czeskiego życia kulturalnego, z polskiej strony zaś obecny był m.in. poeta Adam Asnyk. Uroczystości jubileuszowe Kraszewskiego obchodzono również i w innych miastach czeskich. Jaki miały charakter, dokumentują słowa Edwarda Jelínka, zamieszczone w Księdze pamiątkowej jubileuszu J. I. Kraszewskiego:

„... Jubileuszowa uroczystość pięćdziesięcioletniej działalności polskiego nestora przenikła prawie wszystkie warstwy czeskiego społeczeństwa i powiedzieć można, że dotąd nie uczczono w Czechach żadnego duchownego pracownika pobratymczych ludów słowiańskich sposobem tak szczerym, jak właśnie Kraszewskiego ..."

Dodać należy, że czeska delegacja była jedyną delegacją słowiańską, która wzięła udział w krakowskich uroczystościach poświęconych Kraszewskiemu. Na uroczystość nadeszło dziesiątki życzeń i listów z różnych miast czeskich, od organizacji społecznych, osób prywatnych oraz instytucji.

Były to niewątpliwie wyrazy szczerego hołdu społeczeństwa czeskiego w uznaniu wielkich zasług autora „Starej baśni". Zresztą za zasługi Kraszewskiego na polu zbliżenia czesko-polskiego stowarzyszenie czeskich literatów, muzyków i plastyków „Umělecka beseda" mianowało Kraszewskiego członkiem honorowym. Kraszewski był również członkiem Koła Polskiego w Pradze oraz członkiem honorowym stowarzyszenia „Slavia".

Z wielkim żalem przyjęto później wiadomość o śmierci pisarza. W wielu pismach czeskich pojawiły się nekrologi. E. Jelínek zaś na łamach czasopisma „Hlas národa" omówił szeroko zasługi zmarłego zwłaszcza na polu zbliżenia czesko-polskiego.

Kraszewskiego zaliczyć należy niewątpliwie do tych pisarzy polskich, którzy nie tylko żywo interesowali się problematyką czeską, ale którzy również położyli duże zasługi dla zbliżenia czesko-polskiego, w szczególności zaś przyczynili się do rozbudzenia świadomości słowiańskiej w społeczeństwie polskim.

Ten postulat międzysłowiańskiej wzajemności wytyczył już Kraszewski w roku 1841 jako redaktor „Atheneum" w słowach:

„Myśl spajania w jedno duchowe ciało wszystkich literatur pobratymczych słowiańskich narodów z każdą chwilą jaśniejsza wyrasta i więcej zwolenników znajduje. Czesi tłumaczą ruskie i polskie pisma, my Czechów i zwracamy wzajemnie na się oczy, zajmujemy się postępami z braterską troskliwością, bez zazdrości, bez współubiegania, pracujemy jakby na wspólne dobro, bo wszyscyśmy Słowianie i wszyscy piszemy po słowiańsku, choć jeden ruskim, drugi polskim, trzeci czeskim ..."

I oto jakże żywe i nadal aktualne słowa pisarza przeznaczone potomnym.

1) Rękopis ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej, sygn. rkps 6484/IV, k. 402 — 403.

2) Jerzy Śliziński, Z korespondencji J. I. Kraszewskiego z Czechami, Warszawa 1962.

3) Divadelní listy 1883, nr 35, s. 290

4) Karol Oliva, Przekłady czeskie z literatury polskiej, Przegląd Zachodni nr 38; Jan Korzenny, Polonica czechosłowackie w latach 1945—1955, Pamiętnik Słowiański, t. VII, R. 1957; XXII, R. 1972.

FOTOGRAFIA: ADAM SZOP





FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

Jan Kołek
OŚMIU I LALKI

Wyjeżdżają dzień w dzień sprzed Zarządu Głównego PZKO w Czeskim Cieszynie skołatanym roburem, aby dotrzeć do dalszej szkoły i do kolejnego przedszkola, i dać dzieciom radość, przeżycie, podsunąć chwytliwy morał... Dwa przedstawienia w ciągu dnia, w sezonie ponad 250. Jeśli nie wszyscy dorośli, to wszystkie dzieci znają na pewno „Bajkę" — bo o niej jest mowa — z licznych i przyjemnych na ogół, i chętnie oczekiwanych wzruszeń. Gdziekolwiek się pojawi żółto-zielone pudło robura, słyszymy: „Kukiełki jadą!", zaś aktorzy są dobrymi i bezpośrednimi znajomymi uczniów, i przedszkolaków od Bogumina po Bukowiec i Mosty jabłonkowskie. „Bajka" kojarzy się wszystkim z uśmiechem, jest dla nich kolorowym promieniem słonecznym, rozświetlającym powszedniość. Dla zespołu jednak, dla owych ośmiu, jest miejscem pracy i obowiązków, zwyczajnych, ludzkich i związkowych trosk. Lecz także niejednej ciepłej satysfakcji, zwłaszcza kiedy są pewni, że przedstawienie wyszło jak należy — o czym świadczą jaśniejące twarze wdzięcznej młodej widowni.

Początki Teatru Lalek „Bajka" przy ZG PZKO sięgają roku 1947, lecz równie dobrze można by tutaj przypomnieć amatorski ruch lalkarski sprzed wojny, z okresu działalności Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji. Ferdynand Król, założyciel „Bajki", nawiązał przecież do tamtych tradycji, chociażby już przez przejęcie nazwy teatru.

Był rok 1937. Po kursach lalkarskich w Starych Trokach na Wileńszczyźnie i na Kozubowej Karol Berger założył przy czeskocieszyńskiej szkole wydziałowej zespół kukiełkowy „Bajka", Adam Wawrosz zaś końszczańską „Iskrę". W rok później powstała następna „Bajka" w Orłowej, z której wyszli założyciele PZKO-wskiego teatru lalek.

Zespół Ferdynanda Króla zawiązał się na strychu gimnazjum orłowskiego w roku 1947 — w roku podpisania umowy czechosłowacko-polskiej i powołania organizacji polskich w Cieszyńskiem. Pierwsza premiera odbyła się w orłowskiej szkole ludowej już po rewolucyjnym Lutym: 2 marca 1948 roku. A szło o sztukę Marii Kownackiej „O szewczyku i królewnie".

„Dzień ten był wielkim przeżyciem dla młodzieży i dla całego zespołu. Przedstawienie przyjęto bardzo serdecznie, grono nauczycielskie z uznaniem oceniło wysiłek zespołu" — powie później Król. Zrealizowano w ten sposób jedną z pierwszych uchwał Zarządu Powiatowego PZKO w Karwinie. Kłopotliwy był transport skrzyni-scenki (200 × 100 × 60 cm), organizowany staraniem szkół. Od roku 1950 zespół dysponował już samochodem. Każda z 3 premier w roku miała wówczas około 80 przedstawień w szkołach i w kilku kołach PZKO. Sześcioosobowy zespół zaś sporządzał wszystko własnymi siłami: od lalek po rekwizyty i kulisy.

Co odtąd się zmieniło? I niewiele, i wiele. Zespół „Bajki" pracuje nadal w warunkach — gdyby porównać je z możliwościami innych teatrów — bardzo skromnych. Dwie małe salki na poddaszu „Fasalówki" stanowią jednocześnie i warsztaty, i miejsce prób, i magazyny, archiwum, biura... Do niezbędnych przemyśleń 8-osobowy obecnie zespół siada wokół jednego biurka i nadal radzi sobie sam, jak by

tu kosztem najmniejszym z minimalnych wystawić 4 inscenizacje w sezonie. Inscenizacje, które by sprostały wymaganiom teatru z prawdziwego zdarzenia, jak również widowni kształtowanej nie tylko przez samą „Bajkę", bo także przez telewizję, literaturę i dalsze sceny. Zresztą nie tylko by sprostały, lecz jednocześnie uczyły, wychowywały i były spotkaniami z autentycznym światem sztuki. I to bez stałej sali teatralnej z różnorakim zapleczem technicznym. Mamy bowiem do czynienia z teatrem wyłącznie objazdowym, wystawiającym spektakle w najróżniejszych warunkach, na przykład w salach gimnastycznych bez możliwości zaciemnienia, gdzie odpadają nawet owe sakramentalne dwa reflektory, a pozostaje jeden jedyny magnetofon. Scenka przy tym bywa jak najprostsza, aby zmieścić się w samochodzie wraz z zespołem i by zająć jak najmniej miejsca w sali lekcyjnej. Nawet przy najlepszych chęciach nie można temu wszystkiemu zaradzić, skoro raz gra się — proszę bardzo — na prawdziwej scenie, lecz za godzinę w ścieśnionym przedszkolu...

A owo „wiele"...? Ambicje teatru lalek z Czeskiego Cieszyna rosną w miarę upływu lat i w miarę rozwoju kultury polskiej nad Olzą i osiągnięć owej kultury, korespondującej przecież niekiedy z poważnymi ośrodkami myśli twórczej i odtwórczej w Czechosłowacji, w Polsce i gdzie indziej. Kto jest trochę zorientowany w możliwościach dzisiejszych teatrów lalek, łatwo zrozumie, jak to trudno właśnie w warunkach „Bajki" d o t r z y m y w a ć k r o k u, ba proponować własne rozwiązania, oryginalne spojrzenia, wartościowy repertuar... Stąd owa dialektyczna jedność, stąd w owym „mało" zawiera się również „wiele". A chodzi po prostu o maksymalny efekt ideowo-artystyczny przy minimalnym wkładzie materialnym, o niebłahy wysiłek kilkuosobowego grona ludzi. Zespół zresztą szczyci się tym, że uzyskał honorowy tytuł Brygada Pracy Socjalistycznej.

Rozróżnia się zasadniczo trzy etapy rozwojowe naszego zjawiska, któremu na imię Teatr Lalek „Bajka" przy ZG PZKO. A wiążą się one z kolejnymi kierownikami artystycznymi: Ferdynandem Królem, Adamem Wawroszem i Bronisławem Liberdą. Każdy z nich wycisnął odrębne piętno na tym kolektywnym dziele: jako organizator wspólnego wysiłku i jako osobowość twórcza.

F. K r ó l niósł na barkach ciężar początków z ich wszelkimi konsekwencjami i zdołał w dziesięcioleciu 1948—1958 ukształtować trwałą tradycję i znaczną popularność „Bajki". Dorobek tego okresu charakteryzujący się znacznym dydaktyzmem, wyraża się jednak liczbami 30 premier, 2088 przedstawień i ponad ćwierć miliona widzów. Scenka typu pudełkowego zmuszała do miniaturyzacji lalek, nie pozwalała w żadnym wypadku — a nie mogło to być ani zamiarem następcy, Wawrosza — na penetrowanie aktualiów w świecie lalkarskim. „Bajka" służyła szkole w sposób prosty i bezpośredni, bez podkreślania oryginalnych walorów artystycznych. Mimo to F. Król zrealizował pokaźną listę własnych tytułów; było ich 11 i miały 16 inscenizacji: „Jak to dzieci małe domek budowały" (1950, 1952, 1958), „O odwilży, siekierce i wiośnie" (50, 53), „O dobrym oraczu i wilku" (51, 54), „Przygoda Zosi" (52, 57), „Złośliwy Jurek" (53), „Mali grymaśnicy" (53), „Dola książek" (54), „O dobrej Marylce" (55), „Dzieci i las" (55), „Dziecięce serca" (55), „O Stachu kłamczuchu" (56). „Głównym tematem moich sztuk jest praca kolektywna, dobroć, sprawiedliwość, wdzięczność, umiłowanie książki..." — powiedział autor. Bronił przy tym konsekwentnie obecności baśni i baśniowości na scenie.

W okresie A. W a w r o s z a (1958—1962) podniesiono wymagania wobec tekstu, zmodernizowano nieznacznie środki wyrazu i konwencję reżyserską, wprowadzono jawajki w miejsce kukiełek i palcówek, niemniej jednak pozostano nadal przy wzorcach regionalistycznych. Adam Wawrosz dał 6 własnych sztuk: „Koziołek Fik-Mik" (58), „Najdroższy skarb" (60, 72), „Lampa Alladyna" (60, 78 — adaptacja Kazimierza Kaszpera „Cudowna lampa"), „O wilku i kózce" (61), „Jasełka śląskie" (68) oraz dla dorosłych „Jak baba

diabła wykiwała 66 (65 adaptacja opowiadania Tetmajera). Pierwszy spośród literatów, nie zaangażowanych bezpośrednio w zespole, pośpieszył z pomocą Gustaw Sajdok i dał „Bajkę jesienną" (59, 73). Okres A. Wawrosza zamyka się liczbami 12 premier, 997 przedstawień dla 95 520 dzieci.

B. Liberda, pełniący funkcję kierownika artystycznego „Bajki" od r. 1962, postanowił skupić w jednolitym wyrazie scenicznym wielorakie elemtnty przeżycia artystycznego, uwzględniając przy tym specyfikę patrzenia i pojmowania dziecięcego. Teatr lalek dla dzieci, jego zdaniem, nie jest miejscem dla zbytnich eksperymentów i światoburczych koncepcji estetycznych i programowych. A jeśli tak, to w granicach dostępnych dla wyobraźni i fantazji dziecięcej. Powinien on być po prostu teatrem autentycznym, atrakcyjnym, mobilizującym w maksymalnej mierze młodego widza do współdziałania z bohaterami przedstawienia. Dlatego też głównym sprawdzianem inscenizacji bywa reakcja dzieci, które w swej szczerości nie przyjmują fałszywych postaw lub umownych gestów dorosłych ani intelektualnego pustosłowia czy wręcz mentorstwa, a znakomicie umieją odróżnić intencje bohaterów na tle paraleli dobra i zła. Pedagog, scenograf, muzyk i reżyser, B. Liberda, stworzył z zespołem teatr typowy na miarę naszych potrzeb i możliwości, teatr korespondujący z ogólniejszą atmosferą lalkarską. Stąd właśnie serdeczne kontakty z innymi środowiskami czy trzykrotny już wyjazd z czeskocieszyńskimi inscenizacjami do Serbów Łużyckich w NRD.

W repertuarze ostatnich lat przeważają sztuki autorów polskich, czeskich i słowackich oraz radzieckich, lecz coraz wyraźniej kładzie się nacisk na rodzimą twórczość lalkarską. W omawianym okresie pojawiły się tytuły Wilhelma Przeczka (kierownika literackiego w latach 1970—78): „Dziewczynka z ilustracji" (69), „Złotogłowiec" (71), „Silny Kadłubiec" (75), Kazimierza Kaszpera „Hasabór" (76) i „Cudowna lampa" (78), Władysława Sikory „O tym, jak Zuzanka poszła w kumy do utopców" (79, baśń oparta na motywach Gustawa Morcinka, zrealizowana już w r. 1980 w bielsko-bialskiej „Banialuce").

TL „Bajka", odznaczony wszystkimi odznaczeniami ZG PZKO, jak również medalem Ministra Kultury PRL „Zasłużony dla Kultury Polskiej", ma na koncie 118 premier, niemalże 9 tys. przedstawień dla około 750 tys. widzów. Za tymi liczbami kryje się 35 lat pracy wielu, wielu ludzi, którzy kształtowali wspólny dorobek małego, lecz zasłużonego zespołu.



Daniel Kadłubiec
CZY TO JAWA, CZY SEN

Jaki jest folklor współczesny, i to w dodatku młodzieży? Czy w ogóle młodzież opowiada? Jeżeli tak, to o czym, co opowiada? Jaką to ma funkcję? Czy mieści się to w obrębie tzw. gatunków tradycyjnych, czy też nietradycyjnych? Współcześnie bowiem coraz częściej folkloryści twierdzą, że opowieści tradycyjne zanikają, szukając schroniska w pamięci starszej generacji. Na skutek tego, by ratować tę dyscyplinę naukową, która zaczyna według takich wyobrażeń o współczesnych przekazach ustnych niejako tracić przedmiot badawczy, nawołują do szerokiego, zbyt szerokiego pojmowania folkloru. Istnieją bowiem tendencje, by terminem tym oznaczać wszystko, co się np. opowiada i śpiewa. Ale czy wszystko, co się opowiada i śpiewa, można zaliczyć do folkloru? Czy relacjonowanie tego, co np. wczoraj ktoś jadł na obiad, kogo spotkał, jak się czuje, należy do folkloru? Z pewnością nie. Bo gdyby tak było, nie istniałaby różnica między mówieniem a folklorem. W określeniu tego, co folklor, nie tylko ważne są formuły treściowe, wiążące się z tradycyjnością dłuższą lub krótszą, wynikającą z przekazu ustnego, ale przede wszystkim cały kompleks spraw należących do poetyki, a zatem związanych z kształtem artystycznym, znajdujących się w obiegu ustnych tworów. Folklor przecież to twórczość ustna artystyczna, przy czym ów artyzm zmienia się nie tylko w zależności od interpretatora, ale także od gatunku, a ogarnia nie tylko środki językowo-stylistyczne, ale i pozajęzykowe (mimika, gestykulacja), jak również parajęzykowe (intonacja, tempo, dynamika, barwa głosu itd.).

Wróćmy jednak do naszych niżej przytoczonych tekstów. Dowodzą one dwóch rzeczy: 1) że współcześnie bardzo produktywne są opowieści wierzeniowe, bo prawie wszystkie do nich należą; 2) że z tradycyjnymi gatunkami wcale nie jest tak źle, jak się często mówi i pisze, a zatem folklorystyka ma i będzie miała dosyć materiałów adekwatnych do swoich potrzeb, a nie na siłę przywoływanych. Opieramy to twierdzenie na tym zjawisku, że przytoczone dalej opowiadania pochodzą ze środowiska młodzieżowego, studenckiego, zostały nagrane na taśmie magnetofonowej podczas spotkania w cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego, a informatorzy pochodzili z różnych stron Polski. I jeszcze jedna sprawa. Twierdzi się czasem zbyt ogólnie i zbyt beztrosko, że opowieści wierzeniowe ulegają przeobrażeniom w tym względzie, że ich profil gatunkowy jest rozładowywany przez elementy humorystyczne, komiczne, wskutek czego przekształcają się w kawały, anegdoty czy żarty. Tak niewątpliwie jest, ale nie można tego traktować jako procesu uniwersalnego. Nie sposób też powiedzieć, że tylko starsze pokolenie wierzy w zjawiska wierzeniowe, a młodsze je parodiuje, ośmiesza. Przecież, jak dowodzą nasze badania i teksty, młodzież uniwersytecka wcale nie deprecjonuje takich zjawisk, jak UFO, dematerializacja, sny — przepowiednie, sny — symbole itd., które przecież analizowane są przez parapsychologię, a zatem znajdują się w orbicie zainteresowań naukowych. Poziom wykształcenia, intelektu nie jest więc zawsze proporcjonalny do tradycyjnych wyobrażeń o wierze czy niewierze w zjawiska określane powszechnie jako irracjonalne. Średnio wykształcony chłop na przykład powie, że straszenie w domu, który został pokry-

FOTOGRAFIA: BRONISŁAW BIELAN

ty tynkiem z resztkami ciała ludzkiego, to bzdura. Tymczasem absolwent uniwersytetu zareaguje: Coś w tym może być. To zupełnie możliwe. Zresztą Ralph L. Rosnow w studium o pogłosce twierdzi, że bardziej wykształceni ludzie są wrażliwsi na wieści z zewnątrz, a Klaus Thiele-Dohrmann w pracy *Psychologia plotki* stwierdza, że w naszych czasach „wioski globalnej", gdzie, zdawałoby się, łatwiej jest sprawdzić wiadomość i zdemaskować fałszywe informacje, wcale nie zniknęła potrzeba pogłoski i plotki. Im szerszy jest horyzont naszych doświadczeń, tym większe rozleglejsze są możliwości powstawania plotki. Wydaje się nawet, że nasze technokratyczne czasy podatne są szczególnie na irracjonalne historie. Wiele czynników zapewne o tym decyduje. Człowiek coraz bardziej czuje się zagubiony w świecie maszyn, komputerów, satelitów, sztucznych tworzyw, sztuczności w ogóle i kultury masowej, który nie daje poczucia harmonii, możliwości samookreślenia. Coraz częściej jesteśmy apatycznymi konsumentami dóbr, nie noszących na sobie żadnego piętna naszej osobowości. Kultura staje się maniera, a nie sposobem życia, autentyzm działania jest coraz mniejszy, bo też człowiek z człowiekiem coraz rzadziej spotyka się bezpośrednio, a coraz częściej za pośrednictwem organizacji czy instytucji. Obserwujemy zatem proces atomizowania się społeczeństw, które stają się anonimowe. Sąsiedzi na jednej klatce schodowej wcale się nie znają, a także na wsi, żyjącej kiedyś jak jedna rodzina, proces wtapiania się we własne, indywidualne sprawy postępuje coraz intensywniej. Coraz mniej obchodzą nas losy bliźnich i niebliźnich. Cywilizacja współczesna więc stwarza środowisko bardzo trudne. Nie wskazuje, jak ludzie powinni żyć, wręcz przeciwnie — jej trzeba pomagać, sterować jej rozwojem, by rozwijać wartości pozytywne. Ludzie więc szukają antidotum na tę destrukcję, znajdując je m. in. w warstwie magicznej, wierzeniowej czy bajkowej, będącej czymś, co się tej destrukcji opiera, co jest nie doraźne, ale ponadczasowe i ponadjednostkowe, a zatem uniwersalne. Opowieści te dostarczają nie tylko przeżyć estetycznych i emocjonalnych, ale są również swoistą ucieczką, jedną z dróg poszukiwań i kto wie, czy to właśnie nie jest najważniejsze dla żywotności folkloru czy pewnych jego gatunków. Być może, że to stanowi o jego funkcji naczelnej, motywującej ową żywotność. Chodzi zatem niejako o powrót do źródeł — autentyzmu, szczerości, prawdziwości, bezpośredniości, etyki, człowieczeństwa, ziemi — czyli wartości fundamentalnych. Zresztą sens tego wszystkiego genialnie uwydatnił Wielki Wódz Indian, Seattle, z plemienia Duwamish, wygłaszający w r. 1855 mowę przed Franklinem Pierce, kiedy ów czternasty prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił, że zamierza wykupić dla białych osadników tereny zamieszkałe przez Indian. Seattle wówczas powiedział: „My jesteśmy cząstką ziemi i ona jest cząstką nas. Pachnące kwiaty — to nasze siostry: sarna, koń, wielki orzeł — to nasi bracia. Biały Człowiek jest obcy: przychodzi nocą i wydziera ziemi, co tylko potrzebuje. Ziemia nie jest jego bratem, lecz wrogiem, a zdobywszy ją, kroczy wciąż dalej i dalej. W miastach Białych brakuje ciszy. Nie ma takiego miejsca, gdzie można by słuchać, jak rozwijają się liście wiosną, jak brzęczą owady. Gdy wybito wszystkie bawoły, oswojono wszystkie dzikie konie, przytulne zakątki stały się ciężkie od zapachu wielu ludzi, a widok dostojnych pagórków ośmieszono przez mówiące druty — gdzież ostał się gąszcz: zniknął; gdzież orły — zniknęły; cóż to jest powiedzieć: bądź zdrów; dla zwinnego kucyka i dla łowów znaczy to: koniec życia i początek wegetacji".

Czyż folklor to nie owa cząstka ziemi, owo miejsce, gdzie kwiaty są naszymi siostrami, a wielkie orły braćmi? Czy właśnie w twórczości ludowej nie słychać nieskazitelnego brzęku owadów, szeptów rozwijających się wiosną liści? To tutaj są piękne pagórki bez ośmieszających je drutów, potoki, jeziora i źródła z kryształową wodą bez dodatku chloru, lasy zielone, bo nie zaatakowane przez ziejące trucizną fabryki. Czyż dzisiejszy człowiek nie dąży do tego wszystkiego, czując się bezsilny? A zatem czyż to nie jest powodem (lub jednym z nich) żywotności folkloru obecnie i w przyszłości?

Podobne refleksje nasuwają się wokół spotkania ze studentami i tego, co zostało przez nich opowiedziane, a przez nas obecnie ogłoszone. I nie tylko c o zostało opowiedziane, ale także j a k, bo w interpretacji, utożsamianiu się z tekstem, w stosunku do niego, w owej atmosferze towarzyszącej słowom i myślom rozpoznać można dążenia i cele człowieka, to, co jest mu potrzebne, by został sobą, by, a powołajmy się jeszcze raz na Wielkiego Indianina, „kopcący żelazny koń nie był dla niego ważniejszy od bawołu".

Było to około trzy lata temu. Wyjechaliśmy pod namioty nad takie jezioro, na Suwalszczyźnie. A ponieważ pogoda nie sprzyjała, postanowiliśmy się przenieść do stodoły. Było nas chyba około sześciu. Dowiedzieliśmy się potem, że w czasie kampanii wrześniowej został tu zastrzelony polski żołnierz. Zakopali tego człowieka. I mówili, że ten żołnierz chodzi. Spaliśmy na sianie. Nie mogłam zasnąć, bo pies ujadał. Patrzę, a tu przez środek klepiska idzie ten żołnierz w takim długim płaszczu, w takim szynelu. Ta postać stała i w tym momencie, kiedy my spaliśmy na tym sianie, popatrzył w naszą stronę. Myślałyśmy, że wujek chodzi. Na następny dzień pytaliśmy. Powiedział, że wcześnie szedł spać i na pewno nie chodził. To było po klęsce wrześniowej. Byliśmy tam trzy lata temu, w miejscowości Sejny, niedaleko granicy.

Od babci słyszałam taką historię, że kiedyś babcia siedziała sama w kuchni i coś się miało przykrego na drugi dzień wydarzyć. To okno się w kuchni otwierało, biegały dwa białe psy skute takim łańcuchem mosiężnym, obiegały całą kuchnię i wybiegały z powrotem. To kilkakrotnie miała takie zdarzenie. I przed śmiercią dziadka to też były te dwa psy. No babcia mówi, że początkowo się straszliwie bała, bo jest to raczej niecodzienne zjawisko, że sobie dwa olbrzymie psy wbiegają do mieszkania i że w ogóle się okno otwiera. Chyba nie było tam zamknięte, zupełnie. Nie wiem, jak to wyglądało. Mówi, że przebiegły całą kuchnię, w ogóle się nie zatrzymując, i wybiegały z powrotem. To było w tym samym domu, nad tym jeziorem, na Suwalszczyźnie.

I jeszcze jedno takie zdarzenie. W tej samej wsi znajduje się stare zamczysko. Trudno to nazwać zamczyskiem. To jest w zasadzie folwark. I w tym folwarku mieszkała kiedyś bardzo bogata pani, która jest fundatorką olbrzymiego kościoła, w tej chwili już katedry, w Sejnach. I ta pani miała męża, który ją straszliwie zdradzał. Okropnie. I po prostu ciągle dochodziło między nimi do scysji, ale ta kobieta go strasznie kochała i po prostu nie mogła się z tym pogodzić, a on też nie chciał z niej zrezygnować, bo te całe dobra to była jej własność. Mówili, że została w końcu przez niego otruta, bo on był prawowitym spadkobiercą tej właścicielki, i od tej pory nad jeziorem, bo jest tak — z jednej strony jest jezioro, a z drugiej mieszka wujek — od tej pory wzdłuż jeziora, przy brzegu, wieczorną porą podobno pojawia się dama w czerni, która chodzi i strasznie płacze nad tym jeziorem. Wszystko to słyszałam od babci.

Swego czasu, jeszcze w szkole podstawowej, mieszkałam w Zabrzu, miałam koleżankę, która strasznie bała się sama zostawać, bo twierdziła, że w jej domu straszy. Wychodziłam z założenia, że to najbardziej można się siebie bać, a nie innych ludzi, w dodatku których ja nie widziałam. No i kiedyś wyjechali jej rodzice i ja postanowiłam u niej nocować, bo się strasznie bała. Nie wiadomo, czy teraz coś się przydarzy, ale prawie co noc coś się w tym domu dzieje. Była taka stara kamienica i siedziałyśmy w pokoju. I słyszymy normalne brzęki z kuchni. Przecież nikogo nie ma. Idziemy do kuchni. Na stole kuchennym stała taka miska metalowa, dość duża. Stała dużo większą powierzchnią na stole niż poza nim. I w pewnym momencie ta miska spadła na ziemię. No jakim cudem? Przecież to przeczy wszystkiemu. Ona mówi, że bardzo często coś tam spada. Albo jakiś kubek zawieszony na wieszaku przy kuchence, że ciągle są jakieś odgłosy. Albo czasami słyszy jakieś szuranie. I taka sama historia była. Z tym, że bardzo makabryczna.

To mój wujek, mamy przyrodni brat, się powiesił. To był człowiek koło pięćdziesięciu lat i w sumie zrujnowany dość życiem. Zostawił ciotkę z siedmiorgiem dzieci. Tak się załamał psychicznie, jeszcze był bardzo chory na wrzody żołądka czy coś takiego. I kiedyś ciocia wróciła z najstarszą córką z pracy, a on wisiał na klamce. I później została malutka córeczka tego wujka, jeszcze w kołysce. Oni mieli taką bujaną kołyskę w domu. Mieszkanie było bardzo ciasne, bo był tylko jeden duży pokój, także ciocia i pięcioro dzieci mieszkało w dużej kuchni i w dużym pokoju. I okna pokoju wychodziły do ogródka. I kiedyś ta mała już usnęła, i leżała w pokoju, a ciocia siedziała z tymi starszymi dziewczynkami w kuchni, i w pewnym momencie — drzwi były tak półotwarte — słyszeć wyraźnie kroki po pokoju i zaczyna się kołysać kołyska. No. I wtedy ciocia odzywa się. Mówi: „Antek, jeżeli przyszedłeś, to dziecko śpi. Nie jesteś nam w tej chwili potrzebny. Jak będę coś potrzebować, to cię poproszę, żebyś przyszedł. Możesz sobie iść". I podobno kołyska jeszcze się chwilę kołysała, znowu było słychać kroki w stronę okna.

I tej samej cioci kuzynka też miała takie zdarzenie. Właśnie już po śmierci wujka — zresztą zmienili miejsce zamieszkania — zdarzały się dziwne historie. Zresztą wszyscy byli przewrażliwieni tym. Rodzina przyjechała na Śląsk i średnia jej córka miała taki pokoik, taka wnęka od kuchni w zasadzie. I ona położyła się spać, z tym, że było to w ciągu dnia. Już była zmęczona, położyła się na swoim tapczanie i w pewnym momencie zrobił się taki straszliwy przeciąg i do kuchni się otworzyły drzwi. Normalnie widzi w progu swego ojca, który nie żyje. I pierwsze słowa wujka to były: „Co dzisiaj mieliście na obiad?" I ta mu normalnie opowiadała, że kapuśniak, coś jeszcze. I przyszedł, siadł podobno na łóżku. Ona mówiła, że się go w ogóle nie bała. Może dlatego, że to był ojciec. Siadł na łóżku. Odczuła jakieś takie dziwne zimno. Siadł na łóżku i rozmawiał. Się pytał: „Czy matka o was dba? Czy jest wam dobrze? Czy jesteście zadowoleni, że tu przyjechaliście?" Ona mu normalnie odpowiadała. Tak jakby rozmawiała z żywym człowiekiem. Mówi, że nawet nie zauważyła, żeby miał coś szczególnego w swej sylwetce poza tym chłodem, który czuła. I w pewnym momencie wstał, mówi: „To ja już sobie pójdę. Jeszcze kiedyś do was przyjdę". I normalnie wyszedł sobie przez te drzwi. No i to już jest wszystko, o czym słyszałam.

W Bielsku podobno był taki dom, który w tej chwili już nie istnieje, bo po prostu nikt nie mógł tam mieszkać z tego względu, że tam straszyło. I ten dom bardzo często zmieniał właścicieli. Czasami zdarzało się, że w ciągu miesiąca kilka osób nabywało ten dom i nikt tam nie mógł mieszkać. Bo nocą było słychać takie jakieś jęki niesamowite, jakby z bólu. I co się okazało. Ten dom miał swoją historię. Mianowicie, że kiedyś został wybudowany przez więźniów w czasie wojny. I ten dom budował sobie Niemiec, który zatrudnił do tego jakichś więźniów polskich. I w czasie rozrabiania zaprawy murarskiej jeden z tych więźniów spadł z rusztowania do betoniarki i został przemielony razem z tą całą zaprawą. I ściany tego domu zostały pokryte tynkiem razem z tym człowiekiem. I podobno ten człowiek w ten sposób dopominał się praw własności do tego domu, że po nocach jęczał i tym sposobem odstraszał wszystkich ewentualnych właścicieli. Ze względu na to, że nikt z żyjących nie mógł tam zamieszkać, musieli ten dom wyburzyć.

Chłopcy opowiadali, że w Wilkowicach, jak się przechodzi w nocy, to słychać jakieś dziwne chichoty, odgłosy, dźwięki. I ten dom stoi zupełnie pusty, okna są ciemne. Już jest w sumie taki podniszczony. Nikt się nim nie opiekuje ze względu na to, że każdy się boi. Tam coś się dzieje niesamowitego.

Rzecz się działa tutaj, w akademiku. To było na drugim roku. Naszej koleżance z roku zmarła mama i nie wiem, czy to ze względu na wciąż świeże wspomnienia, czy co, ale kiedyś dziewczęta się myły. Jedna była pod prysznicem, a druga przy umy-

walce. W sumie odległość jest niewielka. I drzwi były otwarte z tego korytarzyka, gdzie jest prysznic. I w pewnym momencie Jadźka, córka tej pani, która zmarła, stojąc pod prysznicem, usłyszała jakieś kroki. Odchyliła lekko zasłonę i zobaczyła czarną postać, przychodzącą do tego przedpokoju, gdzie stała Ilona, która się myła. I zobaczyła tylko tak rąbek spódnicy i tył tej postaci. I podobno Ilona też. I ta postać tak w pewnym momencie się rozpłynęła. A ona już otworzyła usta do krzyku. I jeszcze kiedyś tak się dziwnie ruszała zasłona. Dziewczyny już były straszliwie przestraszone, ale potem się wszystko uspokoiło.

Moja mamuśka, jak była mała, miała czternaście lat, wracała z siostrą do domu wieczorem. Już był taki zmrok. I takim duktem. Ani to nie była droga przejezdna, ani polna. Taki dukt sobie. I po obu stronach drogi były dwa nasypy z ziemi. I one patrzą z daleka — coś siedzi sobie. Patrzą, bliżej podchodzą, a tu siedzi sobie po turecku wielkości dziecka starzec z długą siwą brodą, z czerwonym kapturem, w czerwonych pantalonach, z pomarszczoną buzią. I się patrzy na te dziewczyny. — „Był to krasnoludek" — moja mama mówi. No i co. Jak odchodziły, to się za nimi patrzył — za mamą i za siostrą. Nie była to halucynacja, bo nie tylko mama widziała, ale i siostra mamy. No i przyszły do domu i mówią, że po raz pierwszy i ostatni widziały krasnoludka.

W czasie okupacji, już po godzinie policyjnej, szedł sobie mężczyzna pustą ulicą. No i nagle zaczepili go żandarmi i zaczął uciekać przed nimi. Było pusto na tej ulicy, więc było słychać tylko stukot tych jego drewniaków i butów żandarmów. Chciał się gdzieś skryć. Podbiegł do jednej z kamienic. A była taka historia, że bramy kamienic były zamknięte. Więc stanął pod murem bezradny. I w tym momencie zdematerializował się i zostały tylko chodaki. Niemcy zdezorientowani nie wiedzieli, co się stało. Odeszli. Podobno ten człowiek ponownie się zmaterializował i odszedł. To opowiadali chłopcy przez radiowęzeł. A jest to podobno fakt autentyczny.

I jeszcze druga historia — z dzieckiem i dużym psem. To dotyczy z kolei instynktu psiego. Też okupacja, chłop wiejski pomaga partyzantom. O tym dowiaduje się żandarmeria. Ktoś po prostu poszedł i doniósł. I pewnego dnia przyjechali na tych swoich motorach pod dom tego gospodarza. W domu była cała rodzina, czyli żona i kilkoro dzieci. Już nie pamiętam, ile tych dzieci było. W każdym razie jedno było małe. Na podwórku był duży pies, wilczur. I ten wilczur wówczas, gdy wyczuł żandarmerię, wziął tego małego chłopca, bo był to chłopiec, i wciągnął pyskiem do swojej budy i przykrył go łapami. Wszystkich na miejscu rozstrzelano i tylko to dziecko się uratowało. Do tej pory ten pan podobno żyje i trzyma na swoim podwórku mnóstwo psów. Z wdzięczności.

U mojego dziadka było dosyć duże gospodarstwo. I jak wiadomo, w każdej oborze bardzo dużo się szczurów gnieździ. A w każdym gospodarstwie są małe psy, takie kundelki albo jakieś terierki, które te szczury wyduszają. A wtedy była jakaś plaga. Po prostu szczury się zagnieździły i nie można se było poradzić z nimi. No i pewnego razu szedł sobie jakiś stary człowiek ulicą i tak zajrzał do dziadka, do gospodarstwa, do domu. Zdaje się, że o wodę prosił. I mówi w ten sposób: „U pana jest tutaj dużo szczurów". — „Skąd pan wie?" — „Bo czuję". No i mówi tak: „Wie pan co? Ja panu pomogę z tymi szczurami. Dzisiaj te szczury panu zlikwiduję". A dziadek zgodził się pod warunkiem, że jakąś nagrodę mu da. I o godzinie dwunastej w nocy miał ten człowiek wejść do tej obory, gdzie nikogo nie było, żadnego człowieka, nikogo z domowników. I faktycznie. Ale mój ojciec był mały, ciekawy i schował się do żłoba końskiego. Dwunasta wybiła, ten właśnie wchodzi do tej obory i taką witką jak z wierzby zaczął uderzać po ścianach, po belkach, po chlewie. Wszędzie uderzał, żeby te szczury wyłaziły. I w pewnym momencie wyszedł. Wyszedł z obory i zniknął. Nie było go. Rano wrócił. Dziadek pyta się, czy już tych szczurów nie ma. — „Nie ma. Nie ma, gospodarzu. Nie ma". I wyprowadził te szczury w pole. Więc na pasie takim polnym był ubity deptak

na zoranej ziemi przez te szczury. Wyprowadził je w pola, w stawy. No i szczury zniknęły. Był to jakiś pasterz. Dziadek mówił, że właśnie starzy pasterze mieli takie swoje metody, bo jak chcieli, żeby owce były zdrowe, więc mieli metody, które stosowali do szczurów, bo one wśród owiec roznosiły choroby.

Ktoś opowiadał taką historię. Jechało małżeństwo. To było w Stanach Zjednoczonych. Jechali samochodem i nagle przed nimi pojawił się jakiś pojazd. Zatrzymali się, bo widzą, że coś tam chodzi koło tego. Chcą wejść z powrotem do tego samochodu i nie mogą. Dziwna sprawa, bo są świadomi tego, co robią. I podchodzą do nich dwa takie stworzonka — jedno stworzonko bierze tę żonę, drugie tego mężczyznę. Prowadzą ich do tego pojazdu. I dotąd pamiętają te osoby, że położono ich na takich kozetkach i biorą próbki paznokci, skóry, włosów. Dotąd pamiętają wszystko. I nagle budzą się, i są w swoim samochodzie. Ten mąż był taki rozsądny i pojechał siebie zbadać. Mówi: „Hipnoza czy przywidzenie?". Pojechał do psychologa. I ten ich poddał hipnozie — jednego i drugiego. Kazał im opowiadać, jak to było. Opowiadał mąż i opowiadała ta żona. Mówili identyczne rzeczy. I tylko do pewnego okresu, później nie pamiętali. Więc była to przedziwna historia, bo w śnie hipnotycznym wychodzą rzeczy prawdziwe.

Dziewczyna z któregoś tam roku opowiadała, bo jej to opowiadał z kolei jej ojciec, któremu się ta historia bezpośrednio zdarzyła. Wracał z nocnej szychty, bo jest górnikiem. I przed nim stoi dziewczynka w jakichś takich przewiewnych rzeczach. A to było zimą. Z niesamowitą buzią — bladą. No wrażenie robiła niepokojące. I płacze strasznie. Ten człowiek nie zwrócił na nią uwagi. Idzie dalej i ta dziewczyna znowu się pojawia przed nim. I tak jakby go prosiła, żeby się śpieszył. Więc on zwraca się do niej, ale ona nic nie mówi, tylko go przywołuje i pragnie, żeby jak najszybciej szedł do domu. Więc człowiek ten przyśpiesza, podchodzi do swoich drzwi, patrzy, a pod drzwiami leży na śmierć zamrożony człowiek. Zamarzł.

Jasiu Brzózka opowiada, że jak ma zachorować, to mu się śni taki duży, duży kamień. Ten kamień rośnie, rośnie, rośnie i na drugi dzień murowana gorączka. To jest stały sen. On się sprawdza.

Jeżeli na przykład śni się biała bielizna albo pościel, obojętne, coś białego. Na przykład mnie się to sprawdza, to jest jakaś wiadomość typu list. Coś takiego. Natomiast jak mnie się śni ząb, zdrowy ząb, to choroba na pewno. A jak ząb wyleci, a do tego jeszcze krew, to ten sen ma bardzo przykre znaczenie. Mianowicie oznacza śmierć jakiegoś krewnego.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BALON



FOTOGRAFIA: TADEUSZ WRATNY

Wincenty Szeliga
NASZE STARE ŚLÓNSKI CHAŁUPY

Piyrsze chałupy były u nas, w Skrzeczóniu — jako wszyndzi — drzewianne. Mówiyło sie *drzewiónki*. Nie były moc wysoki, tóż też aji w izbach były niski powały, a jak sie do nich wchodziyło, musiało sie dobrze przichylić.

W kuchyniach były nejwiyncy glinianne *dłażki* abo też połowica była jyny z desek, a ta kole pieca była glinianno. Ze siyni sie chodziyło takimi zwykłymi drzewiannymi schodami (abo aji po drabinie) na *góre*. Jeszcze przed piyńdziesiyncima rokami było u nas w dziedzinie dziesiyń takich drzewiónek: Absolón, Leki, Binia, Kubosz, Ożóg, Borski, Dobrzański itd.

Piyrsze murowane chałupy sie stawiały z rycznie robione cegły. Jak mi tata opowiadali, glina-celina sie musiała dobrze rozrobić, formować w taki drzewianne formie u dna troszke wónżejsze, aby to dobrze wypadowało. Jeszce jóm móm schowanóm na pamióntke po starzikowi. Potym sie wypalowała w takich jakby wielkich piecach obłożónych glinom. A ta cegła musiała być na sztorc dobrze poukłodano, z takimi *cugami* — kanałami — w postrzodku, aby tyn płómiyń i ciepło wszyndzi dobrze przechodziło.

To było roboty, jak na takóm chałupe trzeba było i 50 tys. cegły, bo mury były szejśdziesióntki, aby udziyrżały sklepiynia, kiere też były z cegieł. Sklepiynia, jak były mynsze izby, były myni, a jak były wiyksze izby, to były wiyncy obłónkowite. Z wyrchu miydzy ty rozszyrzóne cegły przi murowaniu sklepiynio sie wciskały taki plaskate kamiynie *(plaskocze)* ze szutru, aby to lepszy dziyrżało. Jak starzik stawiali chałupe we Skrzeczóniu, to starka, jak szli pómogać ku mulorzóm, to po ceście niyśli dycki w *miechówce* ty plaskocze, kiere nazbiyrali w Olzie. A miyszkali aż w Pilarze przi lutyńsko-dziećmorowski granicy.

Dachy były słómianne, nieskorzi potym kryli już dachówkami abo terpapiórym. We szczycie, nad okiynkami, z góry były wymurowane taki wnynki we ścianie, ozdobióne ornamyntym, a w nich figura św. Floryjana, patróna strażaków (umynczónego w r. 304), co miało chrónić przed ogniym. Pod tóm figuróm też był wyryty na fasadzie rzimskimi cyframi rok, w kierym była chałupa postawiono, i poczóntkowe litery nazwiska i imióna chałupnika. Jako jego właściciela.

W chałupach to wyglóndało tak: W kuchyni stoł wielki *kachłowy piec* z wiyżkóm, na kiere sie dało bele co ususzyć, bo tako rozgrzoto wiyżka dziyrżała hyc aż do rana. Dowało sie tam baji ciasto na placek wyruszać, pieczki z jabłek abo gruszek dosuszyć, szpilki przed zabijaczkóm wysuszyć. Warziło sie na blasze, na locinowych szynkach, a jak jeszcze nie było parzoków na zimioki, rzepe i kwaki, to sie i w kuchyni warziło dlo bydła w takich wielkich zieleźniokach. Była też w tej wiyżce *trómba* (nikiedy aji dwie), w kiere sie piykły nejwiyncy placki, tzw. brótwanioki z żytni krupice, jako z pszynicznej, bo u nas sie mówiyło na pszynice żyto, a na żyto reż. W jednym rogu kuchynie były pod ścianami dwie ławki z opiyradłami, a przed nimi stół. Ty ławki były nejbardzi przidajne przi szkubaczkach abo zabijaczkach, jak sie wiyncy ludzi zeszło. W kredynsie były w górne czyńści szklóneczki, kieliszki, talyrze, gorki porcelanowe na kawe. W szuflodach zaś łyżki, noże, ro-

golki itd. Na dole były paczki z mónkóm, grochym, solóm. Cukier sie też kupowało w takich *kłobukach* dwu — abo piycikilowych, z kierych sie musiało dycki po trosze ubijać kładziwkym.

Były też downiejszy kole pieca, na ścianie, taki *rekle* na gorki, na dynka, łyżniki, korzyniorki porcelanowe na pieprz, kmin, skórzice, maryjónek itp. Przed piecym była *wynglorka* na wyngli (i drzewo), stoł tam mały stołeczek, na kierym sie siedziało przi skłodaniu ognia, przi szkrobaniu zimioków itp. Była też jeszcze kole pieca tako ławka z dwiyrkami na wiynksze gorki. W króńcie przi dwiyrzach umywadło z ławorym.

No a mało kaj, żeby w kuchni ni mieli łóżka abo nieskorzi *otomany,* kaj sie dało po obiedzie zdrzymnóć, jak padało na polu abo po trosze pospować po nocnej szychcie. Godziny - pyndlówki też musiały być, nó i wyrzazowany, rzyźbióny krziż i obrozki świyntych na ścianie też.

Na zime sie stawiało jeszcze piycek, *zieleźniok,* nikandzi też mu mówiyli *wincek.* Tyn sie glancowało i z rułami grafitym rozrobionym wodóm z trochóm octu. Świyciyło sie, jak jeszcze mama opowiadali, downiejszy szczypami. To już jedyn musioł mieć na starości co pół godziny jóm wymiynić, bo deli nie wydziyrżała. Były zastyrczóne na ścianie w *rozszczypcu.* Potym już były lampy - *petrulówki,* to zaś sie musiało ze strachym pucować zakopcóne celindry, aby nie praskły. Nie śmioł też naroz moc popuszczać knuta, bo płómiyń podskoczył i celinder puknół.

W izbie, kaj sie spowało, były dwa łóżka, dwie *olmaryje* (szafy) na szaty, no i szrank ze szuflodami, w kierych było wybiglowane prodło. W te piyrsze szuflodzie były kancyjónały, ksiónżki kościelne, rużańce, jedwobne szatki na niedziele i taki rozmaite lepsze rzeczy. Na tym szranku zaś — przikrytym pieknym wyszywanym serwetym — stoł poniklowany krziż ze świycznikami, figura Krystusa, no i fotografije starzików abo kogosi z rodziny.

Jeszcze downiejszy to zamiast tych szranków były *trówly* na taki rzeczy. Były to pieknie ryncznie malowane aji rzyźbióne skrzinie, kiere sie otwiyrały z wyrchu. W trzeci izbie też były łóżka, bo w rodzinie było sztyry, szejść, a nikandzi dziesiynć dzieci. Nie jako dzisio — jedno abo dwa wycackane i wyparadzóne dziecka.

Też wtedy ni mieli tela *oblyczo.* Jak starsi opowiadali, kiery rano rychli stanół, to oblyk to lepsze, a na tego ostatnigo już wiela nie zbyło. Z botami to było jeszcze gorszy. Mieli bótki jyny na zime, a w lecie niyśli bótki przewieszóne przez ramióno, a dziepro przed szkołóm abo przed kościołym sie obuwali. Tak musieli szanować. Też pomału w każde chałupie mioł tata szewiecki kładziwko, szydło, flokszpic, klinki, kónski skóry na zolówki i sprawowoł wieczorami bótki. To było na nich przibitych rozmaitych *przisczypków,* że ani dziecka już w tym nie chciały chodzić, bo i tak już wiela razy były po starszym bracie ty bótki. Dość czynsto też w te trzeci izbie miyszkoł kwartyrnik abo komornik. Była też wtedy biyda o kwartyry. Pamiyntóm, jak w jedne taki wielki izbie miyszkała cało rodzina, ojcowie z siedmima dzieciami.

Była też w dziedzinie tako gminno drzewiónka, tam były trzi izby, tak 2,5x3,5 m, a w każde sie uciskała rodzina z piyncima i siedmima dzieckami.

Jak sie zaczła w 1885 roku stawiać i rozszyrzać fabryka firmy Hahn (dzisiejszo huta bogumińsko i dróciarnia), i przibywało przijezdnych robotników, tóż też godnie ich miyszkało w prywatnych chałupach. Mówiyło sie im *kusternicy,* bo tam byli i z kustym. Dobrze płaciyli, tóż im gospodyń dowała obiady i wieczerze.

Nikiedy też było rozmaitego szuszkanio po dziedzinie i plotek, jak kaj miyszkoł młodszy i szykowniejszy kusternik... A jak jeszcze chłop - gospodorz robiół na trzi szychty, a kusternik jyny rano, tóż . . .

Też mi jedyn starszy obywatel opowiadoł, jak sie z jedne chałupy wybiyrali oba na szychte rano, jeji chłop i kusternik. Chłopu dowała na swaczyne chlyb ze szmolcym, a na kusternika jyny mrógła, a ón już po kryjomu wyciógnół kyns szpyrki spod beczki z kapustóm, kiero stoła w siyni na cegłach. Rozmaicie też bywało.

W siyni, kiero przedziylała chałupe na dwie czyńści, też bywały we ścianach *bindfele*. Ściany były hrube, tóż aby ich wyużyć, to były w nich jakby szpajski z luftownikym (sitym) we dwiyrzach. Było tam chłodniejszy, tóż tam gospodyń miywała na regalach masło, syr, wajca, szmolec i taki rzeczy.

Na postrzodku w siyni był hok we sklepiyniu, na kierym sie wieszało kormika przi zabijaczkach. Nikandzi mieli też taki hok z linkóm, a na górze był rympoł, kierym sie dźwigało tego kormika.

Jak nie było w chałupie jeszcze taki kumory, to w siyni stoł aji kamiynny młynek - żarna, na kierym się mleło żyto na krupiczniok, placek abo sie szrótowało pośłod bydłu.

Piwnice były wiynkszynóm jyny pod jednóm izbóm abo pod pół chałupóm. Mało kaj, to już jyny u wielkich siedloków, były pod całóm chałupóm. W piwnicy były przegrody z desek, *gródze*, obłożóne słómóm na zimioki, rzepe, kwaki. Była też wielko dymbowo beczka z kiszónóm kapustóm, czyli *zielim*. Zómki na dwiyrzach były prziszrubowane z boku, taki staroświecki, ni jako dzisio sóm wszystki zadłubane w postrzodku. Miały też na spodku taki rygle, co choć było zamknyte na klucz, to sie jeszcze z postrzodka zaryglowało. Przed złodziejami to było zabezpieczóne dobrze, ale dlo młodych nie bardzo praktyczne, bo nie poradził wlyźć do chałupy, musioł kogosik obudzić, aby mu odryglowoł, i hned ojcowie wiedzieli, o kiere gdo wieczór prziszoł du dóm.

Ze siyni były też taki dwiyrka do *piekarszczoka*, ale wymurowany był pod tym wielkim kuchynnym piecym z takich wielkich szamotowych cegieł. Przed pieczynim sie go musiało dobrze wyhajcować, nejwiyncy twardym drzewym, potym ty rozpolóne wóngliki *zgrzynyć* takóm drzewiannóm *gracóm* na boki i spodek pieknie wymiyść takóm dłógóm pryncionnóm miotłóm na sztylu. Wyruszane ciasto ze słómiónki sie wyklupło na takóm szyrokóm drzewiannóm sodzacóm łopate, zrobiyło se na tym cieście krziżyk, po wyrchu poszmyrało mokróm szczotkóm, aby sie pieknie świyciół po upieczyniu, i szups do pieca. Wlazło do takiego pieca i szejść chlebów abo pore plechów z kołoczami.

Na Wielkanocne Świynta se też dycki piykły pecynki ze zapiykanóm dómowóm kiełbasóm, wyndzónkóm i szpyrkóm.

Na górze było zrobióne *sypani* z przegrodami na *obili*, aby sie żyto, reż, owies abo jynczmiyń nie pomiyszało. Po młócyniu, aby to obili dobrze wyschło, musiało sie czyńściejszy miyszać i przewracać *wijaczkóm*. To była tako jakby szyroko drzewianno łopata wystrugano i ze sztylym z jednego kónska drzewa. A że była leko, tóż sie ś nióm w zimie aji odciepowoł śniyg.

Na przesypowani i odmiyrzani obilo do miechów była *miarka*. Była to jakby kulato półbeczółka z dziyrżokym na boku, ale z ciyniutkich deseczek, aby była leko przi robocie. Wlazło do ni tak dziewiyńć aż dwanost kilo obiło, podle tego, jaki i jak było wyschnyte. Podobno do miarki była też *sztwiertka*, jyny moc mynszo.

Wożyło se wtynczas na *mincyrzach* do dziesiynć abo do dwacet kilo. Ciynżejsze rzeczy zaś na *decimalce*. We fachach, w pudlicach abo w miechach z biołego płótna była mónka. Szrót dlo bydła zaś w beczkach abo w żberach, bo w miechach jak był, to rade myszy przegryzły, jak sie kaj na góre dostały. Na myszy sie robiyły taki proste, ale dobre paści. Były to dwie deski tak z 30 cm dłógi, na przodku był z trzóch lajśni taki rómek, na kierym wisioł na szpagatku taki klinek, kiery sie założył na wrómbek na kóńcu lajśnie, kiero była miyndzy deskami, a na kiere było na postrzodku prziwiónzane kónsek skury ze szpyrki. Na tej wyrchni desce było pół cegły abo jakisi kónsek zielaza. Jak ta myszka sie jyny dotkła te lajśnie, tóż tyn klinek, na kierym była poprzito wyrchnio deska, sie zesunół i paści sie sklapły.

Nie chybiały też na górze *słómiónki*, *niecki* na zarobiani ciasta, *sitka i drzewianne łopatki* na osiywani mónki. *Troki* na parzyni kormika, kiere sie robiyły z topola abo wiyrby, też bywały na górze.

Nó, a kaj sie zabijało i wyndziyło kormika, tóż na górze był *szpyrnik* na wyndzónke, szpyrke i kiełbaski. Były drzewnianne, abo też i nikiere miały ściany plecióne z hrubego wiyrbowego pryncio.

Jan Basara
SŁOWNICTWO GWAROWE ŚLĄSKA NA TERENIE CZECHOSŁOWACJI

Język, jako narzędzie komunikowania się ludzi z sobą, czyli prościej mówiąc, porozumiewania się, jest chyba największym darem natury. Trudno sobie nawet wyobrazić życia bez możliwości używania języka - mowy. Ten na pozór prosty fenomen, który poznajemy od pierwszych dni naszego życia, i z którego „cudowności" często nie zdajemy sobie sprawy, jest taki prosty do momentu, kiedy zaczniemy mu się bliżej przyglądać, analizować, badać. Zagłębienie się w tajniki języka pokazuje nam z jednej strony jego piękno, harmonię, z drugiej zaś jego złożoność i wielowarstwowość. Językoznawstwo — dyscyplina zajmująca się badaniem języka, zna różne płaszczyzny, pokłady językowe zależne od uwarunkowań natury społecznej, politycznej, geograficznej itp. Język dzieli się na literacki, ogólny (mówiony), na regionalizmy, dialekty (gwary) wiejskie, miejskie, środowiskowe itd., a wszystkie te odmiany języka mają swoją niezawodną strukturę, która pozwala słowom wchodzić w odpowiednie związki i układać się w zrozumiałe zdania. Strukturę tę i jej funkcjonowanie w zakresie fonetyki, fleksji (odmiany wyrazów), słowotwórstwa (budowy wyrazów) i składni (budowy zdań) bada tzw. gramatyka. Natomiast zasobem słownikowym danego języka, jego znaczeniami, powiązaniami frazeologicznymi, a także geografią zajmuje się leksykografia, czyli nauka o metodach opracowywania słowników, i leksykologia, czyli nauka o słownictwie. Oczywiście słownictwo, tak jak sam język, jest również zróżnicowane, a jego struktura i tendencje rozwojowe zależą od wielu czynników także natury pozajęzykowej. Omówienie między innymi i tych zjawisk jest zadaniem niniejszego artykułu.

Słownictwo polskich gwar Śląska Cieszyńskiego w CSRS jest integralną częścią całego zasobu leksykalnego języka polskiego, jest regionalną odmianą tego języka. Dalej uściślając, słownictwo to należy do szeroko pojętych gwar śląskich i jako takie badane było i jest przez większość uczonych. Takiej postawy nie może zmienić fakt, że spotykamy tu liczne słowa z języka czeskiego, słowackiego czy niemieckiego. Jest to uwarunkowane względami tak geograficznymi, jak też historycznymi, które wywierały i dalej wywierają duży wpływ na mowę miejscową. Podobne zjawiska obserwujemy w historii każdego języka, każdej gwary; różnice są jedynie w nasileniu obcych elementów.

Podstawowy zasób, trzon słownictwa gwar cieszyńskich jest zgodny z polskim językiem ogólnym, jak też z sąsiadującymi gwarami polskimi. Ukształtowała go wielowiekowa jedność językowo-gospodarczo-polityczna, zwłaszcza w granicach Księstwa Cieszyńskiego. Tysiące słów z różnych dziedzin kultury materialnej i duchowej pozwalają obiektywnie stwierdzić wspomnianą wyżej więź. Przykłady wystarczy zaczerpnąć choćby z obszernego słownika Ad. Kellnera (Východolašská nářečí II, Brno 1949): *bagno, błoto, burza, babka, babiorz, bydło, biedra, brzuch, beczka, bijok, ciotka, czarownica, jałowica, jarmak, kapusta, kura, owsisko, okulory, osełka, płachta, szpitol, terąz, też, troche, zogłowek, zimnioki, żałoba, żegnać sie.*

Gwary Śląska Cieszyńskiego charakteryzują się dużym zróżnicowaniem geograficznym nie tylko w zakresie fonetyki czy morfologii, ale również, i to może najbardziej, w zakresie słownictwa. Podziały leksykalne nie ograniczają się do kilku czy

nawet kilkunastu charakterystycznych nazw, jak *chwost (ocas), kohót (kokot), świyrk (smrek)* — cytowanych przy wielu okazjach, ale dotyczą dużej części słownictwa codziennego.

Jednym z podstawowych podziałów, a jednocześnie najprostszym okazuje się dwuelementowy podział terenu na typ A i B. Mamy tu do czynienia w zasadzie z dwiema nazwami, które w różny sposób dzielą teren na jego część południową i północną, południowo-zachodnią i północno-wschodnią oraz południowo-wschodnią i północno-zachodnią. Powiedziałem w „zasadzie", gdyż niekiedy tych nazw jest więcej. Rzeczywistość językowa jest bardzo złożona i rzadko zachodzi sytuacja, żeby jakaś nazwa występowała bezwyjątkowo.

Dla zilustrowania wymienionych tu podziałów przytoczę choćby niewielką liczbę przykładów. Bogatszy materiał zainteresowani mogą znaleźć w mojej książce „Słownictwo polskich gwar Śląska na terenie Czechosłowacji" (Prace Instytutu Języka Polskiego PAN, 1, Ossolineum 1975).

Podział na:

północ	południe
tragacz	*trakacz*
młynek	*żarna*
siedlorz	*chómónciorz*
wilga	*żółna*
dychawica	*dycha*
czernidło	*atramynt*
kłobuk	*czopka*
kapołka	*siwula* itp.

Podział na:

południowy zachód	północny wschód
naciónka	*zielina*
motyka	*kopaczka*
żarnówka	*miylok*
pierzinka	*poduszka* (podkład pod chomąto) itp.

Podział na:

północny zachód	południowy wschód
siyrp	*kosok*
grotek	*szkopiec*
suknia	*spódnica, spodek*
kaszel	*krzipota, krzipka*
szwagrówka	*bratówka*

Na szczególną uwagę zasługują okolice Jabłonkowa, które wyróżniają się spośród całości charakterystycznym dla siebie słownictwem. Zasięgi poszczególnych nazw bywają w dużym stopniu zbliżone, a nierzadko spotyka się sytuacje identycznego rozmieszczenia wielu nazw. Wśród materiału, stanowiącego o odrębności okolic Jabłonkowa, znajdują się różnorodne fakty. Spotkać tu można zjawiska czysto leksykalne *(cmer, serwotka, sóndek, krosna)*, zleksykalizowane fakty fonetyczne *(kwost, rybiżle, jusakle)*, jak też zagadnienia słowotwórcze, wyodrębniające ten teren, np. *starek*.

Do nazw wyraźnie jabłonkowskich w obrębie opisywanego terenu zaliczyć możemy: *przegroda, piernica* (przegroda oddzielająca boisko od sąsieka), *dźwiyrze, łostrewka, cepy, jukacz* (młynek do wiania zboża), *bahro* (dzwono koła wozu), *szosznia* (sosna), *krosna* (podstawa, na której się kładzie drzewo przy piłowaniu), *pażitka, cmer* (maślanka), *klamerka* (agrafka), *laliczka* (źrenica), *szury* (zezowaty), *na prosto* (na przełaj) itp. Większość wymienionych nazw nie przekracza swym zasięgiem miejscowości Nydek i Karpętna.

Paralelnie do południowej wyodrębnia się też północna część terenu. Do jej charakterystycznych nazw należą między innymi: *gumiynnica* (przegroda oddzielająca boisko od sąsieka), *bróg* (kopiec kartofli), *sprzycznica* (bruzda odprowadzająca wodę z pola), *pawęźnik* (powróz do wiązania *pawęza* z tyłu wozu), *gadówy* (grzyby trujące), *podzimki* (poziomki), *wieprzki* (agrest), *płaczka* (łza), *na sprzejmo* (na przełaj) itp.

Wpływ systemu języka czeskiego spowodował powstanie szerokiego pasa o swoistym charakterze w północno-zachodniej części obszaru. Wpływ ten pozostawił swoje znamię tak w leksyce *(mleziwa, mleziwo, masopust)*, jak w słowotwórstwie *(gnojiszcze)*. Wielowiekowa bezpośrednia styczność z dialektami morawskimi wywierała wpływ na kształtowanie się gwar śląskich w tym rejonie. Wpływ ten, w przeważającej mierze, ma jednak charakter ilościowy. Przejęte słowa czy cechy językowe rzadko występują samodzielnie, ale nakładają się na

rodzime zjawiska. Zespół, o którym mowa, wyodrębnia się między innymi na podstawie następujących słów: *gnojiszcze, skrzidlica* (dachówka), *ładym leży* (ziemia leży odłogiem), *żyto* (pszenica), *zgrzebiec* (ogier), *rzeziny* (trociny), *sirotki* (stokrotki), *zieli* (kapusta), *kurz* (dym), *szwadlyna* (krawcowa), *masopust* i inne.

Ludność Śląska Cieszyńskiego w CSRS jest z reguły wielojęzyczna. W zależności od potrzeby, sytuacji posługuje się dialektem śląskim, językiem polskim lub czeskim językiem mówionym. Starsze pokolenie zna poza tym język niemiecki. Dialekt miejscowy jest „językiem" na co dzień, język czeski jest natomiast językiem urzędowym i jako taki ma pozycję dominującą. On też przede wszystkim zostawia swój ślad w gwarach Śląska. Ślad ten przejawia się w różnych dziedzinach języka. Najbardziej widoczny jest jednak w słownictwie.

Wyrazów przejmowanych do gwar śląskich z języka czeskiego, gwar morawskich, laskich, słowackich lub z języka niemieckiego jest sporo w mowie mieszkańców tego obszaru. Dotyczą one również wielu dziedzin życia tak materialnego, jak i duchowego. Jedne z nich obejmują większe terytorium, często wykraczające poza nasz teren, inne występują sporadycznie.

Dla przykładu przytoczę po kilkanaście pożyczek z poszczególnych języków.

Do szeroko pojętych czeskich pożyczek oraz do wspólnego zasobu leksykalnego gwar morowskich i śląskich lub laskich i śląskich zaliczyć można: *bagańcze, browek, bierco, dłożka, dowka, fukacz, graczki, kita, masztol, mroki, obili, opraty, swaczyna, siekani, zieli* itp.

Pewna grupa nazw swoją formą, a niekiedy i rozmieszczeniem geograficznym wskazuje na pochodzenie słowackie. Z dużym prawdopodobieństwem można tu zaliczyć np. słowa: *agat, agac, agata, agaca, galan, kazatelnica, paradajki, rybiźle, spowiadalnica* itp.

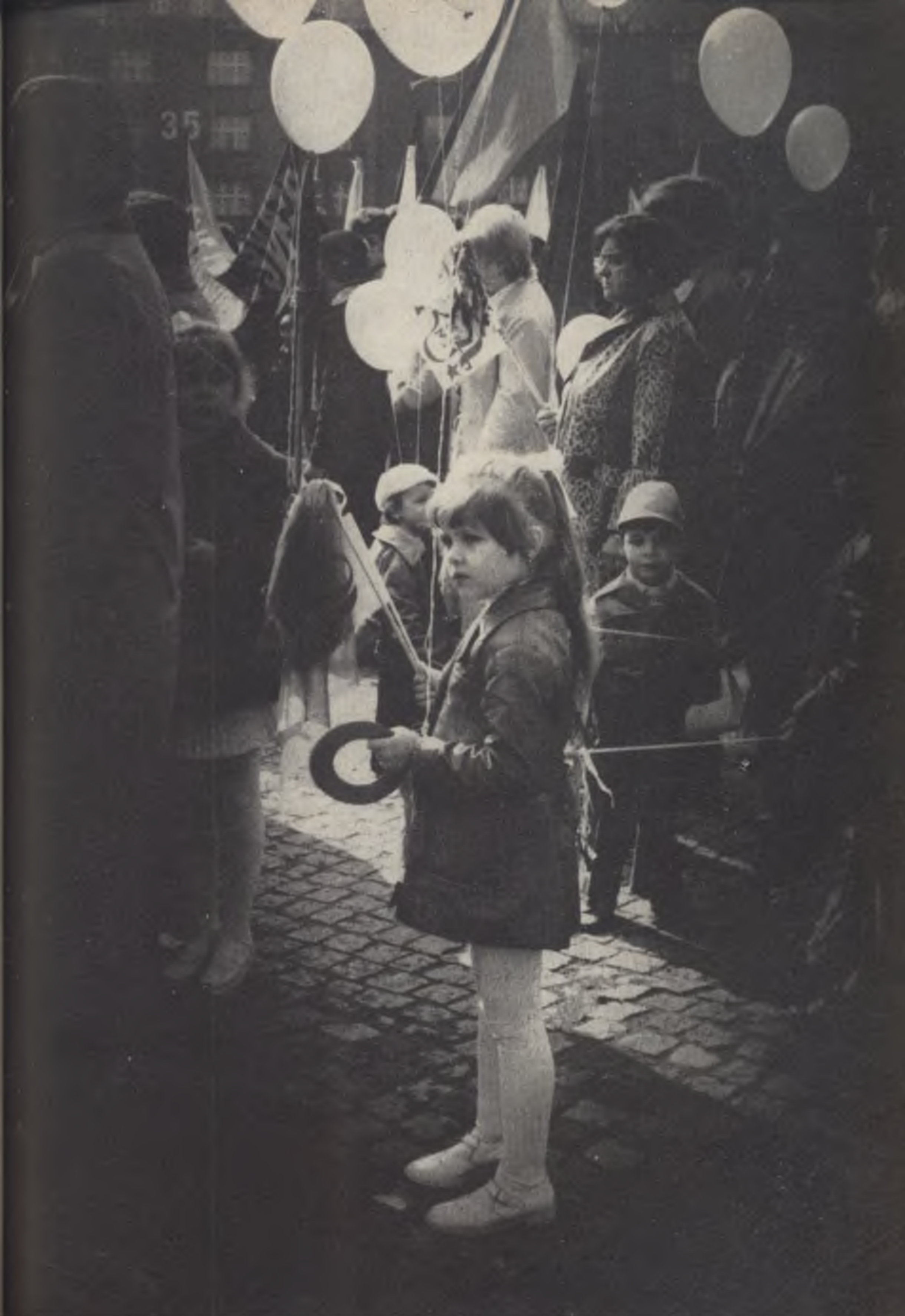
Wyrazy pochodzenia niemieckiego spotkać można na całym terenie. Dotyczą one różnych dziedzin życia, podlegają wielu modyfikacjom i przekształceniom formalnym: *aksztok, abfale, aport, biglować, bryftreger, cug, dekiel, drelka, fusakle, kryzbaum, razyr, szlajsy, szpajska, szpek, zicherka, zulc* itp.

Gwary Śląska Cieszyńskiego, izolowane przez wieki od głównych tendencji rozwojowych polszczyzny, zachowały do dziś wiele archaizmów wyrazowych oraz staropolskich cech fonetycznych. Niektóre archaizmy leksykalne mogły się tak dobrze zachować dzięki zgodności postaci i znaczenia jednobrzmiących wyrazów w języku czeskim, z którym nasze gwary były w stałym kontakcie. Do archaizmów leksykalnych zaliczyć można np.: *błecha, boskym, czernidło, dobytek, dónga, golacz, god, gowiydź, gruba, gumno, gón, chladać, kabot, kapołka, kidać, kłobuk, kokot, kolnia, łoktusza, łóni, niewiasta, oje, otawa, przikopa, putnia, ryma, starek, starka, statek, stryk, szaty, szwoczka, szyndzioły, ujec, wiesieli, żymła* i wiele innych.

Obok czechizmów, słowakizmów, germanizmów i archaizmów w gwarze cieszyńskiej spotyka się również często nowo przejmowane wyrazy ogólnopolskie, których ludność miejscowa używa wymiennie ze słownictwem śląskim. Tendencja ta, znana we wszystkich gwarach, a tłumacząca się integracją gwar z językiem literackim, nie jest obca i omawianej gwarze. Używa się wymiennie np.: *browek — wieprzek, czaj — tej — herbata, dowka — podatek, dónga — tęcza, szachta — kopalnia, oje — dyszel, kryzbaum — choinka, — drzewko, sagi — nagi, żymla — bułka* itd.

Wszystkie skrótowo zasygnalizowane zjawiska świadczą o niezwykłej złożoności językowej w tym rejonie i pokazują wielokierunkowe oddziaływania na miejscową mowę. Mowa ta, mimo licznych interferencji językowych, zachowała wszelkie znamiona polskości do tego stopnia, że trudno w niej dostrzec skutki długiej izolacji od języka polskiego i innych gwar polskich.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON


35



Józef Ondrusz

Z DZIEJÓW FOLKLORYSTYKI CIESZYŃSKIEJ

CIESZYŃSKA PROZA LUDOWA OD EMANUELA GRIMA DO GUSTAWA MORCINKA

Folklor cieszyński pasjonował również **ks. Emanuela Grima** (1883 — 1950), syna górnika z Karwiny. Po ukończeniu miejscowej szkoły ludowej i absolwowaniu gimnazjum polskiego Macierzy Szkolnej w Cieszynie studiował teologię katolicką w Widnawie. Po otrzymaniu w 1908 r. święceń kapłańskich pracował jako wikary w Rychwałdzie koło Orłowej, Zebrzydowicach i Jabłonkowie, później jako katecheta gimnazjum cieszyńskiego, wreszcie jako proboszcz w Górkach Wielkich, Skoczowie i Istebnej. Na probostwie istebniańskim spędził — z wyjątkiem okresu ostatniej wojny, kiedy przebywał na Podhalu — ponad trzydzieści lat swego życia.

Z domu rodzinnego wyniósł Grim zamiłowanie i szacunek do tradycji ludowej. Zasłyszane z ust rodziców opowieści ludowe opublikował w „Zaraniu Śląskim". W tym samym czasopiśmie ogłosił poemat *Ondraszek*, oparty — jak zaznaczył w odsyłaczu do pierwszego odcinka — „na krążących jeszcze tu i ówdzie podaniach ludowych i na *Obrazku* z „Gwiazdki Cieszyńskiej" z r. 1872". Dośpiew kończący poemat, zatytułowany *Ondraszkowe wesele*, ukazał się w „Zaraniu Śląskim" w dwadzieścia parę lat później. Podania i opowieści ludowe zasłyszane od górali istebniańskich opracował wierszem i opublikował w zbiorku *Baśnie z Podbeskidzia Śląskiego*. Szkoda, że autor, zamiast się silić na formę poetycką, nie ogłosił owych podań w postaci zasłyszanej lub w opracowaniu prozaicznym, jak to uczynił w wypadku podania *O Kubie Szałaśniku i jego córce Dorce*, opublikowanego również w „Zaraniu Śląskim".

Kulturą duchową górali beskidzkich interesował się również **Paweł Zawada** (1883 — 1954), góral istebniański z pochodzenia. Życie jego, jak każdego chłopskiego dziecka, było niełatwe. Dzieciństwo upłynęło mu w domu rodzinnym w Istebnej, gdzie ukończył szkołę podstawową. Odznaczającego się wybitnymi zdolnościami chłopca wysłali rodzice na studia nauczycielskie do Krakowa. Po ich ukończeniu pełnił obowiązki nauczycielskie w Oldrzychowicach i Piosku, później w rodzinnej Istebnej i Jaworzynce, w końcu w Iskrzyczynie koło Skoczowa i w Kozłowej Górze na Górnym Śląsku. Urzeczony folklorem góralskim już wówczas, kiedy jako młody chłopak wyśpiewywał pieśni pasterskie i słuchał gadek ludowych, temu folklorowi pozostał wierny przez całe swoje życie. Zasłyszane wówczas i później podania i opowieści ludowe z Beskidów opracowywał i publikował zrazu w „Gwiazdce Cieszyńskiej", później w „Zaraniu Śląskim", wreszcie w „Rocznikach Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego »Beskid Śląski« w Cieszynie". Prace swoje podpisywał skromnym, a tak niezwykle trafnym dla jego charakteru pseudonimem — „Sęk".

Przedmiotem opracowań folklorystycznych Zawady były przede wszyskim podania wierzeniowe oraz podania lokalne o miejscowościach i górach beskidzkich, np. *Legenda o założeniu Koniakowa, Girowa, Czantoria i Stożek, Ukryte skarby, Czarownice z Girowej, Z podań o powstaniu Istebnej, Podania o powstaniu Jaworzynki i Koniakowa, Czantoria, Stożek i Girowa* itp. W wielu wypadkach próbował autor tłumaczyć pochodzenie ich nazw, biorąc pod uwagę jedynie etymologię ludową, pomija-

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BAŁON

jąc jakiekolwiek dociekania naukowe. Zebrał również i opublikował sporo interesującego materiału wierzeniowego o dzikich zwierzętach (*Dzikie zwierzęta a człowiek w legendach góralskich, Dzikie zwierzęta w tradycji górali istebniańskich*) oraz istotach demonicznych, zadomowionych na całym obszarze Śląska Cieszyńskiego (*Sotony, nocnice, zmory, hele, panny leśne i topielice*). Z innych materiałów folklorystycznych ogłosił zagadki i przepowiednie góralskie, zwyczaje weselne, wigilijne oraz opis tańca ludowego, zwanego „owięziokiem".

Doskonałą znajomość życia codziennego górali beskidzkich i ich kultury duchowej wykorzystał Zawada w monologach oraz opowiadaniach pisanych świetną gwarą góralską. Pisal również na temat kultury materialnej regionu beskidzkiego. Spod pióra Zawady wyszło też parę małych monografii topograficzno-krajoznawczych, np. o Wiśle, Jaworzynce i Koniakowie. Zamierzał opracować obszerniejszą monografię wymienionych trzech wsi beskidzkich, niestety zamiaru swego nie zrealizował. W rękopisie pozostały tylko niektóre jej rozdziały. Te opracował i opublikował Edmund Rosner w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej" w 1957 r.

Paweł Zawada pisał swoje przyczynki ludoznawcze, ażeby „pobudzić młodych regionalistów do zbierania i publikowania starych bajek i podań, których w górach tysiące ginie marnie i bezpowrotnie". W innym zaś miejscu stwierdził, że „u ludu naszego jest skarbnica niewyczerpana, trzeba tylko z niej korzystać, brać obu garściami, gdyż bardzo dużo materiału ginie bezpowrotnie, albowiem dzisiejsze pokolenie już ma inne zajęcia, inne cele życia, inne zapatrywania. Więc do pracy, bo za parę lat będzie za późno, nie będzie co zbierać".

Jako nauczyciel był Zawada przede wszystkim działaczem społecznym i narodowym. Za szerzenie kultury wśród górali władze austriackie szykanowały go na każdym roku. W wyniku postępowania dyscyplinarnego został przeniesiony z rodzinnych stron do Kozłowej Góry na Górnym Śląsku. W trzydzieści lat później znalazł się w więzieniu hitlerowskim w Jabłonkowie i Cieszynie za pomoc udzielaną osobom ukrywającym się przed gestapo. Wyzwolenie zastało go w areszcie. W Polsce Ludowej włączył się z nowym entuzjazmem do pracy zawodowej i społecznej. Zmarł dnia 20 stycznia 1954 r. Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu katolickim w Istebnej.

Entuzjastą folkloru cieszyńskiego był także śląski poeta ludowy, **Jan Łysek**, nazwany przez Kazimierza Nitscha „śląskim Tetmajerem". Urodził się 7 lipca 1887 w biednej rodzinie góralskiej w Jaworzynce koło Istebnej. Jako młody chłopiec „uganiał się za bydłem po groniach i wsłuchiwał się w tajemnicze i smętne piosenki i baśnie naszych gór". Ponieważ odznaczał się wybitnymi zdolnościami, oddano go za namową pastora nawiejskiego, ks. Franciszka Michejdy, do gimnazjum polskiego w Cieszynie. Warunki materialne rodziny nie pozwoliły wysłać syna na studia uniwersyteckie do Krakowa. Łysek przeszedł przeto do polskich klas paralelnych przy niemieckim seminarium nauczycielskim w Cieszynie, które ukończył w 1908 r. Obowiązki nauczycielskie pełnił kolejno w Datyniach Dolnych i Suchej Średniej, później w Jasienicy-Jaworzu. W okresie I wojny światowej wstąpił do Legionów. Na początku listopada 1915 r. poległ w walkach nad Styrem na Polesiu. W 1929 r. zwłoki Łyska ekshumowano i przewieziono do Cieszyna, gdzie je złożono na starym cmentarzu ewangelickim.

Opowieści i podania ludowe towarzyszyły Łyskowi od wczesnego dzieciństwa. Wspomni o tym później w swych *Śpiących rycerzach:*

„Mój Boże, gdzież też są te czasy,
kiedym pod strzechą rodzinnego domu
słuchał tych legend!"

Również w przedmowie do *Śpiących rycerzy* wspomina o czasach, „gdy pod strzechą zeszła się gromada gazdów z fajkami w ustach i zaczynała epos o czynach zbójców, o duchach, co „kajsi" po lasach chichocą, o „piniądzach", co się w nocy wydostają na wierzch i świecą zielonym światłem . . ." Zasłyszane wówczas gadki ludowe o poległych ongiś w potyczce z rozbójni-

kami węgierskimi góralach i o śpiących rycerzach wykorzystał Łysek w swoich utworach dramatycznych — *Śpiący zastęp* oraz *Śpiący rycerze.* Inne opowieści posłużyły mu za temat do monologów, które na różnych wieczorkach wygłaszał. Dwa z nich opublikował sam autor pod pseudonimem Jana Obuszka w „Zaraniu Śląskim". Dalsze dwa, zapisane z pamięci, zamieścił w tym samym kwartalniku, już po śmierci Łyska, jego przyjaciel — Paweł Zawada, który też napisał krótkie wspomnienie o Łysku-monologiście.

Z folkloru góralskiego czerpał również **Jerzy Probosz** (1901 — 1942), pisarz ludowy, pochodzący z Istebnej. Biednych rodziców nie stać było na wykształcenie zdolnego chłopca; został więc najpierw pasterzem, potem robotnikiem leśnym, by przy wyrębie lasu zapracować na życie. Pęd do wiedzy, zdobywanej tylko drogą samokształcenia, i ciągłe obcowanie z książką wyzwoliły w nim konieczność pisania. Tematów dostarczało mu samo środowisko wiejskie i jego życie. Pisał więc artykuły i opowiadania na temat doli chłopskiej, utrwalał na piśmie odchodzące w niepamięć zwyczaje, podania i gadki ludowe, których tyle nasłuchał się w swoim dzieciństwie. Początkowo używał pseudonimów: Chłop spod Gańczorki i Góral, później podpisywał się własnym nazwiskiem. Jednym z większych utworów Probosza jest *Wesele górali istebniańskich,* w którym wykorzystał autentyczne obrzędy weselne i pieśni ludowe z Istebnej i okolicy. Za swą działalność pisarską został w 1938 r. odznaczony Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Aresztowany przez gestapo w grudniu 1939 r., zginął w maju 1942 r. w obozie koncentracyjnym w Dachau.

Z tematyką folklorystyczną spotykamy się również w utworach innych pisarzy Ziemi Cieszyńskiej. Wymienić tu należy **Walentego Krząszcza** (1886 — 1959) z Górek Wielkich koło Skoczowa. Dzieciństwo swoje spędził w uroczej wiosce rodzinnej, położonej u stóp dwóch wzniesień beskidzkich — Bucza i Witalusza, osnutych podaniami ludowymi: na Buczu miał się kiedyś zapaść kościół, na Witaluszu zaś znajdują się ponoć zakopane skarby. Podania te, jak również wiele innych zasłyszanych w dzieciństwie, wykorzystał Krząszcz w swoich opowiadaniach. Szerzył je również wśród dziatwy szkolnej. Już jako uczeń cieszyńskiego seminarium nauczycielskiego zbierał po lekcjach młodszych uczniów „ćwiczeniówki", czyli szkoły ćwiczeń, w której przyszli nauczyciele prowadzili lekcje praktyczne, i opowiadał im tak niezmiernie dla nich ciekawe gadki ludowe. Owymi gadkami zdobył sobie również serce syna majora austriackiego, ale gorącego patrioty polskiego, który pozyskał Krząszcza na korepetytora dla swojego syna.

Później, pełniąc obowiązki nauczycielskie w różnych miejscowościach Śląska Cieszyńskiego, mianowicie w Rychwałdzie, Piosecznej, Błędowicach Dolnych, Kisielowie, Lesznej Górnej i wreszcie w Międzyrzeczu, interesował się podaniami miejscowymi, poświęcając im wiele uwagi na lekcjach w szkole. Podania te, legendy i bajki wykorzystał również w felietonach gwarowych, publikowanych na łamach „Ślązaka", wydawanego przez germanofila Kożdonia, pod wpływem którego wówczas się znajdował. Później jednak zerwał z kożdoniowcami i „Ślązakiem", publikując swoje opowiadania na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej", „Zarania Śląskiego", „Dziennika Cieszyńskiego", „Polonii", w kalendarzach ukazujących się w Cieszynie, wreszcie pod koniec swojego życia w „Kronice Beskidzkiej" wychodzącej w Bielsku, oraz w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej". Krząszcz wydał również kilka pozycji książkowych. Sporo materiałów folklorystycznych znajdziemy w utworach scenicznych Krząszcza, wystawianych po wsiach śląskich przez ludowe zespoły amatorskie. Największą popularnością spośród nich cieszyło się *Wesele cieszyńskie*, chociaż sztuka ta nie dorównuje swoim poziomem artystycznym *Weselu górali istebniańskich* Jerzego Probosza.

Nie wszystkie utwory Walentego spod Witalusza — takiego bowiem pseudonimu używał pisarz — posiadają jednakową wartość. Zdzisław Hierowski, znawca literatury cieszyńskiej, taką o nich wydał oce-

nę: „Jeżeli niektóre jego utwory posiadają jakąś trwalszą wartość, to właśnie przez bogactwo materiału folklorystycznego, jaki zawierają, przez wierny, niestylizowany i niesfałszowany obraz życia chłopskiego u stóp Beskidów Śląskich u schyłku XIX i na początku XX wieku."

Oprócz Zdzisława Hierowskiego o twórczości Krząszcza pisali również Zdzisław Obrzud, Alfred Jesionowski, Ludwik Brożek, Edmund Rosner i inni.

Folkloru cieszyńskiego nie lekceważył również **Gustaw Morcinek** (1891 — 1963), urodzony i wychowany na Żabkowie w górniczej Karwinie. Jak sam pisarz nieraz wspominał, a potwierdził to rówieśnik i towarzysz z jego lat dziecinnych, emerytowany koksiarz, Jan Wałoszek z Karwiny, matka Morcinka często opowiadała dzieciom różne „przedziwne śląskie powiarki" o utopcach, Meluzynie, Ondraszku, jaroszkach i innych nadprzyrodzonych stworach. Opowieści te wykorzystał później Morcinek w swojej twórczości literackiej. Najbardziej urzekały go niezwykłe opowieści o zbójniku Ondraszku, który zachodził ze swymi kamratami aż do samej Karwiny, do pobliskiego Raju i okolicznych miejscowości. Jemu też poświęcił Morcinek jedną z pierwszych swoich nowel — *Ondraszkowe ostatki,* a później nawet obszerną powieść. O terminie rozpoczęcia pracy nad *Ondraszkiem* dowiadujemy się z zachowanego listu Morcinka do jego sympatii z czasów dzieciństwa, Bronisławy Oczkowskiej, przebywającej w Opawie, wysłanego ze Skoczowa, dnia 7 stycznia 1931 r. W liście tym pisze Morcinek: „Obecnie zamierzam napisać powieść o naszym Ondraszku. Zbieram materiał już od roku może. Pragnę wpleść w akcję obok postaci realnych również postacie z naszej śląskiej mitologii, różnych utopców, jaroszków, podciepów, strzygoniów, mory, nocznice itp. stwory".

Napisane rozdziały *Ondraszka* publikował Morcinek na łamach „Zarania Śląskiego". Potem nadeszła II wojna światowa i autor znalazł się w obozie koncentracyjnym w Dachau. Po szczęśliwym powrocie do Skoczowa przystąpił do dalszej pracy nad *Ondraszkiem.* Pierwsze wydanie książkowe powieści ukazało się w 1953 r. W przedmowie do niej podał Morcinek przyczyny jej napisania: „Jedną z nich, może najważniejszą, było pragnienie, żeby legendę śląską o zbójnickiej swobodzie i chłopskiej tęsknocie za wolnością przekazać ludziom, którzy o tych sprawach mało wiedzą." *Ondraszek* zdobył od razu serca szerokich rzesz czytelników. O wielkiej poczytności książki świadczą dalsze jej wznowienia.

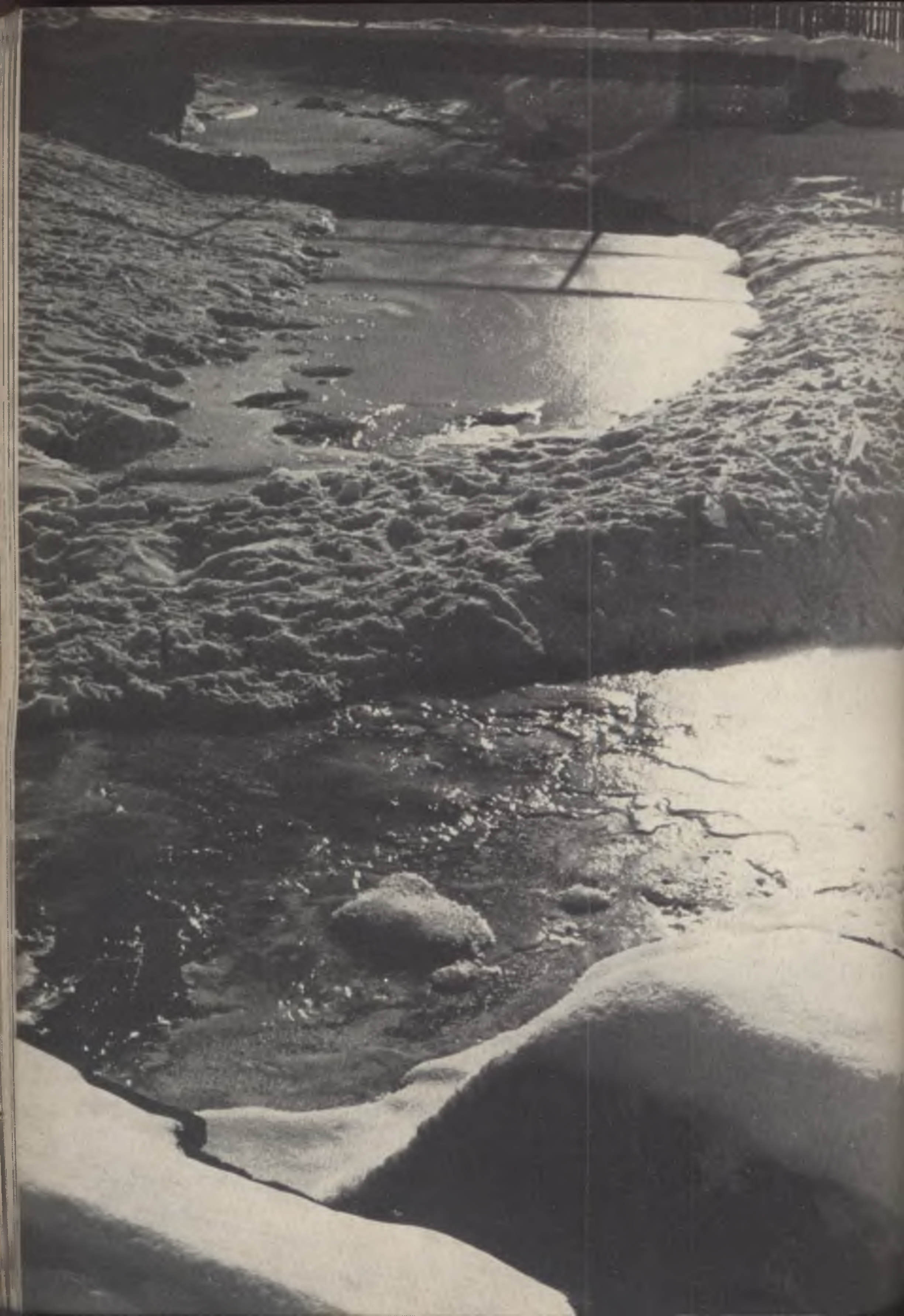
Postać zbójnika Ondraszka nie przestała intrygować Morcinka ani później, toteż zamieszczał dalsze o nim opowiadania na łamach różnych czasopism i kalendarzy.

Oprócz Ondraszka Morcinek interesował się również różnymi nadprzyrodzonymi zjawami, w które obfituje folklor cieszyński. O różnych demonach pisał w swojej monografii o Śląsku, w „Wierchach", „Literaturze Ludowej", wreszcie w czytankach i czasopismach szkolnych.

Na wątkach cieszyńskiej prozy ludowej oparł Morcinek trzy urocze książki dla dzieci: *Jak górnik Bulandra diabła oszukał, Przedziwne śląskie powiarki* oraz *Przedziwna historia o zbójniku Ondraszku.* Zawierają one czterdzieści parę legend, baśni, podań i opowieści ludowych ze Śląska Cieszyńskiego.

FOTOGRAFIA: FRANCISZEK BALON





Jan Pyszko
MÓJ PAMIĘTNIK

„Mój pamiętnik" jest historią człowieka w procesie przemian społeczno-politycznych od przełomu w. XIX i XX aż do czasów współczesnych. Jest odbiciem losów, zwierciadłem przeobrażeń świadomości jednostki, grupy, społeczeństwa. Pamiętnik jest podyktowany doświadczeniem przeżytych lat, wrażliwością, a nade wszystko ukochaniem Ziemi Ojczystej... oraz nieskończonością czasu.

Za rok, za dzień, za chwilę
I już nie będzie nas.

Ale pozostaje życie, którego autor czuje się cząstką. „Z takim przekonaniem i świadomością zaczynam pisać „Mój pamiętnik" — zwierza się na wstępie i dodaje: „Treść tej historii zaczyna się wtedy, gdy jeszcze żył mój ojciec na Kamienitym. Pisał się wtedy rok 1868".

Kalendarz drukuje fragment Pamiętnika — trzy folklorystyczne opowiadania i jedno wspomnienie — Jana PYSZKI z Nawsia — Potoków, który powstał w r. 1978.

Redakcja

ŁO BIOŁEJ RYNCE

Tóż były w naszi dziedzinie taki miejsca, w kierych straszyło, a my, dziecka, z wielkim zainteresowanim a strachym posłóchali ty łopowiadania, kiere nóm mówili starek abo starka.

Była bezmali tako stodoła łu Kufy, nazywali tam do Bąka. A ta stodoła była przi cešcie, kieróm trzeba było przechodzić czi to do sklepu, czi dzieckóm do szkoły abo ludzióm do kościoła, a łobyńść to nie lza było, bo tam była zogroda łogrodzóno sztachetami. Dziecka aji starzi za nic na świecie nie chcieli tam teryndy po ćmi przechodzić, bo tam w tej stodole na gumnie straszucnie straszowało. Cielacka bez głowy wieczór tam skokały a parantowały, a w nocy pobekowały i stynkały jak strasznie dorobióny człowiek. Żodyn w nocy nie łopowożił sie tam przyńść, a jesi sie jednako łośmielił, to go czakało straszne przeżici.

Łod cesty w tej stodole były wrota, w tych wrotach była dziura na łoje łod wozu. Tóż z tej dziury na takigo śmiałka zaroz sie wystyrciła łogrómno bioło rynka, chyciła sie płotu po drugi strónie cesty i zagrodziła tóm

FOTOGRAFIA: BRONISŁAW BIELAN

cestym, a cielacka zaczyny beczeć i tako jyny sumeryja sie robiła w tej stodole na gumnie. Taki śmiałek zaczón wrzeszczeć, bo mu włosy na głowie ze strachu stowały, i uciekoł spadki, czim nejdali łod tej stodoły. A jo jak żech przechodził tam teryndy, choćby w bioły dziyń, to wdycki żech sie dziwoł na tóm dziurym, skoro sie wyździeje ta straszno rynka i zagrodzi mi cestym. Ale we dnie sie to nie stało. No dzisio już tej stodoły tam ni ma, aji straszić tam przestało.

ŁO NOCZNICACH

Słóżiłech wtedy za pastyrza u Taciny nómero 13. To były szumne ty nocznice. Taki baby, kierym sie w nocy łoczi tak świyciły, że było kole nich aż widno. Snoci ty nocznice jak dopadły takigo chłopa, co mioł cosi pod myckóm, i nieskoro wieczór abo w nocy sie plónt, a ni móg do swoji chałupy trefić, to mu cestym zmyliły a potym go smykały po rozmaitych młakach, trzynsawiskach a chrostach, że nad ranym, kiedy mu już głowa kapkym łochłódła i już wykrzyźwioł, trefił do swojigo łobejścio cały mokry, zeszlóndrany a zeszkrobany. Potym skarżił sie przed swojóm babóm, że go nocznice całóm noc smykały.

Dzisio już tego miejsca ni ma. Ale jo pamiyntóm dobrze, kany to było... A było to łu Motyki na Zoplóciu. Przi ceście była młaka ze starymi wiyrbami. Dzisio już jich tam ni ma. A ty wiyrby były całe dudławe, a spróchniałe, a pod nimi sie ciógnyła ta młaka i trzynsawisko z chrostami. Jo tam teryndy chodzowoł do szkoły abo jak mie gaździno posłała do sklepu do Łabaja na petrol abo cukier. A jak to już było na śćmiywku, to żech mioł wielki strach i co możnego toch hónym śmiatoł ku chałupie, bo tam jednak cosi było na tych wiyrbach. Na jesiyń, jak mgły bywały, to tam na tych wiyrbach modre światło gorzało a mrógało.

Roz, pamiyntóm jako dzisio, jidym z tym petrolym łod Łabaja, a gaździno mi przitukała, aż sie śpiychóm, bo w chałupie ani krzty do lampy naloć. A była jesiyń na całego. Mgliska sie smyczyły dolinóm Łolzy. Jo cichutko kole tych wiyrbów na palcach śmiatóm z tym petrolym, w tej mgle cosi na wiyrbach migało. Już żech se myśloł, że szczyńśliwie przyńdym kole tej młaki, aż tu naroz gruch cosi z wyrchu na mie. Joch sie tak zlynknył, żech skocził jako jelyń i pognoł ku chałupie. Bańke z petrolym żech stracił i po dzisio nie wiym, co to było.

ŁO SOTÓNACH

Sotóny też kiejsi bywały. W naszi dziedzinie był szwiec. Ludzióm bóty łoprawioł, zolówki pod sztyblety przibijoł, przisczipki pod bagańcze zrychtował, ale przi tym biydym klepoł, bo mioł kyrdel dziecek i szwarnóm babym, kiero mu bezmala psiocziła. Tóż na niego, tego szewca, w nocy przichodziła sotóna. Jak łusnył, tóż go cosi zaczyno dusić a ściskać za hyło, tu pod hyrtóniym. We spaniu wrzeszczoł, stynkol i ni móg sie nijako łopamiyntać. A jak sie łobudził, to był cały spocóny i skarżił sie przed swojóm babóm, że go zaś ta sotóna w nocy mańcziła i motała. Powiedzioł se, że z tym musi skóńczić. Zawachował se w nocy na tóm sotónym, fórt se mówił: „Nie śmiym łusnyć i bedym czakoł, aż przidzie". Nagotował se swoje szewiecki szidełko, a łoczi siłóm fort łotwiyroł, choć

sie mu ruñtym zawiyrały. Naroz poczuł, że sie cosi na niego gramoli i zaczino go dusić. Ni móg sie hónym spamiytać, co sie to z nim robi, łapnył klepocz i szidełko, dopod cosi pod hyrtóniym — a zdało sie mu, że to była bioło mysz — i przibił to tym szidłym na ścianym, poprawił klepoczym i pomyśloł se: „No, teraz aspóñ bedym mioł łod tego sotóñska pokuj". I łusnył. Strasznie fajnie sie mu spało aji śniło, jako to teraz bedóm pieknie se żić ze swojóm staróm.

Jak sie rano łobudził, przezdrził na łoczi, dziwo sie, wedle niego łóżko prózne, a jego staro wisi na ścianie przibito tym szidełkym.

ŁO PIYRSZIM PRZEDSTAWIYNIU AMATORSKIM MŁODZIEŻI NA NOWSIU

Pisoł sie rok 1919. Wojna sie skóñcziła, a austryjo-wyngiersko Mónarchija sie rozleciała, zrodziły sie Polska aji Czechosłowacyja. Ło nasz piekny Ślóñsk sie Czesi z Polokami hadrykowali. Każdy go chcioł mieć dlo sebie i prziszło do tego, że jacysi panowie alyjanci nakozali plebiscyt. No ludziskóm sie to podobało, bo se myśleli: „Kogo se wybierymy, tego bedymy mieć". Nikierzi nie wiedzieli, kaj patrzóm, bo roz tu byli czescy szandarzi, potym zaś polscy abo nie było żodnego i zaczyny sie robić rozmaite bezperactwa.

Młodzież tutejszo chciała zagrać wieczorek. Było ji szwarnie, pieknych chłapców i szumnych dziełuch. Jano łod Nogi (już go dzisio ni ma miyndzy nami) był starszi i łumiol sie ze sztukóm łobchodzić. Łuczil nas tyn wieczorek łodgrywać. Pruby sie robiły w gospodzie, tam sie miało aji grać, ale scyny tam nie było. To była tako staro karczma, drzewianno, na Fojstwiu, nazywali tam do Nowej pod Jelyniym. Dzisio już tej gospody ni ma. Stoi tam teraz piekny murowany dómek.

Gospodzkim tam wtedy był Jura z Przigóna, inwalida wojynny. Mioł postrzylanóm nogym na wojnie i kapke chrómiał na nióm. Nasz reżiser sie postaroł ło łoblyczki dlo amatorów, kurtynym prziwióz aż kajsi z Cieszina, ale kłopot i łostuda była ze scynóm, bo ji w karczmie nie było. Był jyny szinkwas, wielko jizba i stoły z ławami dołokoła. Po jednej prubie my medytowali, skiyl wzionść pinióndze na forszty, aby tóm scynym zrobić, bo beczki w gospodzie po piwie były. Jedni radzili jiść po pumoc do fojta, drudzy mówili, żeby sie wszecy poskłodali. Aż tu Jura Spilan strzelił: „Na pile je tela forsztów, że... jyny brać, kiedy beje trzeba. Po wieczorku, jak beje trzeba, jich zaś łumyjymy a mogymy wrócić. Szandarów teraz tu żodnych ni ma, a panowie z becyrku też sie kajsi wykludzili".

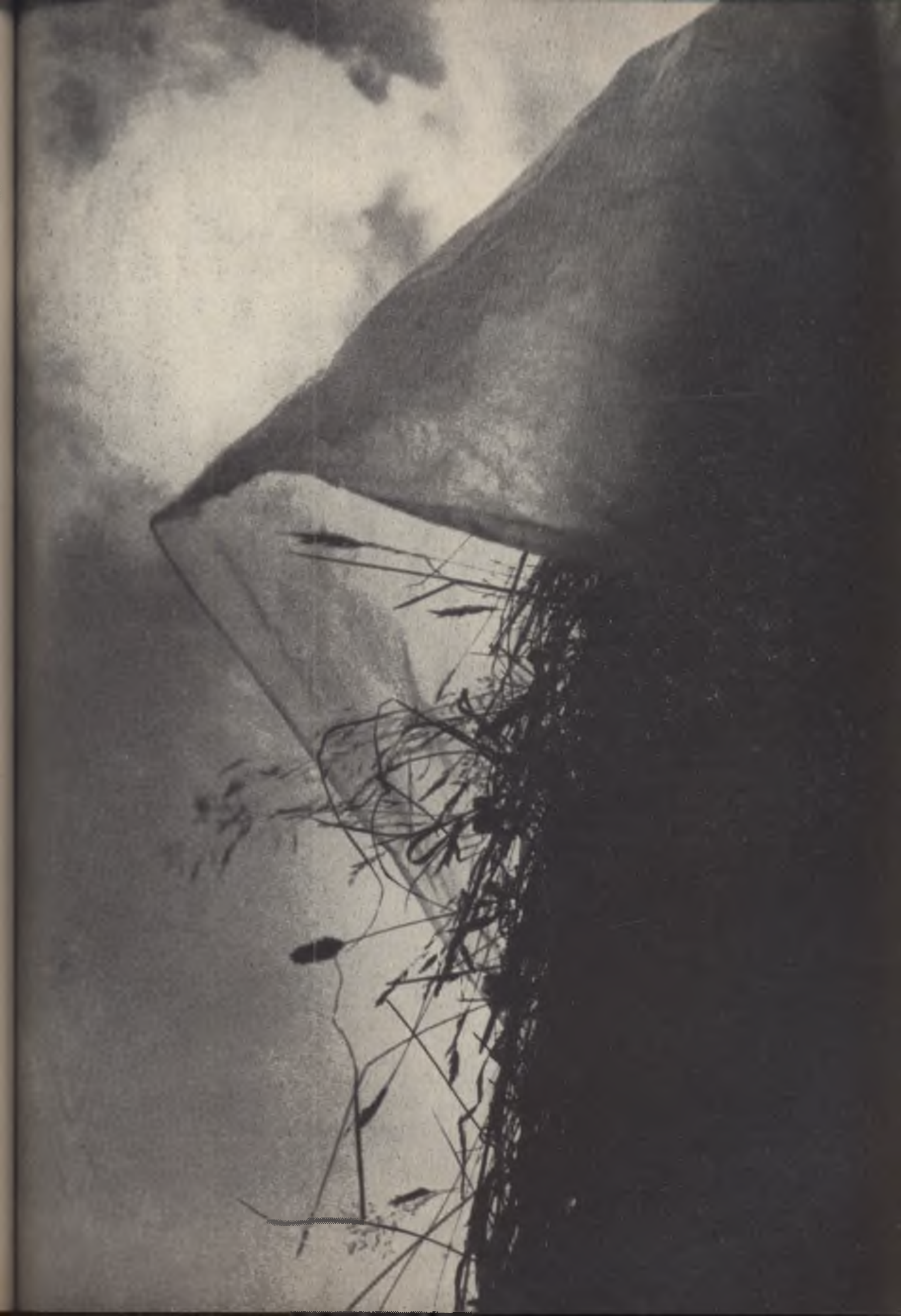
Reżiserowi sie to moc nie podobało i prawi: „Na jo ło niczim nie wiym, ani nie chcym czuć. Jak beje jaki kłopot, to se to sliźniecie sami". — „Dobre Jónek. Nic sie nie bój".

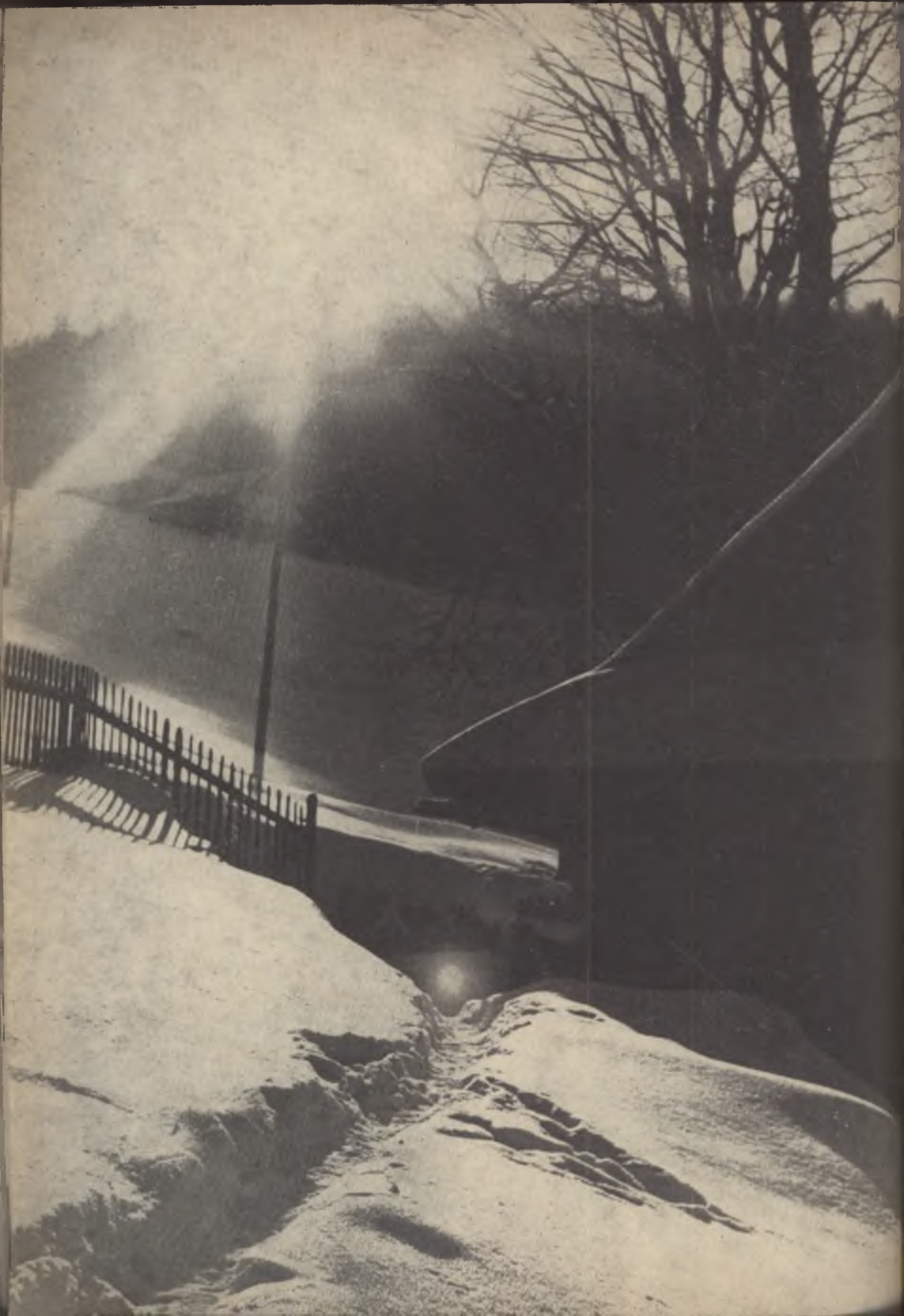
Jednako kapke strachu my też mieli, bo jak nas wachtorz kierego pozno, zaroz zamelduje fojtowi, a tyn nas zawrze do szyrownie. Policajtym w gminie był wtedy niejaki Sikora, Czorny Jura go nazywali, austryjacki feldfebel. Chodził ze szablóm i w mundurze. Chłapcziska mieli z niego szpagat, bo był strasznie spórny. Jak kiedy przi muzyce była bijatyka, proł wszeckich głowa nie głowa, a siły mioł dość. Pamiyntóm roz, też

sie chłapcziska porwali do bitki skyrs jednej pieknej Zuzy. Nejpiyrwi sie bili dwo, potym jich coroz wiyncej przibywało, rajbach już byl wielki, dziełuchi piszczały, lamyntowały, gospodzki robił, co móg, rozganioł, ale to nic nie pumógło. Naroz wpod Czorny Jura. Wyrwoł szablym i ani moc głośno nie wrzasknył: „Co sie tu robi? Kóniec!“ — i chlas piyrszigo lepszigo szablóm przez gębym. Zaroz sie zrobił porzóndek. Chłapcziska sie kajsi wytracili a poszkodowany tydziyń sie miydzy ludzi nie pokozol, bo tak mioł lico spuchnióne.

Jak już my role umieli, trzeba było scynym rychtować. Domówili my sie, że po prubie pujdymy na piłym. Wachtorzym wtedy był starszi chłop z Piosecznego, kapkym niedowidzioł. Przi gatrze już ni móg robić, tak go dali za wachtorza. Jedyn z nas se przed tym ty forszty pozłobziyroł i wiedzioł, w kierym miejscu sóm. Domówili my to tak: jedna partyja bedzie brać z jednej baszty, a drugo ło 50 metrów dali z drugi baszty. Cosi my se na kuraż i śmiałotym luchli, w płocie łoderwali sztachety w dwóch miejscach. Wlezymy za płot i bierymy jeszcze łasym wóniajónce piekne forszty. Jano z Dolnego Kóńca mioł dować pozór na tego wachtorza. Jak my już prawie kóńczili, naroz z kiylsi wylazuje wachtorz z furmańskóm latarnióm, bo sie nazdoł po krawalu, kiery my jisto musieli robić, że mu gdosi forszty kradzie. Woło z daleka: „Hej! Co sie tu robi. Jyndrysmaryja! Na dyć tu sóm złodzieje“. My sie teżto hónym pokryli za drugi baszty, śmiych nas pucził, a strach my też mieli. — „Na wy chachary zatracóne! Jo wóm tu dóm forszty kraść! Szak jo was już poznóm, a zaroz jutro policajt z fojtym zrobióm z wami porzóndek“. Ale jeszcze nie skóncził, a już ta drugo partyja zaczyna na forsztach rajwach robić. Wachtorz tam wio z latarnióm. Ci mu zaś łuciykli a posłóchali. A wachtorz se nie wiedzioł rady: „Do stonoście kany, na dyć mi całóm piłym wykradnóm“. I leci cały zdyszany zaś ku tej baszcie, kany my brali. — „Do diaska kany, na cóż jo se pocznym. Dyć jak mi tego kupa nabieróm, to jutro mie zawróm“. A tu naroz gdosi brzink grudóm do latarnie. Celinder plink, rozbił sie i zhyrkli my sie wszecy i zaczyni wachtorza grudować, bo to było na Szczepóna. Łun, borok, mało żiwy łuciekoł ze strachym i pich do swoji budy, trzas dźwiyrzami i wiyncej sie nie łukozoł. My hónym dokóńczili swoji dzieło i śmioli sie do rozpuku, że tak sie doł wachtorz wykiwać. Forszty my połodnoszali do gospody, na drugi dziyń zrobili scynym, a tych forsztów było tela, że starcziło aji na siedziska dlo ludzi. Zagrali my wtedy dwie sztuki — „Ulicznik warszawski“ i „Żyd w beczce“ — kumedyjym. Ludzi prziszło tak strasznie moc, że sie ni mógli pomieścić w tej karczmie, a tela sie łuśmioli, że jich aż brzuchi łod smiychu bolały.

FOTOGRAFIA: BOGDAN KRZYWOŃ





Adam Wawrosz
SPEŁNIÓNO WRÓŻBA

Było po wilijnej wieczerzi. Sabelka stanęła od stołu i prawiła Jewce, aby wyszła przed siyń i spytała sie babucia, kiedy przidzie ku ni jaki tyn żynich, i by posłóchała, z kierej strony zaharwosi pies, bo z tej strony dostanie chłopa.

Jewka oszywała sie na chwile i wymowała, że w żodne powiarki nie wierzi. Kiedy rodzina dała sie do śpiywanio „W żłobie leży...", wytraciła sie z izby. Stanęła przed chlywkym i zawołała nieśmiało:

— Nuśka, nuśka! Kiedy? Za rok czy za dwa?

W chlywku było cicho. Naćkany babuć udrzymowal i ni mioł chęci z nią w tyn wilijny wieczór rozprowiać. Poszła bliży, zakupkala na dwiyrka i wolała:

— Nuśka, tóż kiedy?

Po chwili z chlywka odezwoł sie lyniwy chroch. Narachowała roz. Uśmiychnęła sie i czakała, z kierej strony zaszczeko pies. Mróz dokuczoł i psiacka jak na złość powlazowały do bud i po dobrej wieczerzi nie chciało sie im szczekać. Zima zaczła nią dyrbać, ale uwzięto nie ruszyła sie z miejsca.

— Czakosz, Jewulko, czakosz? — odezwała sie za placami Sabelka. — Jyny czakaj, mie też psy wywróżyły tate.

Podała ji hacke, do kierej sie zababuliła. Kiedy już mróz zaczón szczypać w nos i chciała skończyć z tą kumedyją, u Śliża zaharwosiło psiacko.

— Do roka i ze wschodu przidzie mój synek — pomyślała i wpadła do izby.

Jewka Sabelcze była szykowno dziełucha. Dwacet pięć wilij miała już za sobą, ale że sie nie smykała, nie lotała po muzykach, tóż została zapómniano. Z cichą nadzieją czekała na synka cały rok, ale świńsko wróżba sie nie spełniała. Kończył sie listopad. Sabelowie gotowali zabijaczke. Jewka była zło na babucia, że ją tak wyszklił, i rada by go widziała już na trokach.

Pozwali se masorza, starego Śliża, kiery był majster od zabijaczki, ale jak na złość dziyń przed świniobicim rewma go położyła do łóżka. Wólki nie wólki musioł Paweł, jego syn, nabrusić nóż, wziąść bierco i zastąpić ojca.

Paweł już też był zdrzały na żyniaczke. Jedną wade mioł, że sie strasznie dziełuch boł i przi wspómiyniu na żyniaczke czyrwiynialy mu uszy i zaczón sie zająkować. Inaczy był zdrowy, piekny i szykowny. Znoł sie dobrze na masarce, umioł chycić wolant czy wziąść pilnik do ręki.

Sabelowie przijęli Pawła ciepło. Wszystko było nagotowane. Na blasze wrzała woda, w kącie stoły troki. Paweł przewrócił na rozgrzywke kieliszek warzónki i pognoł ze Sabelą do chlywka. Kormik ani wiela nie kwiknył

FOTOGRAFIA: JAN SIKORA

i już leżoł na trokach. Pawłowi w rękach gorzała robota. Ani pies chwostym nie strzelił, a babuć był w drzywku zasolóny.

Sabelowie se ni mógli synka nachwolić i częstowali go jak sie patrzi. Synek sie przestoł czyrwiynieć, język sie mu rozwiązoł. Jewka też coroz części zdrziła mu do oczy i wieczór społym nalywali jelita. Dziełucha spómniała mu stare czasy, kiedy społym gónili za kozami. Jak prziszła rzecz o Wilii i starych zwyczajach, i wróżbach, zaczli sie zbywać. Paweł tupłowoł, że wilijne wróżby sie spełnią, Jewka zaś kludziła swoji, że ni. Opowiedziała mu, jak ji babuć wróżył, że do roka beje mieć synka, kiery przidzie ze wschodu, bo prowie u nich, u Śliża, zaharwosił pies.

— Na dyć jeszcze ni ma kóniec roku — pocieszoł ją Paweł.

— E, nie fulej, Pawliczku. Toby sie musiol stać cud. Gdóż by se też na mie spómnioł, dy wiysz, że siedzę w kącie.

— A co by sie stało, jakby jo se spóm... spómnioł — wystęskol, rozpolił sie jak szyna i sklupił głowe, bo widziol, że przestrzelił.

Nie odpowiedziała mu, bo do izby wlyźli Sabelowie. Po robocie ugościli Pawła tejym z rómym i kołoczym. Potym Jewka szeptnyla mamie, by na niedziele na szpyrki zaprosili Pawła. Sabelka mrógła na nią, zawołała chłopa na bok i domówili sie.

Sabela jeszcze roz naloł do kieliszka i zaczón:

— Nie wiedziołech, Pawliczku, że z ciebie taki majster. W niedziele robiymy szpyrki, toż cie pozywómy. Wiymy, że grosz na harmónii, tak ją przinyiś. Beje u nas wiesioło.

Zaś sie synek rozpolił i zaczón sie wykręcać. Kiedy ale Jewka słodko przewróciła nóń oczy i zaszczebiotała:

— Przidź, Pawle, przidź — ni mioł siły sie wykręcić, bo go dziełucha przyciągała jak magnet. Obiecoł.

W niedziele sie wyparadził, wzión heligónke i poszeł. Posadzili go za za stół ku Jewce. Czuł sie szczęśliwy. Wieczór go dziełucha odkludziła aż pod lasek ku krziżu. Chwile sie dziwol do ziymie i wystękoł:

— Jeweczko, mógbych do was chodzić? Tak sie tam czuję dobrze, jak we swoji rodzinie.

Jewka nie prawiła nic, jyny uściskała go i pocałowała. Tego ni miała robić. Synek sie zagańbił i porwoł do ucieczki. Wołała za nim, ale synek sie stracił we ćmie. Było po wszystkim.

W niedziele wieczór sie u Sabele odewrziły dwiyrze, a w nich stanyl stary Śliż z Pawłym. Sabelowie przywitali ich serdecznie. Kiedy Śliż wyciągnył z kapsy plazioczek i zaczón mówić, że samotnymu człowiekowi niedobrze na świecie, Jewka kiwła na Pawła, by sie wytracił. Wpolili obo do izbeczki. Paweł zmiarkowoł, że są sami, tóż uścisnył dziełuche i zaczón całować, aż pucówka z powału slatowała.

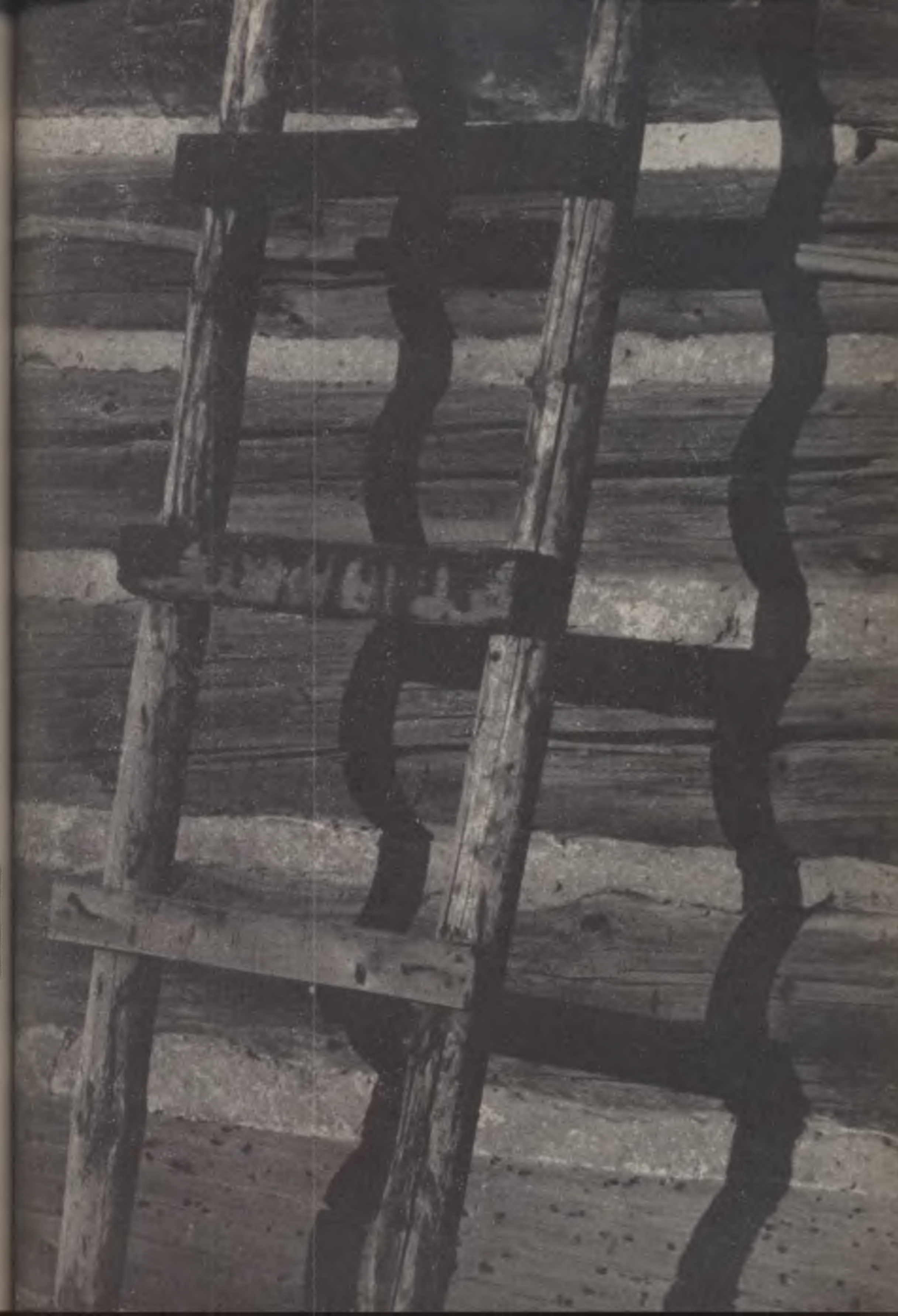
Co tam starzi w kuchyni mówili, nic ich już nie obchodziło, bo byli swoji. W tą Wilie już Jewka nie szła posłóchać babucia, bo wiedziała, że sie wróżba spełniła. Dziepro teraz ji zabyło żol kormika.

— To nic — pocieszała ją matka. — Zato wiesielnicy bedą mieć co jeść.

W chwili ukazania się niniejszego Kalendarza minie 10. rocznica śmierci Adama Wawrosza (24 XII 1913 — 18 XII 1971), jednego z najbardziej lubianych, najbardziej popularnych i najbardziej poczytnych literatów Ziemi Cieszyńskiej. Zasłużył się zwłaszcza dla twórczości gwarowej, językiem ludu cieszyńskiego bowiem posługiwał się w sposób zupełnie wyjątkowy.

Redakcja

FOTOGRAFIA: TADEUSZ WRATNY





FOTOGRAFIA: BOGDAN KRZYWOŃ

ANNA FILIPEK

Pieśniczki

Ty nasze pieśniczki skąd wziyny początek,
jaki mistrz słowa wydumoł?
Gdo piyrszi wymyślił ty przepiekne nuty,
by ich każdziutki rozumioł?

Nuteczki skowrónki do chleba wśpiywały,
słóneczko ciepła im dało.
Wiaterek napisoł słowa do listeczków,
serce wrażliwe czitało.

Radość do nich wloły młode piersi zdrowe,
bunt hyra gorołsko wbiła,
zaś spokój i zgode, czułości bez granic
ręka matczino wgładziła.

Miłość zostawiło to serce złómane,
co mu ją żodyn nie wracoł.
Gdosi do nich włożił swoje wielki szczęści,
by tak za miłość dłóg spłacoł.

Potóczki prziniysły aj smutku kapeczke,
co sie łoł z pastyrski doli,
i za lepszim światym, bardzi sprawiedliwym,
downą teschnice goroli.

Tymu ty pieśniczki tak do serca wchodzą,
bo z serca początek brały.
Z prómiyni słóneczka, ze śpiywu skowrónka,
chlebym powszednim sie stały.

ANNA FILIPEK

Niepewność

Gdy wezmę pióro, by opisać wiosnę,
wnet ciężka chmura mi błękit zakryje,
wnet strzały gradu zsyła przeciw kwiatom,
nadzieja moja z chłodu ledwie żyje.

Zstępuje wilgoć, szarugi jesieni,
rezygnacja cicho do duszy się wkrada,
opada ręka. . . Cóż pomogą słowa?
Kto powód smutku w cudzej duszy bada?

I znowu słońce! Radość, łzy wzruszenia,
rozgadane strumyki, gwar lasów, wesele.
Chcę dać ludziom pół serca, tak jestem bogata,
i zdaje mi się wtedy, że serc mam tak wiele.

Biegnę prosto przed siebie, ziemi nie dotykam,
całuję kwiat fiołka, lecz — bez wzajemności.
Znowu niebo ściemniało, ból serca przenika,
na jego miłych ustach płatek śniegu gości.

Chyba lubię samotność jako narcyz w wodzie,
co wszystkie inne kwiaty swym jadem zabija.
Może taka natura, może żal w nim mieszka. . .
Czyja to będzie wina? To wina niczyja.

Wciąż piszę słowo **WIOSNA**, i bez przekonania
raz za nim stawiam kropkę, raz znak zapytania.



FOTOGRAFIA: ZBIGNIEW KUBECZKA



FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER

ANNA FILIPEK

Z biegiem Olzy

Jesiyń, jesiyń ubogo, bogactwo przepiła,
z wiatrym przetańcowała cudne złote stroje.
Posnyły wszecki grónie z czepcami na głowach,
już ludzie w popielniku grzeją nogi swoje.

Jyny ty Olzo naszo, wiecznie rozśpiywano,
kiela znosz tych pieśniczek, kiela godek umiysz?
Lecisz z gróni gibciutko, staniesz zadumano —
do serc ludzkich zoglądosz, dusze ich rozumiysz.

Czi drzewo na kolybke na twym rosło brzegu,
abo czim żeś mi Olzo tak uczarowała,
że muszim iść za tebą od chałupy do chałupy,
chladać tych skarbów wielkich, o kierychś śpiywała.

Pytać skibeczke godki, okruszinki pieśni,
co czas nie smiót z pamięci, co groby nie skryły.
Co z piyrzo wyszipłane w zimowe wieczory
do snu sie ludzióm wkradły i wieki przeżiły.

Ty legyndy przesławne o królach, o wodzach,
z niedoczichraną wełną za krokwią schowane,
ty huczne wiesieliska, jarmaki i krzciny
w starej sukni na górze niemal zapómniane.

Zmiynił sie kraj i ludzie też już sie zmiyniają,
chociaż niby ci sami, pieśniczka ich wzruszi,
chociaż niby bogatszi — czasu nie lza kupić,
a huk maszin, traktorów skowrónka zaguszi.

Gdo dlo wnuków pozbiyro, co jeszcze zostało?
Do tej wielki wędrówki niewieluczka trzeba:
kąsek kartki papiyru, starczi pół ołówka,
ale serce caluczki trza wziąść zamiast chleba.

ANIELA KUPIEC

Mój świat

Mój świat je tak mały, że zmieścić sie może
pod skrzidło biedrónki, w uśmiychu codziynnym.
Mój świat je tak prosty, że sie — święty Boże —
pajęczyną niesie wroz z listkym jesiynnym.

Mój świat je tak prosty, że ci go zrozumiy
nejmiynsze stworzyni, kwioteczek każdziutki,
że zmierzisz go pieśnią, kierą ptoszek umiy,
i że sie nie oprze westchniyniөm króciutkim.

I taki je śmiyszny świat owy malutki,
zaroz sie dochlado wielkiego zaklęcio
czy to w psim języczku rużowym, ciepłutkim,
czy w bezbrónnych oczach małego jagnięcia.

Mój świat je tak dziwny, że hned go pochłónie
bojka o wierności, sercu, o podzięce,
i że świat tyn cały naprowde zatónie
w wielkich oceanach jednej łzy dziecięcej.

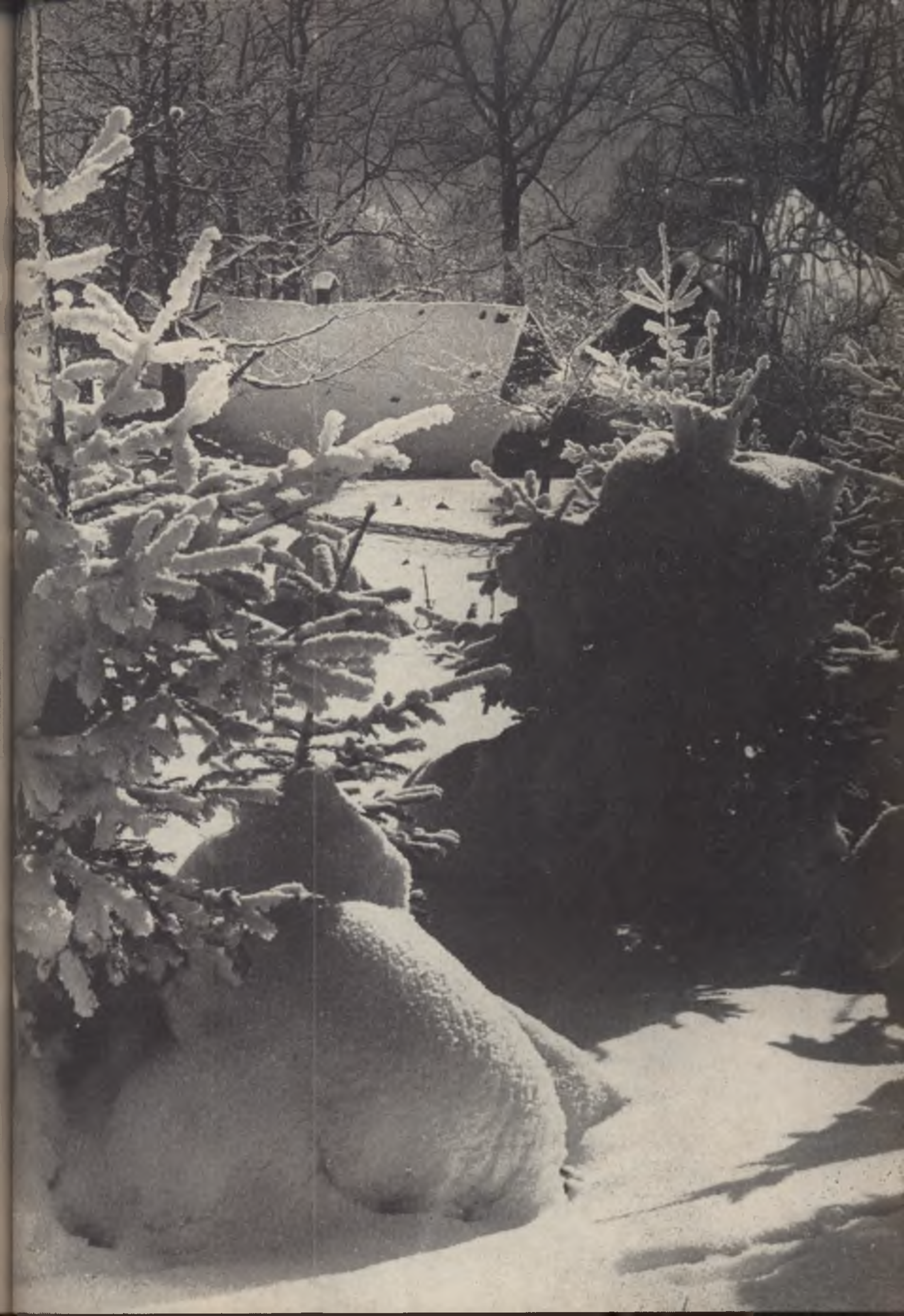
Wigilijna noc

W dni
zapisane wzruszeniem
piórek anioła
siedzącego w chmurze
biel się zsypała
na ziemię.
A w górze
piasek gwiazd
w bezkresie drzemie.

Jak biało teraz iść. . .
jak srebrno dzisiaj być. . .
jak cicho można trwać. . .

W drodze
po wigilijną moc
wyszła mi na przeciw
z gałązką świerkową
wigilijna noc.

FOTOGRAFIA: OTTO SZLAUER





ANIELA KUPIEC

Na kóniec roku

Do łupinki wilijowego orzecha
wprzągnióne strzybnozgrziwe rumaki
życzyń noworocznych...
Jadą przez dnie i noce we świat,
aż spadnie cichutko ostatnio kartka
ze starego kalyndorza...

Wtedy sie rozsypią nejcieplejsze słowa
z wywrócónego srąbka na wiater –
niech aji gwiozdy usłyszą:
że nejwięcej dlo wszystkich dzieci,
że niech nejstrzybnij wszystkim ludzióm
rozzwónią sie radości w Nowym Roku,
co nóm zaświyici jak zorza.

A jak zakwitnie północ
blyskanim świateł, pełnością kielicha,
modlitwa zwónów wypowiy nejwięcyj...
I na godzinach uwidzisz,
jako Stary Rok z Nowym Roczkym
wzięły sie za ręce...

FOTOGRAFIA: JAN SIKORA

EWA MILERSKA

Ziymio ty moja

Ziymio ty moja, ziymio nejmilszo,
do sercaś mi przirosła,
tyś w moich oczach je nejpiekniejszo,
nad wszyckoś insze wyrosła.

Chciałam mój podziw w rymach pomieścić,
nejlepsze dobrać słowa,
twoją pięknością mój wiersz wypieścić,
i wiernie ją odmalować.

Chciałach w tym wierszu zmieścić szum lasu,
leśno-ptaszęce śpiywani
i jasność słóńca letnigo czasu
i polnych kóniczków rzani.

Naszych beskidzkich gróni urode,
górskich potoków szum bystry,
potym jesiynno-cichą pogode,
nikiedy wiosny dech czysty.

I modrość nieba ponad gróniami
i wónie skoszónej łąki,
potym niech burza hóczy grzmotami
i hnet zaś nucą skowrónki.

Potym sie zleją zachodni zorze
z czyrwiynią malw przed dómym,
wieczór już dziynną jasność przemoże,
rozpostrze mroku zasłóne.

I jeszcze gwiozdek bystre mrógani
głębokość nieba ożywi.
W urodzie ziymi tej zakochani
czujymy sie tu szczęśliwi.

EWA MILERSKA

Nad Olzą

Zaszymrały gałązeczki
olszyny
i dziwają się do Olzy
głębiny.
Zaszuściały, zawóniały
już wiosną,
strasznie rade, że nad Olzą
se rosną.
Coraz niżyj gałązkami
siągają,
jak do zdrzadła sie do wody
dziwają.
Czysto woda im obmywo
korzynie,
co skręcóne wyglądają
spod ziymie.
Modre niebo sie przeglądo
we wodzie,
aji słóńce, całodziynny
przechodzień.
W nocy gwiozdki z głębi wody
mrógają,
na miesiączka strzybny rożek
czakają.
Wszystko taki jako kiejsi
bywało,
kiej se dziywcze „Płyniesz Olzo"
śpiywało.
I ty same śląski pieśni
fórt żyją,
echym z gróni sie w doliny
odbiją.
I nie wierzę, żeby kiedy
tak było,
to co nasze z biegym Olzy
spłynęło.
Utopiło kansi w morzu
głębokim,
zatraciło sie na świecie
szyrokim.
Jako Olza dłógi wieki
se płynie
i nasz naród na swej ziymi
nie zginie.

EWA MILERSKA

Głos

Przez szyroki nasze pola
cichy głos sie niesie
a jo stoję i posłóchóm,
gdo mi go prziniesie.

Przzniós wiater swoim dechym,
szeptnył mi do ucha,
mie hnet serce rozbolało,
nie chciałach posłóchać.

Głos był cichy i nieśmiały,
ale taki smutny,
że mi lzy stanęły w oczach
na tyn głos pokutny.

Prosto w duszę sie mi wciskoł,
bólym wiertół serce
i cichutko sie mi skarżył,
że je w poniewierce.

Że co kiejsi dlo nas zocne,
drogi sercu było
i przed nami jasnym światłym
jak słóńce świyciło,

teraz mało gdo szanuje,
mało gdo ocynio,
jaki prowie wiater wieje,
nikiery sie zmiynio.

Jeszcze smreki tu na gróniach
szumią po starymu
i skowrónek ponad polym
śpiywo po naszymu.

Jyny ludzie, co urośli
tu między gróniami,
nie słóchają tego śpiewu,
chcą krakać z wrónami.

ANEGDOTY Z ŻYCIA SŁAWNYCH LUDZI

U schyłku swego życia Rossini z większym zamiłowaniem niż muzyce oddawał się przyrządzaniu różnych potraw i przyjaciół swych przyjmował najczęściej w kuchni.

Gdy pewnego razu jeden z gości rozwodził się nad genialnością i pięknością opery Rossiniego „Cyrulik Serwilski", kompozytor, zajęty przyrządzaniem pasztetu zawołał:

— E, co tam „Cyrulik", spróbujesz pasztetu, to dopiero będziesz wiedział, jaki ze mnie mistrz!

★ ★ ★

Podczas próby jednej ze swych sztuk Shaw nagle przerywa jednemu z aktorów, mówiąc:

— Niech pan nie wzbogaca swej roli dowcipami, które nie są w najlepszym stylu.

— Ależ, proszę pana, ja tylko dokładnie recytuję pański tekst.

Shaw zagląda do rękopisu i mówi:

— Mój Boże, do jakich banalnych konceptów zdolny jestem się poniżyć!

★ ★ ★

Tristan Bernard, dowiedziawszy się, że jednego z jego znajomych zabił piorun, powiedział:

— Biedak! Rzeczywiście zauważyłem, że w ostatnich latach kiepsko wyglądał.

★ ★ ★

Ktoś posłał Wolterowi tragedię do zaopiniowania. Po przeczytaniu rękopisu Wolter powiedział:

— O wiele łatwiej jest napisać złą tragedię, niż powiedzieć o niej coś dobrego.

Pewnego razu, gdy Samuel Goldwyn starał się zawrzeć z Bernardem Shaw korzystną dla siebie umowę w sprawie nakręcenia filmu według jednej ze sztuk Shawa, wielki pisarz rzekł zniechęconym głosem:

— Panie Goldwyn, trudność porozumienia leży w tym, że pan mówi wciąż o sztuce, a ja o pieniądzach.

★ ★ ★

Dumas zeznawał jako świadek w pewnym procesie w Rouen. Na pytanie przewodniczącego, jaki jest jego zawód, odrzekł skromnie, ale z ostentacją:

— Gdybym nie znajdował się w mieście Racina, odpowiedziałbym: pisarz.

Po Dumasie zeznawała jakaś dowcipna aktorka miejscowa. Naśladując pisarza, oświadczyła:

— Gdybym nie znajdowała się w mieście, w którym spalono Joannę D'Arc, powiedziałabym: dziewica.

★ ★ ★

W pewnym towarzystwie zastanawiano się, czy jeden z młodych dramaturgów utrzymuje stosunek miłosny z piękną panią X.

— Nie wierzę w to — rzekł Shaw — U niego sypia tylko publiczność.

★ ★ ★

Gdy Flauberta zapytano, jakie woli kobiety, mądre czy głupie, odpowiedział:

— Takie, które zdają sobie sprawę ze swej głupoty, i te, które nic nie wiedzą o swojej mądrości.

★ ★ ★

Znany humorysta, August Pascalli, składał pewnego razu jednemu ze swych przy-

jaciół życzenia z powodu zbliżającego się dnia ślubu.

— Życzę ci, drogi przyjacielu, z całego serca wszystkiego, czego tylko pragniesz. Zapewniam cię, jako człowiek stary i doświadczony, że dzień jutrzejszy będziesz wspominał jako jeden z najszczęśliwszych w swym życiu.

— Dziękuję ci bardzo, Auguście, lecz pomyliłeś się co do daty, bo mój ślub jest dopiero pojutrze.

— Ależ właśnie, właśnie dlatego dzień jutrzejszy będzie dla ciebie najszczęśliwszy.

★ ★ ★

Monteskiusz toczył kiedyś zacięty spór z pewnym radcą.

— Jeżeli tak nie jest, jak to panu przedstawiłem — rzekł ów radca — daję swoją głowę.

— Dobrze, przyjmuję — odpowiedział Monteskiusz — drobne podarunki podtrzymują przyjaźń między ludźmi.

★ ★ ★

O idealnej miłości Bernard Shaw powiedział:

— Idealną miłością jest miłość listowna.

★ ★ ★

Chaplin był pewnego dnia w piekielnym humorze. Zły, przygnębiony wałęsał się cały dzień po domu, nie chcąc ani jeść, ani pracować.

— Co ci jest — pyta żona? — Czy ci się coś złego przyśniło?

— Tak — mruknął Charlie.

— Co mianowicie? — indaguje troskliwa małżonka.

— Śniło mi się, że miałem się drugi raz żenić . . .

— Z kim? — nastawała żona.

Chaplin spojrzał na żonę niechętnym wzrokiem i krzyknął z pasją:

— Z tobą!

★ ★ ★

Po premierze „Pigmaliona“ zachwycona publiczność wywołała Bernarda Shaw na scenę. Kiedy ten kłaniał się publiczności, z galerii dał się słyszeć głos:

— Ta sztuka jest do niczego, to bzdura.

Shaw spojrzał na surowego krytyka i rzekł ze spokojem:

— W zupełności zgadzam się z panem, drogi przyjacielu, ale co możemy poradzić? Jesteśmy w mniejszości.

★ ★ ★

Na zebraniu towarzyskim pewna dama zapytała Balzaca, czy rzeczywiście tak dobrze zna kobiety.

— Tak dobrze — odpowiedział pisarz — że wystarczyło mi jedno spojrzenie, abym mógł opowiedzieć całe pani życie.

— Tylko nie tak głośno, na miłość boską — błagalnie zawołała dama.

★ ★ ★

Kiedyś jeden ze zbyt pedantycznych krytyków, rozmawiając na temat ostatniego utworu Dumasa syna, zwrócił się do niego z uwagą:

— Wybacz pan, mistrzu, ale z tym wyrażeniem „bolesna pustka“, którego pan użył w swoim dziele na stronicy 97, jakoś nie mogę się pogodzić.

— Dlaczego? — pyta Dumas.

— Bo przecież tam, gdzie niczego nie ma, gdzie jest pustka, nie może być przecie mowy o bólu . . .

— A czy pana nigdy nie bolała głowa? — zapytał z niewinną miną autor „Damy Kameliowej“.

★ ★ ★

Znany ze swej ekscentryczności król bawarski, Ludwik II, spotkał w czasie jednej z wycieczek po kraju beznogiego wieśniaka, wlokącego się o kulach.

— Gdzie straciliście nogę? — zapytał król.

— Pod Sedanem.

— A nie poznajecie mnie?

— Nie.

— Ja jestem przecież królem bawarskim, waszym wodzem. Wieśniak kaleka zasalutował i rąbnął:

— Ja wciąż walczyłem w pierwszej linii, to i nie dziw, żem waszej królewskiej mości nie widział.

★ ★ ★

Tristan Bernard spotkał pewnego razu na ulicy dwóch braci, słynnych z brzydoty.

— Co słychać, mistrzu — zapytali go.

— Źle! — odpowiada Bernard — Spędziłem noc bezsennie.

— Cóż się stało?

— Miałem straszny sen, ale tak straszny, że wam właśnie tego snu opowiedzieć nie mogę.

— Ależ prosimy cię o to bardzo, mistrzu! — nalegali.

— Wyobraźcie sobie: śniło mi się, że was jest trzech.

★ ★ ★

Ulubionym miejscem spacerów Marka Twaina był mały, ogrodzony niskim płotem cmentarzyk na krańcach Nowego Jorku. Pewnego dnia Twain zauważył kilku jegomościów krzątających się koło płotu.

— Co, panowie, tu robicie?

— Ten płot nie zabezpiecza dostatecznie cmentarza, będziemy więc stawiali tu mur.

— Po co? — rzekł Twain.

— Ci, co tu spoczywają, nie potrafią i tak stąd wyjść, na ci z zewnątrz nie zdradzają wielkiej ochoty do osiedlenia się w tym miejscu.

★ ★ ★

Shaw miał złe zdanie o angielskich szkołach:

— Szkoły — mówił — są dla dzieci więzieniem. W młodości w jednej z nich zamykano mnie na kilka godzin dziennie i niczego mnie w niej nie nauczono. Gdyby stało się inaczej, byłby ze mnie taki sam głupiec, jak inni wykształceni ludzie w Anglii.

★ ★ ★

Coolidge udał się kiedyś na pewną uroczystość religijną. Gdy wrócił, żona spytała go:

— Czy pastor miał ładne kazanie?

— Tak.

— Na jaki temat mówił?

— O grzechu.

— Och, mówił o grzechu? Musiało to być bardzo interesujące. No i jakie stanowisko zajął wobec tego zagadnienia?

— Był temu przeciwny. Ja też — zakończył wyczerpujące zwierzenia najpowściągliwszy z prezydentów USA.

Shaw z całej duszy nienawidził Amerykanów. Jego zdanie o nich najlepiej charakteryzuje ta oto uwaga:

— Stuprocentowy Amerykanin jest dziewięćdziesięcioprocentowym idiotą.

★ ★ ★

Autor „Trzech muszkieterów" znajdował się, jak wiadomo, prawie zawsze w wielkich kłopotach finansowych. Pewnego dnia zabawiał się pogawędką ze swym wówczas dziesięcioletnim synem. W pewnej chwili ten zadał ojcu pytanie:

— Wytlumacz mi, tatusiu, co to jest właściwie weksel. Tak często o nich mówisz.

Dumas wyjął z biurka blankiet wekslowy i spokojnie powiedział:

— Widzisz ten kawałek papieru? W tej chwili wart jest on franka, bo taka jest jego cena. Ale z chwilą, gdy położę na nim swój podpis, nikt za niego nie da ani centa. Rozumiesz teraz?

★ ★ ★

Henryk Ibsen był w młodości pomocnikiem aptekarza. Kiedyś do apteki przyszedł wieśniak z dwiema receptami: jedna była dla żony, a druga dla krowy. Wręczając wieśniakowi lekarstwa, Ibsen rzekł ostrzegawczo:

— Jedno lekarstwo, ot to, jest dla żony, a to drugie dla krowy. Tylko pamiętajcie, nie pomylcie się, żeby czasem krowie nie zaszkodziło.

★ ★ ★

Newton był wyjątkowo roztargniony. Pewnego razu zaginął mu gdzieś zegarek. Posyła więc list do przyjaciela, u którego bawił ubiegłego wieczoru, z zapytaniem, czy przypadkiem zegarek nie pozostał u niego. List miał dopisek:

„W tej chwili właśnie zegarek znalazł się, ale trudź się zatem poszukiwaniem. Pozdrowienia."

HUMOR NASZYCH DZIECI

(Zebrała Ilona Fryda)

Jadą dwaj chłopcy na rowerach. Jeden mówi:

— Antek, błotnik ci się trzęsie.

— Co mówisz, nie rozumiem, bo mi się błotnik trzęsie.

★ ★ ★

Na globusie siedziały dwie muchy. Jedna mówi:

— Oj rety, jaki ten świat mały!

★ ★ ★

— Tomku, dlaczego teraz nie chcesz jeść, kiedy przed godziną twierdziłeś, że masz głód jak wilk.

— Mamusiu, widziałaś kiedyś, żeby wilk jadł grysik?

★ ★ ★

— Od kogo dostałaś taki długi list?

— Od Basi.

— Co pisze?

— Że kiedy przyjedzie, wszystko mi powie.

★ ★ ★

— Może kawalerowi zrobić przedziałek na boku? — pyta fryzjer.

— Wolałbym, żeby mi pan zrobił przedziałek na głowie.

★ ★ ★

— Gniewasz się na mnie, Olu? — pyta Agnieszka.

— Gniewam, i to bardzo.

— A za co?

— O, gdybym wiedziała. Nie mogę sobie przypomnieć...

— Janek, skąd masz na głowie takiego guza?

— Widzisz tamten słup?

— Widzę.

— Właśnie, a ja go nie widziałem.

★ ★ ★

Pewien stary wędkarz złowił małego suma. Przez chwilę głaskał go z czułością, następnie wrzucił go z powrotem do wody i powiedział:

— Wracaj do domu, a jutro przyjdź z rodzicami.

★ ★ ★

Pewien młody człowiek, lubiący spokój i ciszę, mieszkał między kowalem i kotlarzem. Cierpiąc z powodu hałasu przyrzekł sąsiadom, że jeżeli się wyprowadzą, hojnie ich wynagrodzi. Pewnego dnia obaj sąsiedzi zjawili się u przewrażliwionego młodzieńca.

— Wyprowadzamy się i prosimy o nagrodę.

Gospodarz rad im był serdecznie. Po uczcie zapytał, dokąd się wyprowadzają.

— Ja do kowala, a on do mnie — odpowiada kotlarz.

★ ★ ★

Władek po raz pierwszy w życiu zobaczył pawia. Woła do mamy:

— Popatrz, popatrz, jak ślicznie zakwitła ta kura!

★ ★ ★

— Dlaczego ty, Jasiu, płaczesz, kiedy idziesz do szkoły?

— Bo mi żal mamusię zostawić samą w domu.

— Mamusiu, ja umiem liczyć do dziesięciu.

— Więc licz.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

— A gdzie masz tę piątkę?

— Mam ją w książeczce uczniowskiej.

★ ★ ★

— Co ty najchętniej jadasz, Tadziu?

— Wiśnie. Zawsze po nich tak mnie boli brzuch, że nie muszę iść do szkoły.

★ ★ ★

Na lekcji gimnastyki uczniowie ćwiczyli „rower", ale Janek nie ćwiczył. Nauczyciel pyta:

— Janku, dlaczego nie ćwiczysz?

— Bo właśnie jadę z górki — odpowiada Janek.

★ ★ ★

— Z tak brudnymi rękami nie możesz iść do szkoły, Józku!

— To mam pozostać w domu, mamusiu?

★ ★ ★

— Proszę pastę do butów.

— Na jakie buty?

— Numer 36.

★ ★ ★

— Mamo, czy osioł wie, że jest osłem?

— Na pewno nie, synku.

— To naprawdę z niego osioł.

★ ★ ★

— Jasiu, już znowu lizałeś śmietankę?

— Ależ nie, mamusiu!

— Nie kłam, masz jeszcze na nosie!

— Ach to jeszcze z tamtego tygodnia.

★ ★ ★

Nauczyciel mówi:

— Kiedy powiem „jem", to jaki to jest czas? Karol odpowiada:

— To jest wtedy południe.

— Władziu, gdzie jest Zanzibar? — pyta nauczyciel.

— Jestem za mały, towarzyszu nauczycielu, żeby znać wszystkie bary w Orłowej — odpowiada uczeń.

★ ★ ★

Pyta się mały Janek:

— Ciociu, wy umiecie szczekać?

— Jak to, Janku, szczekać umie tylko pies.

— Ale wy też musicie umieć, bo jakżeście odchodzili, to mama mówiła do taty:

— Ale ta se naszczekała.

★ ★ ★

— Ładny z ciebie przyjaciel! Jesteś największym tchórzem, jakiego znam!

— Dlaczego?

— Co wczoraj zrobiłeś, kiedy zostałem napadnięty przez chuliganów?

— Oddaliłem się szybko.

— No proszę!

— To nie tchórzostwo. Po prostu nie mogłem patrzeć, jak biją mego najlepszego przyjaciela.

★ ★ ★

— Wojtku, ułóż zdanie, które traktuje o rzadkim lesie.

— Doszliśmy do tak rzadkiego lasu, że nie było w nim ani jednego drzewa.

★ ★ ★

— Mama budzi mnie rano w ten sposób, że rzuca mi do łóżka kota!

— Dlaczego właśnie kota?

— Bo ja śpię z psem.

★ ★ ★

Nauczyciel pochyla się nad Stefankiem:

— Co ty rysujesz?

— Trawę.

— A gdzie ta trawa?

— Zjadła ją koza i poszła do domu.

★ ★ ★

Mówi syn do ojca:

— Tatusiu, chcę ci kupić prezent na imieniny.

— Dziękuję ci, Maćku, ale najlepszym

dla mnie prezentem będą twoje dobre stopnie w szkole.

— Za późno, już ci kupiłem skarpetki.

★ ★ ★

Zygmuś wraca ze szkoły.

— No pochwal się, synku, swoim świadectwem — wita go tata.

— Nie mogę, pożyczyłem go Jankowi, on chce postraszyć swoich rodziców.

★ ★ ★

— Nasza babcia strasznie się boi — mówi mały Karolek do mamy.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo zawsze, gdy przechodzimy przez jezdnię, chwyta mnie za rękę.

★ ★ ★

Spotkali się dwaj koledzy na końcu roku szkolnego z niedostatecznymi stopniami. Jeden mówi:

— Ja to już raczej nie idę do domu. — A drugi na to:

— E tam, ty masz ojca krawcem, ale ja bokserem.

★ ★ ★

— Tatusiu, umiesz podpisać się po ciemku?

— Tak — odpowiada ojciec.

— To ja zgaszę światło, a ty mi podpiszesz książeczkę uczniowską.

★ ★ ★

— Tatusiu, czy to prawda, że dorsze jedzą szproty?

— Tak. Niekiedy.

— A jak otwierają puszki?

★ ★ ★

Nauczyciel mówi do Maćka:

— Skąd wiadomo, że Ziemia jest okrągła?

— To przecież widać na globusie.

★ ★ ★

— Chciałbym kupić wygodne obuwie do samochodu.

— Proszę uprzejmie, a jaki numer?

— KIC 32 46.

Do sklepu z owocami wchodzi kobieta i mówi:

— Przed chwilą zważyłam jabłka, które tu kilka minut temu kupił mój syn. Okazuje się, że brakuje pół kilograma.

— Nasza waga jest w porządku, proszę zważyć swego syna — odpowiada sprzedawczyni.

★ ★ ★

Mówi raz Antek do Francka:

— Hej, Francek, przynieś mi tę czerwoną i zieloną papugę.

Francek przyniósł tylko czerwoną papugę. Antek pyta go:

— Dlaczego nie przyniosłeś zielonej papugi?

— Ona jeszcze nie dojrzała.

★ ★ ★

— Panie nauczycielu, jak tam nasz Józio radzi sobie z tą grą na skrzypcach? Czy robi jakieś postępy?

— A tak. Dziś nawet mogłem już sobie wyjąć watę z uszu.

★ ★ ★

— Kto najlepiej umiał lekcję? — pyta ojciec syna.

— Towarzysz nauczyciel! — odpowiada zapytany.

★ ★ ★

Nauczycielka chce naprowadzić dzieci na rzeczownik „lustro".

— W co patrzycie dzieci, kiedy po umyciu chcecie wiedzieć, czy jesteście czyste?

— Na ręcznik! — odpowiadają dzieci.

★ ★ ★

W szkole pyta nauczyciel dzieci:

— Jak poznamy, czy kura jest stara, czy młoda?

— Po zębach, panie nauczycielu.

— Przecież kura nie ma zębów!

— No to jest prawda, ale my mamy, panie nauczycielu.

★ ★ ★

Babcia dała Lence jabłko. Pyta się:

— Co powiesz, Lenko?

Lenka pomyślała i odpowiedziała:
— Babciu, daj mi jeszcze jedno.

★ ★ ★

Towarzyszka nauczycielka pyta się Władka, czy jest przygotowany do lekcji.
— Tak — odpowiada Władek.
— A czemu nie odpowiadasz?
— Bo jestem przygotowany na piątkę.

★ ★ ★

— Dlaczego wczoraj nie poszedłeś na zebranie?
— Ogromnie bolał mnie ząb.
— A dzisiaj już cię nie boli?
— Ja nie wiem. Ma go lekarz.

★ ★ ★

Mamusia pewnego brudasa kupiła mu podarunek i pyta ojca, gdzie schować podarunek, by go chłopiec nie znalazł. Ojciec odpowiada:
— Jeśli chcesz, by go chłopiec na pewno nie znalazł, schowaj go do łazienki.

★ ★ ★

Jedzie ojciec z synem pociągiem. Synek wychyla się przez okno, a ojciec ostrzega go:
— Nie wychylaj się przez okno, bo ci wiatr zdmuchnie czapkę z głowy.
Syn nie słucha, więc ojciec ukradkiem zabiera mu czapkę z głowy.
Chłopiec się rozpłakał, więc ojciec uspokaja go w ten sposób, że gwiżdże i czapka chłopcu znów wskakuje na głowę. Chłopiec zdejmuje czapkę, wyrzuca ją przez okno i mówi:
— Tatusiu, zagwiżdż jeszcze raz.

★ ★ ★

Nauczyciel pyta się Janka:
— Proszę powiedzieć jakiś długi wyraz.
— Guma, towarzyszu nauczycielu.
— Przecież guma to krótki wyraz?!
— Tak, ale można go naciągać.

★ ★ ★

Był roz taki straszny bumelant. Spotkoł go kamrat i prawi:
— Wiysz, Antek, nasz sztygar se na filarze twojóm podobizne powiesił.
— A nie wiysz czymu?
— No, żeby cie rozpoznoł, jak zaś przidziesz do roboty.

★ ★ ★

Raz w wojsku była musztra. Sierżant woła:
— Patrz w prawo!
A wszyscy patrzą w prawo, tylko jeden w lewo.
— Szeregowy Trąba, po jakimu nie patrzycie w prawo?
— No bo jakby tak wróg przyloz z lewej?!

★ ★ ★

— Tatulku — pyto synek — po czym poznać, czy je gdo pijany?
— No widzisz, Gustliczku, tam idzie dwóch chłopów. Jakbych był pijany, tobych widzioł cztyrech, wiysz.
— Tato, ale tam idzie ynym jedyn.

★ ★ ★

— Panie doktorze, czy ja powinnam już pogadać ze swoją piętnastoletnią córką na drażliwe tematy?
— Oczywiście. Możecie się przy tym wiele nauczyć.

★ ★ ★

Spotykają się dwie przyjaciółki.
— Co robisz, że mosz taką piekną cerę?
— Myję się wodą toaletową.
Po tygodniu się znów spotykają.
— Coś robiła, że mosz całe oko modre?
— Ale, jak żech se myła tą wodą toaletową, to mi deska klozetowo spadla na głowe.

★ ★ ★

U sąsiadów zabili babucia i posłali Janka do sąsiadów z kawałkiem mięsa. Sąsiadka:
— A dyć tego nie było tela trzeba.
Janek:
— No tata mówił, że tego je moc, ale mama mówiła, że takim żrónióm tela trzeba.

Szeł popity zając a spotkoł krowe. Krowa mu prawi:

— Taki mały, a uż pije.

A tyn zając prawi krowie:

— Tako wielko, a bez łajbika.

★ ★ ★

Szeł se roz słóń a napadły go mrowce. Ön wszycki strząs z siebie, jyny jedyn mu zustoł na karku. Ty wszycki mrowce zaczęły wrzeszczeć:

— Duś go, duś go!

★ ★ ★

Przylatuje mały Jędruś do chałupy i pyto sie mamy:

— Mamulko, co je gorsze, złómać noge, czy rozerwać galaty na zadku?

— To wiysz, że złómać noge je gorsze.

— Tak sie ciesz, mamulko, bo jo jyny rozerwoł galaty.

★ ★ ★

— Jak sie, obywatelu, dzisio czujecie?

Kuba: — Dziękuję, już moc lepi, jyny tak sie mi jakosi ciężko dycho.

Doktor: — To nic, jyny se nie starejcie, z tym dychanim też to roz skóńczy.

★ ★ ★

Dwóch pijoków zamiast po chodniku szło torym kolejowym. Tyn jedyn cosi zmiarkowoł i mówi:

— Francek, dziwej sie, jaki ty schody są dłógi!

— Ty schody, jako schody, ale dziwej sie, jaki ty gelandry są niski!

★ ★ ★

Byli roz dwo koledzy, Franek i Janek. Pracowali na szachcie. Franek był strasznie lyniwy i nie chciało sie mu brać łopaty, tak napisoł na kartce:

— Janek, weź mi tą łopate, bo jo ją zapómnioł — i położył te kartke na łopacie.

Janek idzie, ale dwie łopaty se mu nie chciało niyść, tak napisoł na odwrocie kartki:

— Przebocz, Franek, ale jo se tej kartki nie wszymnół.

Przyszeł zając do sklepu i prawi:

— Jo by chcioł kilo fazoli.

Sprzedawczyni sie pyto:

— Zapakować?

— Ni, jo tu móm siciówke.

★ ★ ★

Panoczek wyczytoł w gazecie, że w Pradze ludzie jeżdżą „metrym". Kupił se meter, położył go na koleje i skoczył na niego. Meter sie złómoł i panoczek zdziwiony mówi:

— Jak też ci ludzie mogą na tym metrze jeździć.

SPIS TREŚCI



KALENDARZ ŚLĄSKI 1982

ROCZNIK XXI

EDYCJA POLSKA

TOM 55

Zredagowali: Daniel Kadłubiec i Jan Korzenny
Wyboru zdjęć dokonał Fr. Bałon
Okładkę oraz układ graficzny projektował Ivan Straňák
Zdjęcie na okładce: Oton Szlauer (s. 1.), Bogdan Krzywoń (s. 4.)
Redaktor odpowiedzialny: Eva Sobkova
Redaktor artystyczny: Vaclav Beránek
Redaktor techniczny: Ivan Straňak
Wydało wydawnictwo Profil w Ostrawie w r. 1981 przy współpracy ZG PZKO
w Czeskim Cieszynie jako swą 738 publikację
AA 19,49 (fot. 7,27)
AW 20,14
Drukiem Moravské tiskařské zavody, n.p., Olomouc, závod Ostrava, provoz 23 Karviná
Nakład 7500 egz.
Wydanie pierwsze
Gr. tem. 13/33
48-027-81
Cena egz. broszurowanego 12,00 Kčs
OC 601/22/85.7



13/33
48-027-81
CENA 12 Kčs